Agenci specjalnej troski

Z budżetu USA idą na nich krocie

▶4

Oddech Trumpa na karku

Dlaczego trudno mi myśleć o igrzyskach? ▶16

WYSOKIE OBCASY

Prawdziwe życie **Sylvii Plath**

FOT. MOSTAFA BASSIM/ANADOLU VIA GETTY IMAGES, REUTERS/GINTARE KARPAVICIUTE

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

JAN LUBOMIRSKI-LANCKOROŃSKI

Ja, książę

▶27

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 06

Brazylia oglądana...

Tylko tam można posurfować z Piłsudskim ▶20

...i Brazylia słuchana

Dobra melodia przychodzi do wybranych ▶40

100 lat, poruczniku Drebin

Leslie Nielsen naprawdę dawał czadu ▶34

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 7-12 lutego 2026 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 31.11130, 1 Nakład 74 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 74c5a22a0e

Ambasador USA nacisnął PiS

U nas kradli, ale u nich są wariaci

Z jednej strony Braun, z drugiej Kosiniak-Kamysz. Jak Kaczyński z tego wybrnie?

Wielowieyska

Na Nowogrodzkiej trwa burza mózgów, jak zmarginalizować Grzegorza Brauna i jego Konfederację Korony Polskiej. W czasie rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim ambasador USA w Warszawie Tom Rose jasno dał do zrozumienia, że rząd współtworzony przez Brauna nie może być partnerem dla amerykańskiej administracji. A przecież PiS w polityce zagranicznej wisi na sojuszu z Amerykanami.

Kaczyński jeszcze kilka miesięcy temu mówił, że żaden koalicjant nie jest brany pod uwagę, bo PiS zdobędzie 40 procent. Dzisiaj to brzmi jak żart, bo jego partia dołuje w sondażach: ma około 7-10 punktów procentowych mniej niż w wyborach w 2023 r. Teraz prezes – wobec notowań Brauna dobijającego już do 10 procent – spuścił z tonu. Konfederacja narodowca Bosaka, a nawet niewrażliwego społecznie gospodarczego wolnościowca Mentzena, jawi się jako stabilny sojusznik.

„Kto chce zawierać koalicję z Braunem albo głosować na niego, to w gruncie rzeczy głosuje na Tuska i na Putina. Taka jest prawda. I to jest poza jakimikolwiek wątpliwościami" – oświadczył Kaczyński. Jego przesłanie do swoich ludzi i elektoratu jest proste: rosnące notowania Brauna są na rękę Tuskowi, bo Tusk straszy wyborców, że wybór PiS to wybór Brauna w pakiecie, gdyż bez Korony prawica populistyczna nie ma większości. Prezes liczy, że wyborcy te wszystkie zawiłości zrozumieją i wrócą do PiS. Niemniej widzi topniejące poparcie, dlatego musi wdrożyć odpowiedni plan. Jego główne założenie: nie można obrażać wyborców Brauna, a jedynie uświadamiać im, że „tam są wariaci" – jak określił to jeden z moich rozmówców z Nowogrodzkiej.

W Koronie ważną postacią jest Janusz Korwin-Mikke. Przemysław Wipler, wpływowy „konfederata", powiedział w Polsacie: „Janusz Korwin-Mikke zawsze nam mówił, że w Polsce wariaci nie mają swojej reprezentacji i muszą mieć na kogo głosować". Można by rzec, że teraz mają bardzo mocną reprezentację i to właśnie PiS chce pokazać prawicowemu elektoratowi. Tu ważną rolę odgrywa związany z PiS tygodnik „Sieci".

Krytyka Brauna jest przemyślana: nie należy go atakować za to, że chce wyjść z Unii albo za to, że jest antyukraiński albo jest antysemitą. Bo wielu zwolenników PiS też ma takie poglądy. Atak ma pójść z zupełnie innej flanki. Tygodnik uderzył w czuły punkt: Braun gromadzi wokół siebie „bezbożników", satanistów, wyznawców New Age, zwolenników pogaństwa, ludzi, którzy plują na Pismo Święte.

Na niedawnej imprezie Brauna pojawiły się dwie groteskowe postacie, patostreamerzy skazani za mowę nienawiści, Rodacy Kamraci Wojciech Olszański „Jaszczur" i Marcin Osadowski „Ludwiczek". Braun od dawna ich hołubi. Tymczasem Jaszczur zasłynął występem, w którym powiedział: „Sram na Biblię! Starą żydowską kurwę, wisi mi koło dupy ona. Nie obchodzi mnie, że jakiś jebany naród zawarł jakieś jebane przymierze z jebanym Bogiem, którego nie ma".

„Logotypy i pieczęcie ruchu kamrackiego zdobią pogańskie »ręce boga« i toporzeł słowiański" – piszą „Sieci" i dorzucają, że Jaszczur nazywa Pismo Święte „żydowskimi rzygowinami". Ale nie tylko Kamraci są pod ostrzałem PiS i „Sieci". Także wiele innych dziwacznych postaci typu były polityk Samoobrony Mateusz Piskorski – i nie chodzi tylko o to, że jest przedstawicielem lobby kremlowskiego. „Piskorski wkroczył do Samoobrony wprost ze środowiska nacjonalistycznych neopogan. Materialnym świadectwem tych czasów jest pismo »Odala« (Odala to starogermańska runa, używana jako symbol przez Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS) Na okładce numeru widzimy krzepkiego, słowiańskiego woja, zamierzającego się toporem na wątłego, wykrzywionego złością zakonnika z krzyżem w ręku".

I dalej: „Kolejna postać „Satanista o gołębim sercu – rozpisywały się o »Różalu« media. »Kto to jest satanista? Satanista to poganin, ktoś kto nie idzie w dogmaty katolickie« – kick-bokser Marcin Różalski z twarzą pokrytą licznymi tatuażami". Tygodnik wskazuje też, że związane z Braunem profile w serwisach społecznościowych, tzw. konta gaśnicowe, zachęcają do „spożywania wywołujących trans muchomorów, podając za wzór syberyjskich szamanów".

Cały artykuł jest opisem rozmaitych dziwolągów dokooptowanych do ruchu Brauna, który robi wrażenie osoby bardzo religijnej, bo przecież zawsze się wita „Szczęść Boże". Tymczasem jego zaplecze to ludzie zwalczający Kościół. I ten przekaz ma dotrzeć do bogobojnych wyborców, którzy uciekają od PiS.

Kwestię antysemityzmu PiS też rozgrywa – tylko, znając resentymenty niemałej części społeczeństwa, chytrze rozkłada akcenty. Przedstawia to tak: Braun neguje zbrodnie hitlerowskie, usprawiedliwia Niemców, a my – przecież pielęgnujemy drogą wam ideę, że nie można zapomnieć o zbrodniach z czasów II wojny. Ani ich relatywizować. Wiadomość kryjąca się za tym przekazem jest oczywista: Korona to agenci rosyjscy i niemieccy.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Lider PSL utrzymuje dobre relacje z Pałacem Prezydenckim i z administracją Donalda Trumpa. Ludowcy wyczuli szansę

Część PiS uważa, że ściganie się z Braunem na radykalizm to droga donikąd. Inni nie są aż tak zdystansowani. Sądzą, że potrzebny jest „powrót do źródeł sukcesu PiS – prawicowa agenda i asertywność wobec Unii". A po drugie – „ciężka praca w terenie". Słyszę w partii, że batalia między „nami" a konkurencją odbędzie się w kluczowych powiatach, takich jak zamojski czy biłgorajski. To głosy na Lubelszczyźnie i Podkarpaciu zdecydują, czy partia Brauna dostanie się do Sejmu. Więc PiS musi sformatować przekaz do wyborców z tego regionu, rozpoznać ich bolączki i problemy. Dlatego na przykład będzie bronił producentów chmielu i tytoniu zagrożonych – jak twierdzi ekipa Kaczyńskiego – polityką rządu Tuska.

Jednak radykalna agenda antyunijna też kryje pułapkę: to recepta na wzmacnianie PSL. Ludowcy budują swój wizerunek jako partii centroprawicowej, umiarkowanej, hamującej realizację lewicowych postulatów. PSL nie da zrobić krzywdy Kościołowi, blokuje pełną liberalizację ustawy antyaborcyjnej, nie popiera związków partnerskich.

Dla wielu wyborców centrum z przechyłem na prawo taka partia – ostoja zdrowego rozsądku w ich mniemaniu – nie jest złym wyborem. A oferująca podobną umiarkowanie konserwatywną nowoczesność Polska 2050 bardzo osłabła i trudno uwierzyć, aby zdołała się odbić od dna, więc ludowcy widzą szansę na odbudowę notowań.

Dlatego PSL wchodzi do zespołu współpracującego z prezydentem Nawrockim, a lider Stronnictwa, wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz utrzymuje dobre relacje z Pałacem Prezydenckim i z administracją Trumpa. Tak buduje wizerunek ugrupowania trzeźwego, stawiającego na współpracę dla dobra kraju.

PiS zaś ma jeszcze jeden fundamentalny problem: prawicowi wyborcy widzą, że Nowogrodzka w nie odcięła od patologii ośmiu lat u władzy. Główny lider „harcerzy", czyli frakcji umiarkowanej, Mateusz Morawiecki, co najmniej politycznie odpowiada za aferę RARS, w której zniknęło 600 mln zł. Prawicowy wyborca może zbyć to wzruszeniem ramion – „propaganda Tuska" – ale że coś jest na rzeczy, uwiarygodnił sam PiS. Przecież operacja CBA rozpoczęła się w połowie 2023 r., czyli za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy. Trzeba być naprawdę zapatrzonym w Morawieckiego, aby wierzyć w jego spin o prześladowaniach Tuska.

PiS nie odciął się też od afery z wyprowadzaniem milionów z Funduszu Sprawiedliwości, choć sam Kaczyński słał do Zbigniewa Ziobry listy z ostrzeżeniami.

PiS hołubi nadal postać taką jak Dariusz Matecki, którego proces właśnie ruszył. Chodzi nie tylko o fikcyjną posadę w Lasach Państwowych, ale także wypompowywanie publicznych pieniędzy z Funduszu.

Mało tego, PiS uparcie usiłuje wykreować na męczennika księdza Michała O., który budował ośrodek medialny dla ziobrystów za pieniądze przeznaczone dla ofiar przestępstw. Ale to opowieść tylko dla twardogłowych – bo choć oskarżonym jest duchowny, Kościół nawet się nie zająknął w tej sprawie.

Tymczasem Ziobro i jego zastępca Marcin Romanowski uciekli na Węgry. Nawet Karol Nawrocki wypowiedział się w stylu „ja bym nie uciekał" – i tym samym przyłożył rękę do rozpowszechniania tezy, że Ziobro jest po prostu tchórzem. Które to przekonanie ma zdecydowana większość Polaków.

Z trzeciej strony jest Jacek Sasin, były minister aktywów państwowych, który odpowiada politycznie za zatrudnianie na stanowiskach doradców ludzi obozu władzy, którzy za nic zarabiali miliony w państwowych firmach. Co obciąża samego prezesa – bo Sasin to od dekad lat jeden z przybocznych Kaczyńskiego.

PiS nie odciął się od tych patologii, więcej – ludzie za nie odpowiedzialni są nadal twarzami partii. W takim układzie odbudowanie notowań, które spadają w niektórych sondażach do 24 procent, wydaje się zadaniem karkołomnym.

Opowieść, że „reżim Tuska" prześladuje opozycję, też się słabo sprzedaje: żaden jej polityk nie siedzi w areszcie, za to sądy ostatnio skazywały polityków związanych z obecną koalicją rządzącą.

I jak z tym się czuje umiarkowany lub chwiejny wyborca? Jeśli Tusk pozwoli się zbudować PSL – a w przeszłości już to robił – to Kosiniak-Kamysz może, kosztem Polski 2050 i kosztem PiS-light, się odbić.

Bo wyborcy umiarkowanej prawicy mają alternatywę: Kosiniak-Kamysz, demonstrujący wiarę i katolicyzm, stojący murem za mundurem, blokujący lewicową agendę – albo układ PiS -Konfederacja z neopoganami, rosyjskimi agentami, antysemitami, negującymi komory gazowe. Na tym PSL może poważnie urosnąć, o ile będzie potrafił przekonać wyborców, że właśnie przed takim wyborem stoją konserwatywni Polacy. ●

Dominika Wielowieyska

1 RP

Andrzej rysuje

eprasa.pl 74c5a22a0e

Agnieszka Kublik

Jak się nie obrócisz, Trump z tyłu

Kaczyński marzył, że zwycięstwo Trumpa ułatwi mu drogę do odzyskania władzy. A tymczasem PiS dziś żyje między pułapkami. Jest ich kilka i to zastawionych w tym samym czasie.

Reelekcja lidera MAGA był dla PiS chwilą triumfu. „Donald Trump, Donald Trump, Donald Trump!" – wiwatowali posłowie w Sejmie, gdy wygrał wybory. W tym sukcesie autorytarnego narcyza ujrzeli zapowiedź swojej wygranej – powrotu do władzy sił narodowo-religijnych i przegranej liberalnych demokratów. Z wdzięcznością przyjmowali każde wsparcie nowego – starego lokatora Białego Domu, pchali mu się na kolana, jednocześnie Tuska nazywając „zdrajcą", bo współpracuje z Unią Europejską.

Trump nie kryje podziwu dla Putina. Prezydenta Ukrainy rok temu upokorzył w Białym Domu na oczach całego świata. Przed Putinem rozwinął na Alasce czerwony dywan i zaprosił do swojej limuzyny.

Kaczyński Putina nienawidzi. Dla niego jest mordercą jego ukochanego brata bliźniaka. To Putin miał wedle smoleńskiej hipotezy lansowanej przez Macierewicza wydać rozkaz zamachu na Lecha Kaczyńskiego, bo dostrzegł w nim groźnego wroga, gdy polski prezydent zaangażował się w sprawy Gruzji.

Kaczyński Putina nienawidzi. Dla niego jest mordercą jego ukochanego brata. A teraz następca Lecha zasiądzie z Putinem w jednym klubie

Trump proponuje Polsce członkostwo w swoim prywatnym klubie, który przekornie nazwał Radą Pokoju. Za miliard dolarów rocznie możemy wykupić miejsce – by siedzieć obok Putina. I kto teraz będzie wiwatować: „Donald Trump, Donald Trump, Donald Trump!"?

Kaczyński pilnie analizuje sondaże i już sobie policzył, że bez sojuszu z Konfederacjami Mentzena i Brauna większości nijak nie zdobędzie.

Braun jest jawnie i arogancko antysemicki i prorosyjski. Kaczyński to łykał, bo dla niego liczy się władza, ale sam ambasador USA w Polsce, Thomas Rose, zagroził mu, że „rząd, w którym jakikolwiek udział miałby Grzegorz Braun, nie może liczyć na wsparcie Stanów Zjednoczonych". I Kaczyński musiał zmienić front. Ameryka Trumpa brutalnie zaingerowała w jego koalicyjne scenariusze. I kto teraz będzie wiwatować: „Donald Trump, Donald Trump, Donald Trump!"?

Trump był blisko z Epsteinem, zwyrodnialcem, bogatym seksualnym przestępcą. Wiele ich łączy. Sam Trump się przyznał, że nie potrafi się opanować przy pięknych i młodych kobietach: „Kiedy jesteś gwiazdorem, one ci na to pozwalają. Możesz robić, co chcesz, nawet łapać za cipki". Jak już wiemy z lektury tak zwanych akt Epsteina, jego stręczycielskie imprezy i doradztwo to było połączenie seksu, informacji, szantażu i szpiegostwa. Może i na rzecz Rosji.

Kaczyński sam siebie postawił w sytuacji przywódcy, którego los zależy od bezwzględnego dyktatora, narcyza, który jest agresywny i nieobliczalny, kiedy dostaje za mało podziwu. A tego nigdy mu dość.

Kiedy dziś ludzie PiS powtarzają w TV Republika i na X „Donald Trump, Donald Trump, Donald Trump!", robią dobrą minę do coraz gorszej gry. ●

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

1

– tyle złotych medali zdobyli do tej pory polscy sportowcy w zimowych igrzyskach olimpijskich. Daje nam to 23. miejsce w medalowej tabeli – liderują Norwegia z 148. złotami

REKLAMA Kraj/34417343

Złoty Trójkąt Indii: New Delhi, Jaipur i Agra z Taj Mahal, a także rezerwat tygrysów bengalskich w P.N. Ranthambore, potężne forty i pałace maharadżów.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. **Dz. 2** Przylot do New Delhi, przejazd do Jaipur i wycieczka po mieście. **Dz. 3** Jaipur. Pałac Wiatrów i Fort Amber. **Dz. 4** Jaipur – Ranthambore. Wizyta w wiosce i Rezerwat Tygrysów. **Dz. 5** Ranthambore. Safari w godzinach porannych i popołudniowych. **Dz. 6** Ranthambore – Agra. Opuszczone miasto (Miasto Duchów) Fatehpur Sikri. **Dz. 7** Agra. Taj Mahal i Fort. **Dz. 8** Agra – New Delhi. Brama Indii (India Gate) oraz zwiedzanie Starego Delhi. **Dz. 9** Wylot z New Delhi. Powrót do domu.

9 dni | Wyloty z Warszawy 09/11 2026, 01/02 08/03 2027 | od 6.998,–

3 posiłki dziennie

Opera w Savonlinnie

Światowej klasy opery w słynnej fińskiej krainie tysiąca jezior, a także zapierające dech w piersiach krajobrazy Finlandii i jej stolica – Helsinki.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Helsinki. Przejazd do Savonlinny przez piękną krainę tysiąca jezior. **Dz. 2** Savonlinna. Zwiedzanie największej na świecie drewnianej cerkwi prawosławnej, wizyta w galerii sztuki i pierwsze przedstawienie operowe. **Dz. 3** Savonlinna. Rejs statkiem po jeziorze Saimaa, zwiedzanie Savonlinny, lokalny targ i spektakl operowy. **Dz. 4** Savonlinna – Punkaharju – Parikkala – Imatra – Porvoo – Helsinki. Wyjątkowy park rzeźb, najsłynniejsze wodospady w Finlandii i małe urokliwe wioski . **Dz. 5** Helsinki. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 6** Helsinki. Czas wolny do wyjazdu na lotnisko i podróż powrotna do domu.

6 dni | Wyloty z Warszawy

Wesele Figara i Madame Butterfly (Premiera) | 02/07 2026 | od 6.498,–

Wesele Figara i Nabucco | 15/07 2026 | od 6.498,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW05

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 74c5a22a0e

WAŻNY TEMAT

PRYWATNA ARMIA TRUMPA

W ciągu roku Donald Trump zamienił ICE w jednostkę realizującą jego politykę i cele ruchu MAGA. Z budżetem większym niż na wojsko przeznaczają Meksyk, Hiszpania, a nawet Turcja.

Mateusz Mazzini

Spośród wszystkich formacji mundurowych na świecie, realizujących prerogatywę państwa polegającą na monopolu na przemoc i kontrolę aparatu przymusu, największy budżet posiadają siły zbrojne USA. Na drugim miejscu, co dziwić nie powinno, jest Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Potem: Rosja, Niemcy, Indie, Francja – kraje, o których wiadomo, że wydają potężne kwoty na konwencjonalną obronność.

Jak wynika z wyliczeń Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań Pokojowych (SIPRI), Polska w rankingu krajów z najwyższymi budżetami wojskowymi plasuje się na 13. miejscu na świecie. Przeznacza na ten cel 38 miliardów dolarów rocznie, niewiele więcej od Włoch, tuż nad nami jest Izrael, pod nami Australia.

Gdyby ten ranking potraktować szeroko i uwzględnić w nim nie tylko regularne armie, ale też wszystkie instytucje państwowe, zaraz za Australią należałoby umieścić United States Immigration and Customs Enforcement (ICE), zbrojne ramię amerykańskiej służby celno-imigracyjnej podlegającej Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DHS).

Według analiz i monitoringu dokumentów publicznych naukowców z Brennan Center for Justice – jednostki Uniwersytetu Nowojorskiego (NYU) będącej dzisiaj w awangardzie badań nad państwową przemocą egzekwowaną przez rząd federalny w drugiej kadencji Trumpa – roczny budżet ICE wynosi około 30 miliardów dolarów. To więcej, niż na wojsko przeznaczają Meksyk, Holandia, Hiszpania czy nawet Turcja.

Jeśli wziąć pod uwagę całą kwotę, którą przypisano dla tej organizacji w perspektywie czteroletniej w przyjętym w ubiegłym roku Wielkim Pięknym Budżecie Trumpa, portfel ICE puchnie do 75 miliardów dolarów. A to już więcej, niż na swoje armie wydają Francuzi, Ukraińcy czy Koreańczycy z Południa.

ICE, Kristi Noem wymienia kadry

Same kwoty niekoniecznie oddają skalę dostępnych środków i narzędzi, warto więc wpisać je w szerszy kontekst instytucjonalny. W przypadku ICE nie ma bowiem mowy o regularnej armii, która ma tony sprzętu, regularnie ćwiczy, bierze udział w międzynarodowych misjach. Wręcz przeciwnie – w porównaniu z jakimkolwiek wojskiem to służba mikroskopijna.

Według danych DHS w styczniu 2026 r. w ICE służyło zaledwie 22 tysiące agentów. Co więcej, mniej niż połowa z nich to agenci czynni, zdolni do pracy terenowej. Kadry ICE na łamach magazynu „The Atlantic" przeanalizował Nick Miroff, poddając weryfikacji propagandę DHS o rzekomych niesamowitych sukcesach rekrutacyjnych.

Szefowa departamentu Kristi Noem, znana u nas z udzielenia bezpośredniego wsparcia Karolowi Nawrockiemu przed drugą turą wyborów prezydenckich, chwali się, że do ICE dołączyło ponad 12 tysięcy osób w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Zgłoszeń było aż 220 tysięcy ale, jak zauważa Miroff, ta liczba nie jest do końca miarodajna, bo wielu kandydatów aplikowało na kilka stanowisk jednocześnie.

Co więcej, nowi rekruci, co potwierdzają źródła wewnątrz ICE i DHS, nie nadają się jeszcze do wypuszczenia na ulice amerykańskich miast. Wielu ma gigantyczny problem z kondycją fizyczną, do tego stopnia, że w niektórych oddziałach odrzucono ponad 50 procent kandydatów, bo oblali testy sprawnościowe.

Inni nie przeszli jeszcze podstawowego przeszkolenia z obsługi broni palnej, nie znają zakresu własnych obowiązków i, co najważniejsze, prawa, którego powinni przestrzegać, żeby nie naruszać regulacji federalnych ani konstytucji.

Nie zmienia to jednak faktu, że ICE, nie tylko pod względem liczb, jest po pierwszym roku drugiej kadencji Trumpa całkowicie inną instytucją niż ta, którą zostawiała administracja Joego Bidena.

Wtedy, uśredniając, czynnych agentów było 7 tysięcy. Jednak, jak zauważa Caitlin Dickerson, reporterka „The Atlantic" (nagrodzona Pulitzerem za teksty o rozdzielaniu rodzin na granicy z Meksykiem w pierwszej kadencji Trumpa), dzisiejsi agenci ICE – zamaskowani, uzbrojeni po zęby, wyposażeni w najnowszą technologię inwigilacyjną, odpowiedzialni za śmierć Renee Good i Alexa Prettiego w Minneapolis – to w większości nie są ci sami ludzie, którzy służyli w tej jednostce za czasów Bidena, Obamy czy nawet w pierwszej kadencji Trumpa.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, jak wielka była wymiana personelu po 20 stycznia 2025 roku. Dziennikarze zajmujący się imigracją, jak Dickerson czy Jonathan Blizter z „New Yorkera", szacują, że mogło to być od połowy do nawet trzech czwartych wszystkich czynnych agentów. Jeśli dodać do tego:

- bezprecedensowy budżet, większy niż pieniądze przyznane jakiejkolwiek poza armią instytucji mundurowej w historii USA;
- narzędzia przekazane przez amerykańskie koncerny technologiczne;
- nieograniczony kapitał polityczny i mecenat najważniejszych ludzi w administracji, w praktyce dający całkowitą bezkarność;

– to od razu widać, że ICE przestało być po prostu jedną z wielu instytucji federalnych, które ścigają w USA przestępców.

FOT. VICTOR J. BLUE/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Po pierwszym roku II kadencji Trumpa ICE – zbrojne ramię amerykańskiej służby celno-imigracyjnej, nie tylko z powodu ogromnego budżetu, jest całkowicie inną instytucją niż ta, którą zostawiała administracja Joego Bidena

ICE, służba zależna od polityków

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że dziś jest to brutalna i częściowo pozapaństwowa struktura realizująca polityczne cele Donalda Trumpa i ruchu MAGA. Nigdy w historii Stanów Zjednoczonych żadna formacja nie zbliżyła się do miana prywatnej armii zależnej

eprasa.pl 74c5a22a0e

• **Funkcjonariusz atakuje demonstranta gazem pieprzowym podczas protestu przeciwko ICE. Miejscowość St. Paul w stanie Minnesota, 17. 01. 2026 r.**

wyłącznie od władzy wykonawczej w takim stopniu, w jakim zależna jest w tej chwili ICE.

Teoretycznie ICE jest służbą imigracyjną, która docelowo ma działać w głębi kraju, a nie na jego granicach. Tam dominuje Border Patrol, odpowiednik naszej Straży Granicznej, formacja o tradycyjnie znacznie szerszych uprawnieniach, luźniejszych restrykcjach w kwestii użycia siły i innym profilu działalności. Co akurat jest logiczne, bo patrolowanie i ochrona granicy różni się diametralnie od ścigania i prób aresztowania nielegalnych imigrantów, którzy znajdują się już w kraju i mieszkają często pomiędzy pełnoprawnymi obywatelami.

Praca agentów ICE wymagała innych umiejętności niż te, które wpaja się zwykłym celnikom. Na czynniki pierwsze rozłożyła to Dickerson nie tylko w ostatnich publikacjach w „The Atlantic", ale też w niedawnej rozmowie z Ezrą Kleinem z „New York Timesa".

Przypomniała, że do tej pory agenci ICE pracowali głównie zza biurek, a większość zajęć polegała na wykonywaniu zadań administracyjnych i biurokratycznych. To logiczne, jeśli się zrozumie, jakie były ich cele.

Krótko mówiąc, ICE istnieje po to, żeby wyłapywać osoby przebywające w USA na stałe bez żadnych podstaw prawnych. Imigrantów, którzy przekroczyli granicę nielegalnie albo nie opuścili kraju po wygaśnięciu wiz. Ci, którym udało się przedostać przez sito pograniczników, mieli trafiać właśnie w ręce tej formacji. Dickerson ma jednak rację, gdy przypomina, że każda administracja miała własne priorytety co do tego, kto dokładnie ma być wyłapywany przez ICE i deportowany do kraju pochodzenia.

To ważny element tej analizy, bo pokazuje, że ICE zawsze było służbą upolitycznioną, bez jasnych prerogatyw, a przynajmniej takich, które byłyby ściśle skodyfikowane i zapisane w regulacjach federalnych. Kolejni szefowie tej organizacji, cieszącej się relatywnie niewielkim prestiżem w porównaniu z FBI, CIA, DEA czy innymi trzyliterowymi agencjami w amerykańskim rządzie, całkowicie podlegali politycznym instrukcjom z Białego Domu.

ICE, podobnie jak cały Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, powołał do życia George W. Bush podczas swojej pierwszej kadencji. Był to jeden z kluczowych elementów procesu militaryzacji życia publicznego w USA i budowy państwa nadzoru, co było odpowiedzią na ataki z 11 września 2001 r. i początkiem globalnej wojny z terroryzmem. Jest więc oczywiste, że pierwsze wcielenia ICE koncentrowały się na imigrantach z krajów bliskowschodnich i muzułmańskich i szukały w tych społecznościach związków z Al-Kaidą i innymi organizacjami terrorystycznymi.

Drugą grupą pod specjalnym nadzorem byli Meksykanie i Kolumbijczycy, bo Bush junior walczył też z kartelami narkotykowymi. Jeśli jednak ktoś nie pochodził z krajów szczególnego ryzyka, był w USA odpowiednio długo, pracował i nie miał problemów z prawem, ICE niemal na pewno się nim nie interesowało.

Biden pozwalał, Trump przykręcił śrubę

Za czasów Baracka Obamy utrzymano mniej więcej ten sam kurs, za pierwszej kadencji Trumpa było tak samo, tylko bardziej, bo tamta ekipa była pierwszą we współczesnej historii USA, która normalizowała supremację rasową białych. Przełom nastąpił później, ale, co ciekawe, nie w drugiej kadencji Trumpa, ale za cza-

eprasa.pl 74c5a22a0e

FOT. VICTOR J. BLUE/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

• **Patrole siły federalnych na ulicach Minneapolis w stanie Minnesota (11.01.2026 r.). Po tym jak agent ICE śmiertelnie postrzelił na ulicy kobietę (Renee Nicole Good) zaostrzył się protesty społeczne przeciwko represyjnej antyimigranckiej polityce administracji Trumpa**

30

MILIARDÓW DOLARÓW

• **wynosi roczny budżet ICE, to więcej niż na wojsko wydają rocznie: Meksyk, Hiszpania, Holandia, a nawet Turcja**

FOT. MADISON THORN/ANADOLU/GETTY IMAGES

▶ **Agenci Służby Imigracyjnej i Celnej (ICE) zatrzymują mężczyznę przed jego domem w St. Paul w stanie Minnesota (27.01. 2026 r.)**

sów Joego Bidena. Nie można pominąć faktu, że poprzednia władza federalna miała luźne podejście do nielegalnej imigracji. Nie tylko z powodu bardzo dużej liczby przekroczeń granicy bez wymaganych dokumentów, ale też mniejszej liczby deportacji czy interwencji ICE.

Krótko mówiąc, w latach 2021-2024 agenci tej służby mieli ścigać przede wszystkim osoby, które są w kraju nielegalnie i co do których istnieje poważne podejrzenie, że zajmują się działalnością kryminalną.

Reszta mogła liczyć na to, że zostaną zignorowani albo że administracja otworzy im drogę do legalizacji pobytu w USA, a nawet uzyskania obywatelstwa.

Nie ignorując obecnej brutalności, przemocy, bezprawnego działania i egzekucji obywateli USA na ulicach Minneapolis, bo śmierci Prettiego i Good nie da się inaczej nazwać, – trzeba jednak nie wspomnieć o filozofii Bidena: administracja Demokratów miała bardzo permisywny stosunek do nielegalnej imigracji.

Widać to zresztą w danych, bo w pierwszym roku rządów Trumpa liczba interwencji agentów Straży Granicznej w kontaktach z imigrantami próbującymi dostać się do USA bez dokumentów była niższa aż o 85 proc. w stosunku do ostatniego roku kadencji Bidena. Nawet jeśli te liczby, podawane przez DHS, są nieco zawyżone, to organizacje pozarządowe i badawcze, jak prestiżowy Migration Policy Institute, w dużej mierze je potwierdzają. Według badań tej ostatniej instytucji w 2025 roku do USA dostało się mniej więcej 440 tysięcy migrantów bez wymaganych dokumentów. To pięć razy mniej niż rok wcześniej, gdy w Białym Domu gospodarzem był Biden.

Do pewnego stopnia można, jak robią to progresywni i liberalni dziennikarze, te zmiany wytłumaczyć pandemią koronawirusa – w czasie kwarantanny liczba migrantów z oczywistych względów spadła, potem gwałtownie przyspieszyła, co przypadło akurat na rządy Bidena. Teraz sytuacja się stabilizuje. To jednak pudrowanie rzeczywistości, sam lockdown i obawa przed chorobą nie wyjaśniają tak dużej zmiany.

Nie da się zatuszować egzekucji dokonanych przez ICE

Chęć zatrzymania nielegalnej imigracji to jednak nie to samo co terroryzowanie całych społeczności i miast jak Ameryka długa i szeroka. O ile z samym postulatem uszczelnienia granicy można się utożsamiać i pewnie pozwoliłby on zbić spory kapitał polityczny nawet w amerykańskim centrum, to już oddanie dziesięciu strzałów do nieuzbrojonego, obezwładnionego pielęgniarza, obywatela USA, nie można tłumaczyć walką z nielegalną imigracją. To nie jest działanie zwiększające bezpieczeństwo publiczne, tylko sankcjonowana przez państwo polityczna przemoc.

Nic nie zwiększyło polaryzacji w amerykańskim społeczeństwie bardziej niż działalność ICE w Minneapolis. Wprawdzie w 2025 roku przeciwnicy Trumpa kilkukrotnie wychodzili na ulicę w wielomilionowych marszach pod hasłem „No Kings", ale one nigdy nie zgromadziły na tyle dużej liczby uczestników, by stać się realnym zagrożeniem dla stabilności koalicji MAGA, nie mówiąc o samym Trumpie. Z kolei zwykli Republikanie zwyczajnie te marsze ignorowali, bo odbywały się poza sezonem wyborczym, sporadycznie, nie miały też żadnego konstruktywnego przekazu.

Teraz jest inaczej, bo w dobie mediów społecznościowych nie jest wcale łatwo narzucić własną interpretację wydarzeń, jeśli w ekspresowym tempie po sieci rozprzestrzeniają się nagrania dokumentujące przekroczenia uprawnień przez agentów ICE. Śmierć Renee Good i Alexa Prettiego nagrali przypadkowi świadkowie i natychmiast wrzucili zdjęcia i filmy do internetu.

Zwłaszcza historia Prettiego jest dramatyczna, bo nie da się w żaden sposób uzasadnić forsowanej przez Kristi Noem i doradcę ds. bezpieczeństwa wewnętrznego oraz wiceszefa personelu w Białym Domu Stephena Millera narracji o tym, że zagrażał agentom, z którymi wszedł w interakcję. Zespół BBC Verify, jednostki brytyjskiej telewizji zajmującej się fact-checkingiem i weryfikacją obrazów cyfrowych, przeprowadził drobiazgową analizę kilku nagrań z miejsca śmierci Prettiego.

Brytyjczycy dowiedli klatka po klatce, że pielęgniarz nigdy nie wymachiwał do agentów bronią, nie stawiał oporu, a strzały, w tym jeden w tył głowy, oddano w jego kierunku, gdy był już na ziemi, całkowicie obezwładniony.

Nie potrzeba jednak zespołu ekspertów, żeby dojść do tej samej konkluzji. Agenci ICE w Minneapolis zabili bezbronnego obywatela USA, który w dodatku chciał udzielić pomocy osobie wcześniej poszkodowanej przez mundurowych. „The Wall Street Journal", konserwatywny dziennik należący do Ruperta Murdocha, opublikował w ubiegłym tygodniu reportaż dokumentujący kryzys narracyjny i strategiczny w ekipie Trumpa, który wybuchł w pierwszym godzinach po śmierci Prettiego i doprowadził do zmiany – nawet jeśli kosmetycznej – kursu wobec działań w Minneapolis.

Kiedy Pretti został zastrzelony, Miller, Noem i Greg Bovino, szef Straży Granicznej i jednocześnie dowódca wszystkich oddziałów federalnych zajmujących się migrantami w Minneapolis, zrobili to samo co w przypadku Renee Good. I to samo, co zawsze robi rewolucyjny, radykalizujący się ruch polityczny – zaczęli eskalować konflikt narracyjny, przedstawiając własną wersję wydarzeń, zrzucającą winę na protestujących.

Agenci ICE szkoleni przez internet, rekrutacja na nazistowskich wzorach

Prawdą jest, że w Minneapolis od tygodni dochodzi do starć demonstrantów z ICE, ale w zdecydowanej większości przypadków są to starcia relatywnie bez konsekwencji – głównie z powodu gigantycznej asymetrii dostępnych środków. Ludzie wychodzą na ulice, bronią swoich sąsiadów, współpracowników, nauczyciele chowają w klasach swoich uczniów. Agenci ICE reagują coraz bardziej nerwowo, a ponieważ są w większości przypadków fatalnie przeszkoleni, często sięgają po środki przymusu bezpośredniego. To właśnie główna konsekwencja ekspresowej wymiany kadr w ICE i całym DHS.

Caitlin Dickerson zauważyła w rozmowie z Ezrą Kleinem, że przed drugą kadencją Trumpa większym problemem bywało to, że agenci nie używali broni palnej w sytuacjach zagrożenia, niż to, że byli agresywni. Ponieważ ich zadaniem było wyłapywanie wyłącznie osób z przeszłością kryminalną, musieli najpierw wykonać gigantyczną pracę przy biurku, przeglądnąć dostępne dokumenty, pozyskać potrzebne informacje z różnych agencji federalnych, żeby mieć pewność, że aresztują osobę, co do której są podstawy prawne do deportacji.

Z kolei Nick Miroff pisze, iż teraz do ICE zgłaszają się ludzie całkowicie niedoświadczeni, a agencja znajdująca się pod gigantyczną presją, bo Trump i Miller oczekują zamykania w aresztach i deportacji milionów ludzi, nie jest w stanie zapewnić im odpowiedniego przeszkolenia. Część treningu odbywa się więc przez internet, choć DHS zapewnia, że szkolenia online przeznaczone są tylko dla tych rekrutów, którzy przychodzą do ICE z innych formacji mundurowych. Te informacje potwierdzają gubernatorzy stanów, w których doszło już do desantu służb imigracyjnych, jak Kalifornia czy Maine. Nawet jeśli DHS i Kristi Noem mówią prawdę, to taka taktyka budzi wątpliwości, przecież przez internet nie da się wysymulować wszystkich sytuacji, w których agent może się znaleźć w terenie. A na podstawie takiego treningu miałby wiedzieć, jakie ma uprawnienia i do czego może się posunąć.

Drugim problemem jest to, kto do takiej rekrutacji w ogóle się zgłasza. Badali to dziennikarze zajmujący się amerykańską skrajną prawicą, w tym Will Sommer z platformy The Bulwark czy Luke Mogelson, autor poświęconej ruchowi QAnon książki „The Storm is Here". Wskazują, że głównym obszarem rekrutacyjnym dla ICE są dzisiaj ruchy i bojówki z radykalnego skrzydła MAGA, czyli osoby często posiadające własną broń palną, ale deklarujące poglądy rasistowskie, ksenofobiczne, nierzadko w przeszłości monitorowane przez FBI z powodu ekstremistycznej działalności w internecie.

Zdaniem autorów i badaczy skrajnej prawicy nie ma żadnego przypadku w tym, że plakaty rekrutacyjne czy cała propaganda wizualna tworzona w mediach społecznościowych przez DHS jawnie małpuje propagandę nazistowską, używając tych samych symboli, haseł i kompozycji graficznych co NSDAP. Powód jest dość oczywisty – dla potencjalnych rekrutów, którzy od lat siedzą na forach internetowych i są przesiąknięci teoriami spiskowymi, to przekaz bardzo łatwy do odcyfrowania. Patrzą na plakat mówiący o potrzebie odnowy Stanów Zjednoczonych i doskonale wiedzą, że to wezwanie do oczyszczenia kraju z imigrantów, a może nawet wszystkich, którzy nie pasują do wizji narodu opartego na wierze chrześcijańskiej, dominacji mężczyzny nad kobietą i białym kolorze skóry.

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

FOT. SCREEN ICE.GOV

• **„Myślisz, że znasz ICE"? Kadr z filmu zamieszczonego na oficjalnej stronie ICE. Po obejrzeniu już wiemy, że to teraz najważniejsza ze służb zapewniających bezpieczństwo w USA**

W 2025 roku do USA dostało się mniej więcej 440 tysięcy migrantów bez wymaganych dokumentów. To pięć razy mniej niż rok wcześniej, kiedy w Białym Domu gospodarzem był prezydent Joe Biden

Stephen Miller, „sekretarz do spraw imperializmu"

Kluczową postacią rewolucji, która wydarzyła się w całym ekosystemie walki z nielegalną imigracją w USA, jest wspomniany już Stephen Miller. Nigdy nie ukrywał swoich radykalnych poglądów ani własnych ambicji politycznych. W internecie można przeczytać wywiad z jednym z jego wykładowców z uniwersytetu Duke, na który Miller uczęszczał na początku XXI wieku. Już wtedy miał mówić na zajęciach, że kiedyś będzie pracować w Białym Domu dla bardzo konserwatywnego prezydenta. Dziś jest prawdopodobnie najbardziej wpływowym członkiem administracji obok Marco Rubio i J.D. Vance'a.

Ponieważ wokół Trumpa nie ma już, odwrotnie niż w pierwszej kadencji, nikogo, kto byłby po prostu doświadczonym urzędnikiem, zdolnym do powstrzymania najgorszych instynktów samego prezydenta, również Miller nie musi się ukrywać ze swoimi poglądami. Jeden z moich rozmówców, proszący o anonimowość dyplomata, który odszedł z Departamentu Stanu w kwietniu ubiegłego roku, nazwał Millera „samozwańczym sekretarzem do spraw amerykańskiego imperializmu".

Nikt do końca nie wie, co on tak naprawdę chce osiągnąć. Większość obserwatorów zgadza się jednak co do kluczowej konkluzji: dla Millera, tak jak dla samego Trumpa, nie ma już rzeczy niemożliwych. Można marzyć o najbardziej radykalnych projektach, bo potencjalnie nic nie stanie na przeszkodzie, żeby je wcielić w życie. Na przykład, żeby zamienić Stany Zjednoczone w całkowity monolit rasowy.

Na taki element potencjalnej strategii Millera zwróciła mi uwagę Asha Rangappa, była agentka FBI, dzisiaj wykładowczyni na Yale University i twórczyni poczytnego bloga The Freedom Academy. Kiedy zdziwiony takim stwierdzeniem zwróciłem jej uwagę, że w praktyce oznaczałoby to konieczność deportowania 40 procent amerykańskiej populacji, Asha zaśmiała się do słuchawki i powiedziała: „Nie próbuj znaleźć śladów racjonalizmu w celach polityki Millera i tej administracji".

W wywiadach telewizyjnych Stephen Miller często zachęca agentów ICE do interwencji na granicy albo wręcz poza prawem, przy użyciu siły, bez względu na konsekwencje. W jednym z programów powiedział nawet, że pracownicy tej służby mają „pełne federalne immunitety" i „nikt nie może powstrzymać ich przed realizacją ich prawnych obowiązków". Biorąc jednak pod uwagę fakt, że obowiązki te są często kwestią interpretacji i woli politycznej, trudno nie uznać takiego komunikatu jako przyzwolenie na użycie dowolnych instrumentów, łącznie z bronią palną, kiedy uważa się to za stosowne.

Te zamieszki to wina... Demokratów

Analitycy o bardziej chłodnych głowach widzą w tym dowód na gigantyczną presję, pod którą znajduje się Miller. Trump oczekuje skalpu w postaci milionów deportowanych imigrantów, więc jego doradca do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego potrzebuje ludzi, którzy cel ten zrealizują możliwie szybko. Nie ma więc sensu oglądać się na prawa obywatelskie, trzeba aresztować, kogo się da. Liberalni komentatorzy interpretują to jako dowód na przekonanie o wiecznej władzy ruchu MAGA, jakby żadne wybory skutkujące utratą władzy miały się już w USA nie wydarzyć.

Po co martwić się konsekwencjami, jeśli nigdy nie znajdziemy się w opozycji, więc nikt nas nie rozliczy?

Druga strona tego sporu ma jednak całkowicie inne zdanie na temat wydarzeń w Minneapolis i całej strategii antyimigracyjnej Trumpa. Na potrzeby tego tekstu na rozmowę zgodził się zastrzegający sobie anonimowość urzędnik wysokiego szczebla amerykańskiej administracji, który podczas pierwszej kadencji Trumpa pracował w DHS. Dzisiaj przeszedł do innej instytucji, ale w ramach swoich kompetencji on i jego podwładni współpracują między innymi właśnie z ICE.

Na pytanie o powód, dla którego do eskalacji doszło właśnie w Minneapolis, odpowiada, że się z taką interpretacją wydarzeń nie zgadza.

– Odrzucam twój argument, że w Minnesocie doszło do jakiejkolwiek eskalacji – tłumaczy.

Ale Minneapolis to nie jest pierwsze miasto, w którym doszło do starć ICE z demonstrantami, lecz ani w Los Angeles, ani w Nowym Jorku nie było tak ostro – dopytuję.

Urzędnik tłumaczy mi, że w żadnym innym stanie administracja nie spotkała się z tak całkowitą odmową współpracy ze strony władz miejskich i stanowych. Jest zdania, że rządzący tam Demokraci sami na siebie sprowadzili nieszczęście. Zapewnianie porządku publicznego, zarówno w czasie demonstracji, jak i przy aresztowaniach nielegalnych imigrantów, jest kompetencją władz lokalnych, pisze mi w wiadomości.

To akurat jest zgodne ze stanem prawnym. Zdaniem mojego rozmówcy dotychczas w każdym miejscu, w którym pojawiał się ICE, Demokraci w mniejszym bądź większym stopniu współpracowali z agentami federalnymi. W Minnesocie, jak twierdzi, nie ma żadnej współpracy, wręcz nastąpiła jej wyraźna odmowa.

Nie stwierdził tego wprost, ale wymowa tej wypowiedzi jest jasna. Służby imigracyjne nie miały wyjścia, musiały zacząć okupację miasta i pacyfikację tłumów, bo na miejscu władzę sprawują Demokraci utrudniający im działania. ICE zostało wręcz zmuszone do zachowania, które coraz więcej osób porównuje do działań Gestapo. Zdaniem mojego rozmówcy rasizm, ideologia czy inne kwestie światopoglądowe nie mają z tym nic wspólnego, chodzi wyłącznie o egzekwowanie prawa.

Zarówno z tej rozmowy, jak i z wielu innych przeprowadzonych na potrzeby tego tekstu wyłania się obraz Ameryki nieprawdopodobnie podzielonej. Nie istnieje jedna przyczyna takiego stanu rzeczy, bo obie strony konfliktu są szerokimi stronnictwami, koalicjami różnych ruchów i poglądów. U Demokratów są ludzie, którzy chcą całkowitej amnestii dla wszystkich nielegalnych imigrantów, oraz tacy, których przeraża agresja ICE. Republikanie z kolei bywają motywowani nie tylko rasizmem, ideologią, resentymentem, ale też realnymi obawami o bezpieczeństwo wewnętrzne. Jednocześnie obwiniają siebie nawzajem o zrujnowanie państwa i społeczeństwa.

Jeśli kiedykolwiek naprawdę istniała jedna, wspólna Ameryka, to w Minneapolis w styczniu 2026 roku definitywnie doszło do jej rozpadu. ●

eprasa.pl 74c5a22a0e

KRAJ

WYPEŁNIAM PUSTKĘ W POSTĘPOWYM CENTRUM

Czy Warszawa to miasto, w którym nauczyciel zarabiający 5 tysięcy na rękę czuje się dobrze? Czy ludzi wykonujących inne zawody z kategorii „średnia krajowa" stać na życie w stolicy?

Z **JANEM MENCWELEM,** RADNYM WARSZAWY, ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

FOT. **DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Jan Mencwel

• radny Warszawy, związany z Miasto Jest Nasze, czyli największym ruchem miejskim w stolicy. Studiował w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, prowadził „Magazyn Kontakt" wydawany przez Klub Inteligencji Katolickiej, napisał dwie książki – „Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta" oraz "Hydrozagadka. Kto zabiera polską wodę i jak ją odzyskać". Ma 42 lata, troje dzieci, mieszka na Pradze, czyli dzielnicy powoli gentryfikującej się, ale wciąż kojarzonej raczej z klasą robotniczą, tanimi barami i bazarami.

eprasa.pl 74c5a22a0e

Dlaczego chce mi pan zakazać wjazdu samochodem do centrum Warszawy?
– Nikomu nie chcę niczego zakazywać. Wręcz odwrotnie: uważam, że osoby, które nadal, pomimo tak świetnego transportu publicznego do śródmieścia, z jakiegoś powodu chcą tu wjechać prywatnym samochodem, powinny mieć taką możliwość.

Jako Miasto Jest Nasze opowiadamy się po prostu za tym, by priorytetem dla polityki miejskiej było wspieranie innych środków transportu. Skorzystają na tym wszyscy, kierowcy też. Bo każdy pasażer i pasażerka tramwaju, autobusu, metra, każda osoba na rowerze to jeden samochód mniej na ulicach Warszawy.

Załóżmy, że pracuję w biurowcu przy ulicy Świętokrzyskiej i dojeżdżam tu codziennie z Białołęki. Według pana mógłbym na osiem godzin parkować tu swoje auto i jechać nim przez całe miasto?
– Nigdy nie aspirowaliśmy do tego, żeby mówić ludziom, w jaki sposób mają się poruszać po mieście. Skrajna prawica zdołała wmówić niektórym wyborcom, że chcemy czegoś zakazywać. Nie. My po prostu chcemy inaczej ustawiać priorytety w wydawaniu środków publicznych i przekazywać je głównie na transport publiczny lub poprawę warunków pieszym i rowerzystom. Zwyczajnie wierzymy, że dzięki temu zmienią się codzienne decyzje ludzi, które będą modelowane przez politykę miejską.

I to już się w Warszawie dzieje: ponad połowa osób wybiera na co dzień transport publiczny. A liczba użytkowników roweru rośnie z roku na rok.

Ale ja nie mam ochoty jeździć do pracy rowerem kilku kilometrów dziennie, ponieważ pracuję w korporacji i muszę porządnie wyglądać. A po drodze zostawiam dziecko w szkole na Mokotowie, czyli w jeszcze innej dzielnicy. Mam je wozić na bagażniku?
– Na Mokotów dojeżdża metro. Powinniśmy budować lepsze centra przesiadkowe, żeby zachęcać do przesiadek na metro czy tramwaje. Tymczasem w Warszawie przy ostatniej stacji drugiej linii metra, czyli na Bródnie, nie ma ciągle – obiecanego wiele lat temu – parkingu, który miałby obsłużyć ruch samochodowy ze skrajnych dzielnic i dalszych przedmieść.

Absolutnie rozumiem pańskie problemy, w takich nowszych, odleglejszych dzielnicach jest ciężko z transportem publicznym, nadal nie ma linii tramwajowych. Które obiecała jeszcze Hanna Gronkiewicz-Waltz, a nie zaczęto ich nawet budować.

A może to wszystko, co pan proponuje, nie interesuje ludzi? Przy Świętokrzyskiej – czyli w odnowionym sercu miasta – mamy tramwaje, autobusy, dwie linie metra, a nadal ulice są zatłoczone samochodami. Pan chce na siłę uszczęśliwiać ludzi?
– To, co się wydarzyło w centrum, pokazuje, że moje podejście się sprawdza. Marszałkowska na centralnym odcinku została ostatnio zwężona do dwóch pasów. Mimo to w godzinach szczytu nie jest aż tak zatłoczona, jak jeszcze kilka lat temu. Jednocześnie dojazd tutaj metrem, tramwajem czy rowerem się poprawił, wygodniej też poruszać się pieszo. Widać więc, że połączenie tych dwóch decyzji – czyli zwężenie ruchliwej ulicy, żeby móc posadzić drzewa, wyznaczyć drogi rowerowe i wygodne chodniki, oraz inwestycje w transport publiczny – przynosi efekty. Postulowaliśmy to od lat. I co? I teraz to Rafał Trzaskowski sadzi w centrum drzewa, poszerza chodniki i buduje drogi rowerowe.

Kosztem innych dzielnic, które są zakorkowane i niedoinwestowane.
– Tu muszę się z panem zgodzić. To obecnie największy mój zarzut – może poza zaniechaniem polityki mieszkaniowej – wobec prezydenta Warszawy. Zajmuje się głównie ścisłym centrum miasta, tu wdraża potrzebne zmiany, ale wystarczy przejść się Targową czy Grochowską, by zobaczyć żywy skansen lat 90. A to przecież największe, reprezentacyjne wydawałoby się, ulice prawobrzeżnej Warszawy. To się musi zmienić.

Ludzie obawiają się też, że w wyniku państwa postulatów ceny za parkowanie w centrum radykalnie wzrosną. Nie tylko w Warszawie – bo na Miasto Jest Nasze oglądają się aktywiści z innych ośrodków. A inne metropolie i mniejsze miasta wzorują na politykach stolicy.
– Porównując ceny parkowania w warszawskim śródmieściu z innymi miastami wojewódzkimi w Polsce, trzeba stwierdzić, że w Warszawie parkowanie jest tanie. A weźmy czeską Pragę, gdzie cena za parkowanie w centrum jest dwa razy wyższa niż w naszej stolicy. Ale czy uważam, że podniesienie opłat za parkowanie jest najważniejszą sprawą, którą trzeba zrobić w Warszawie? Nie, niemniej docelowo w ścisłym Śródmieściu ceny powinny wyższe o kilka złotych. Świat by się nie zawalił, wręcz przeciwnie, byłoby łatwiej o wolne miejsce.

Niektórzy mówią o 15 złotych za godzinę.
– A ja słyszę o ludziach przyjeżdżających do opery, których przeraża perspektywa płacenia za parking. I zastanawiam się, czy 30 złotych za trzy godziny postoju to dla nich spory koszt, skoro wydali 300 za dwa bilety na wizytę w teatrze?

Powiem inaczej: w centrum powinno być sporo miejsc parkingowych wykorzystywanych na krótkie postoje. One mogłyby być nieco droższe niż teraz. W wielu krajach europejskich postój w śródmieściu jest limitowany, rzadko się zdarza zaparkować na ulicy na osiem godzin. Można się zatrzymać na dwie godziny, a potem trzeba przeparkować samochód. Chodzi o to, by wymusić rotację wolnych miejsc.

Ludzi przyjeżdżających do opery przeraża perspektywa płacenia za parking. Zastanawiam się, czy 30 zł za dwie godziny postoju to dla nich spory koszt, skoro już wydali 300 zł na bilety do teatru

To weźmy kolejny przykład, który denerwuje wielu zwykłych mieszkańców: urzędnicy – przy wsparciu aktywistów – stawiają na każdym kroku słupki. Nawet na tych chodnikach czy skwerach, na które nigdy nie wjechał żaden samochód. Estetyka na tym cierpi, delikatnie mówiąc.
– Nie wiem, skąd wiadomość, że słupki denerwują zwykłych mieszkańców, bo do mnie ci zwykli mieszkańcy piszą z prośbami, żeby je dostawić. Zresztą umówmy się: brzydsze niż słupki są jednak rozjechane przez koła aut trawniki. Ostatnio otworzono po remoncie Plac Powstańców Warszawy. Trawniki nie były zasłupkowane i zostały rozjechane w jeden dzień. A najważniejsze jest to, że słupki chronią przed zastawianiem chodników. Co czasami sprawia, że na przykład rodzic z wózkiem dziecięcym ma zablokowane przejście.

Ale estetykę jeszcze podrążę, bo to problem nie tylko stołeczny. Nie odnosi pan wrażenia, że te wszystkie zmiany w centrach związane z zielenią, zwężaniem ulic, przebudową chodników, skutkują jeszcze większą liczbą znaków drogowych oraz tzw. świętych skrzynek z kablami, rozrzuconych przypadkowo, bez prób wkomponowania w otoczenie? Czyli polskim chaosem do kwadratu.
– W pełni rozumiem pana irytację, sami na to zwracamy uwagę przy przebudowach w Warszawie. Te przykłady dobrze pokazują, jakie znaczenie mają szczegóły w realizacji dobrych pomysłów. A dobre rozwiązania są doskonale znane: przy nowym przejściu przez Marszałkowską w Warszawie udało się schować skrzynki z instalacjami pod ziemię. Jak się chce, to można zrobić naprawdę wiele, aby te zmiany były zrobione porządnie pod każdym względem.

W swojej książce „Betonoza" pisał pan o polskiej skłonności do zalewania miejskich rynków, nawet w małych miasteczkach, betonem. Czy coś się zmieniło w ciągu kilku lat od premiery książki? Może te uporządkowane ryneczki ludziom się podobają?
– Zmieniło się bardzo wiele. Zalewanie rynków betonem się właściwie skończyło. Teraz w modzie wśród samorządowców jest przywracanie tych zielonych miejsc, które wcześniej bez mrugnięcia okiem zniszczyli. Pojawiła się lokalnie dużo większa presja społeczna na to, aby te przestrzenie były zielone. Proces przywrócenia zieleni będzie trwał jeszcze wiele lat, ale widzę, że idzie to w dobrą stronę.

Nie poznaję Jana Mencwela. Kiedyś był pan radykalniejszy – nawoływał do zwężania ulic, wyrzucania aut z centrum, krytykował władze miasta za wspieranie inwestycji drogowych. Skąd ta zmiana?
– Rzeczywistość była bardziej radykalna. Na tle europejskich stolic Warszawa wyglądała okropnie, była zastawiona samochodami, w centrum nie było zieleni, było nieprzyjazne dla pieszych, którzy gubili się w podziemnych tunelach pod największymi rondami w śródmieściu. Władze miasta nie widziały w tym nic złego i chciały dalej poszerzać jezdnie i budować kolejne betonowe pustynie. Dlatego ruchy miejskie musiały powtarzać wyraziste postulaty, nieraz ocierające się o populizm, inaczej nie udałoby się przełamać statusu quo.

Dzisiejsza sytuacja jest inna: udało się nam przestawić wajchę. Rafał Trzaskowski otwiera z pompą przejścia dla pieszych na Marszałkowskiej, buduje linie tramwajowe, zazielenia centrum. I sprzedaje to jako swój sukces, ale to właśnie my przygotowaliśmy grunt pod tę zmianę.

Wspomniał pan o radykalnej prawicy, która wmawia ludziom różne sprawy. A ja mam wrażenie, że dla lewicowych aktywistów, takich jak pan, Konfederacja i Prawo i Sprawiedliwość są w istocie wygodnymi partnerami, ponieważ nagłaśniają wasze istnienie.
– Nie potrzebujemy Konfederacji do nagłośnienia czegokolwiek, radzimy sobie z tym sami. Zresztą tej partii nie ma w Radzie Warszawy, a my jesteśmy.

Nam przede wszystkim zależy na tym, by Warszawa wreszcie rozwijała się na miarę swoich możliwości i ambicji. Uważam, że jest spora pustka w ambitnym, postępowym centrum. Koalicja Obywatelska nie jest w stanie odpowiedzieć na aspiracje wyborców, którzy chcieliby żyć w prawdziwie europejskim mieście. Czyli wyeliminować takie patologie jak całodobowe sklepy z alkoholem lub wszechobecny najem krótkoterminowy mieszkań.

Skoro KO nie jest w stanie odpowiadać na te aspiracje, to dlaczego samodzielnie rządzi Warszawą?
– Ponieważ wielu wyborców przekłada sympatie polityczne na wybory samorządowe. Ktoś, kto głosuje na KO w wyborach parlamentarnych, często automatycznie wybiera prezydenta Warszawy i radnych z tej samej partii. Do tego dochodzi tendencja do głosowania nie za kimś, a przeciw temu drugiemu. W 2018 r. warszawiacy masowo głosowali na Trzaskowskiego, ponieważ obawiali się Patryka Jakiego. W ciągu pierwszej kadencji Rafał Trzaskowski zbudował wizerunek polityczny, choć nie na tyle wiarygodny, żeby wygrać wybory na prezydenta kraju.

To, co pociągnęło go w dół w tych ostatnich wyborach, to skojarzenia z elitami. Nie chodzi o lewicowość, tylko o elitarność. Proszę spojrzeć na dwie flagowe inwestycje Trzaskowskiego – to Muzeum Sztuki Nowoczesnej i kładka nad Wisłą. Jasne – były potrzebne, są fajne i jakoś odpowiadają na ambicje warszawiaków, którzy już nie mają kompleksów względem berlińczyków czy paryżan – ale w Polsce kojarzą się z czymś dziwnym, ekstrawaganckim, dalekim od potrzeb normalnych ludzi.

Może dlatego lewica i ruchy miejskie nie rządzą, ponieważ Rafał Trzaskowski i Koalicja Obywatelska przejmują wasze pomysły? Albo inaczej: słucha mieszkańców, więc ulice są zwężane, buduje się nowe linie tramwajowe, sadzi tysiące drzew, rozwija drogi rowerowe. Więc może powinniście popierać obecną władzę?
– Odpowiem pytaniem. Proszę mi powiedzieć, czy jest jakaś idea, która wyszła od Koalicji Obywatelskiej, a którą realizuje Rafał Trzaskowski?

Darmowe żłobki dla wszystkich dzieci.
– W tym samym czasie KO zamyka w Warszawie przedszkola, ponieważ mamy za mało dzieci, choć można by po prostu zmniejszać oddziały, które są dzisiaj przeładowane. I co poza tym?

Refundowanie in vitro.
– Które finansowały też inne samorządy. A tak poza tym, cały program KO to obrona Warszawy przed PiS-em, który nigdy tu nie będzie rządzić.

Po pierwsze – i co w tym złego? A po drugie – KO i Trzaskowski jednak prezentowali pewien program i dzięki niemu wygrali wybory samorządowe. Bo przecież bez programu, za samo nazwisko, Trzaskowski nie zostałby prezydentem Warszawy, a KO nie zdobyła samodzielności w radzie miasta.
– Mamy jeszcze jeden element tej układanki: o ile mogę się zgodzić, że prezydent Warszawy ma swój program, o tyle szefostwo klubu radnych KO jest wyprane z pomysłów i ambicji, co pokazało głosowanie nad wprowadzeniem ograniczeń dla sklepów monopolowych, kiedy członkowie Koalicji Obywatelskiej głucho posłuchali Marcina Kierwińskiego, szefa partyjnych struktur w stolicy, i sprzeciwili się mieszkańcom oraz swojemu prezydentowi. I naprawdę nie wiem, jaki jest generalny pomysł tej partii na Warszawę.

Nie jest pan niesprawiedliwy? Przecież bez poparcia radnych nie byłoby metra, tramwajów, nowych autobusów, szkół. W ciągu 20 lat Warszawa zmieniła się nie do poznania.
– Tak, ale niech pan zobaczy, jak wiele takich impulsów wyszło od samych mieszkańców i ruchów miejskich, które 10 lat temu zaczęły alarmować, że w nowoczesnym mieście musi być dużo zieleni, szerokie chodniki, bezpieczny ruch uliczny i najlepszy w Europie transport publiczny. Dziś właśnie za to jesteśmy chwaleni na świecie. I jestem dumny z tych zmian.

Bo co mielibyśmy w zamian? Politycy KO bez tego społecznego głosu, jaki my reprezentujemy, chwaliliby się pewnie głównie budową nowych stadionów, dróg i parkingów. Czyli przecinaniem wstęg, bo to najbardziej lubi każda władza. Pewnie wiele drzew by wycięto przy okazji. A dzięki słuchaniu mieszkańców urzędnicy i politycy mogą reagować na nowe problemy, jak na przykład najem krótkoterminowy w centrum. Ostatnio na każdej sesji rady miasta pytam, czy Warszawa ma pomysł na rozwiązanie problemu wyludniającego się śródmieścia, czego przyczyną są zbyt liczne mieszkania wynajmowane turystom.

I jak brzmi odpowiedź urzędników?
– Nie ma jej. Prezydent nigdy nie odniósł się do moich pytań. A według ostrożnych danych co

eprasa.pl 74c5a22a0e

roku śródmieście traci dwa tysiące mieszkańców. Z jednej strony ratusz inwestuje w zmiany w centrum, ale z drugiej – w mieszkaniach są przypadkowi turyści.

A pańska propozycja jak brzmi?
– Można po prostu budować mieszkania.

Które potem ktoś wynajmie turystom.
– Nie, chodzi o mieszkania miejskie na wynajem długoterminowy.

W centrum nie ma miejsca na nowe bloki, przecież chcecie dbać o zieleń.
– Nieprawda. Na każdej sesji Rady Warszawy sprzedajemy – przy naszym sprzeciwie – dobrze zlokalizowaną działkę deweloperom. Może nie w ścisłym centrum, ale niedaleko. Ostatnio sprzedaliśmy działkę na Żelaznej, drugą na Muranowie – niespełna dwa kilometry od Pałacu Kultury, czyli najściślejszego centrum. Na tych działkach powinniśmy budować tanie mieszkania na wynajem dla grup zawodowych, których zaczyna nam brakować w mieście, czyli dla przedszkolanek, nauczycieli, policjantów, pielęgniarek.

Brzmi jak komunizm.
– Brzmi jak europejska polityka łącząca wolny rynek z celami społecznymi. Żadne miasto nie może się obejść bez takich kluczowych zawodów. Oferowanie im tanich mieszkań na wynajem to sposób, żeby zatrzymać tych ludzi w Warszawie.

Chce pan ograniczyć ludziom wynajmowanie na wolnym rynku mieszkań.
– Pytanie, kto ma w Warszawie po kilka nieruchomości.

Mówię o rodzinach, które odziedziczyły mieszkanie po babci i je wynajmują turystom. Co w tym złego?
– Z takimi sytuacjami nie mam problemu. Ale to w Warszawie rzadkość. Częściej zdarzają się milionerzy, którzy odziedziczyli grube miliony i kupili w dobrych czasach kilka mieszkań w śródmieściu, a teraz żyją z wynajmowania ich turystom i właściwie nie muszą chodzić do pracy, ponieważ pensje przynoszą im wynajmujący ich lokale.

I co z tym zrobić?
– Jeśli ta sytuacja nie przynosiłaby negatywnych skutków dla miasta, to nic. Nie jestem politykiem, który ograniczyłby ludziom możliwość zarabiania. Ale dzisiaj wszyscy dokładamy się do tego biznesu, ponieważ to podbija ceny na całym rynku najmu. I przez to student czy młoda para też ma drożej i trudniej. A dodatkowo mamy wyludniające się centrum miasta. Nawet knajpy przestają sobie z tym radzić. Namawiamy więc Rafała Trzaskowskiego do przyjęcia i realizowania odpowiedzialnej polityki mieszkaniowej. Obecnie miasto abdykowało, deweloperzy robią to za prezydenta. Na końcu gotowe mieszkania skupują inwestorzy, a ludzie mieszkają na piętrach bez sąsiadów, bo lokale stoją puste.

Zacząłem się ostatnio zastanawiać nad kondycją Warszawy i zadałem sobie pytanie: czy moje miasto nie stanie się za 10 lat Nowym Jorkiem sprzed Zohrana Mamdaniego, czyli enklawą luksusu, w której będzie tak drogo, że zwykli nowojorczycy nie są w stanie się tam utrzymać? Mamy już Muzeum Sztuki Nowoczesnej, centrum się zmienia, ale czy jest to miasto, w którym nauczyciel zarabiający maksymalnie 5 tysięcy na rękę czuje się dobrze?

Budowa mieszkań komunalnych rozwiązałaby te problemy?
– Na pewno część z nich. Paryż od kilku lat realizuje ciekawą politykę mieszkaniową: buduje nowe miejskie mieszkania w centrum, miesza społeczności. Do bogatych, burżuazyjnych dzielnic wprowadzają się przedstawiciele klasy średniej, sklepikarze, robotnicy, dzięki czemu miasto staje się znowu żywe. Łatwiej się utrzymać niesieciowym lokalom, jest bezpieczniej, lepiej się żyje.

A nie powiedzieliśmy wciąż o demografii. Mamy w Warszawie potężny problem z zastępowalnością pokoleń. To nie przypadek, że miejsca, w których przybywa najwięcej dzieci, znajdują się w obwarzanku warszawskim, gdzie mieszkania są zwyczajnie tańsze. Nie dziwię się warszawiakom, którzy po 35. roku życia nadal mieszkają ze znajomymi, bo nie stać ich na własne mieszkanie, że nie chcą rodzić dzieci. Bo niby gdzie mieliby je wychowywać?

Ale czy nas na to stać?
– Tak, ponieważ stolica ma 30-miliardowy budżet, co stanowi połowę budżetu Estonii. Mamy rekordowo niskie zadłużenie, dużo mniejsze niż większość miast wojewódzkich. Notujemy nadwyżkę, czyli co roku nie jesteśmy w stanie wydać wszystkich pieniędzy. Mamy więc wszystko, żeby powołać miejską spółkę – i nawet niech w niej zasiadają ludzie z klucza partyjnego, jest mi wszystko jedno – która zacznie budować mieszkania.

Dzisiaj mamy Zarządy Gospodarowania Nieruchomościami w każdej dzielnicy, które nie radzą sobie w ogóle z budową nowych budynków. Są w stanie budować jeden blok rocznie i wyremontować kilka mieszkań.

Ale skoro warszawski ratusz nie potrafił budować mieszkań 20 lat temu, nie potrafił 10 lat temu i nadal nie potrafi, może trzeba to zlecić deweloperom?
– Już teraz może to robić na terenach rewitalizowanych: kiedy deweloper planuje budowę bloku, ratusz może mu nakazać przekazanie 10 procent z nich na cele miasta. Nie chodzi o przekazywanie komuś mieszkań za darmo, tylko ich wynajmowanie za nierynkowe stawki. Na przykład na mieszkania służbowe dla policjantów czy nauczycieli, których brakuje.

Pytam o coś innego: czy ratusz może dać pieniądze deweloperowi na budowę w krótkim czasie całego bloku, skoro to prywatne firmy są w tym lepiej wyspecjalizowane niż urząd.
Oczywiście, że budowę mieszkań miejskich można by zlecać prywatnym firmom. Mało tego, deweloperzy chętnie by to robili, bo publiczne kontrakty są stabilne i pewne: nie trzeba się martwić, czy mieszkania się sprzedadzą.

Kto miałby decydować o przydziale mieszkania? Przecież od razu wróciłyby metody znane z poprzedniego systemu, kiedy załatwiało się mieszkania po znajomości.
– Nie uważam, że wszyscy młodzi ludzie rzucą się na tanie mieszkania na wynajem, ponieważ wciąż jesteśmy przywiązani do własności i znaczna część z nich zdecyduje się na kredyty hipoteczne. Zależy mi – tak samo, jak w przypadku samochodów w centrum – na tym, żeby ludzie mieli wybór: jedni będą mogli kupić mieszkanie na wolnym rynku, a drudzy wynająć je od urzędu dzielnicy.

I znowu: Rafał Trzaskowski mógłby wygrać wybory na prezydenta Polski, gdyby realizował politykę mieszkaniową. W kampanii mógłby wtedy powiedzieć, że Warszawa jest też dla zwykłych mieszkańców, którzy mogą liczyć na mieszkania na tani wynajem.

Wszedł pan do rady miasta w tamtym roku z trudnego okręgu, czyli z robotniczego, ludowego, niezamożnego Targówka i Pragi. Jak pan zdołał do siebie przekonać ludzi, którzy raczej głosują na PiS?
– Przede wszystkim musiałem dużo chodzić, być ciągle w terenie. Jasne: internet, serwisy społecznościowe i tak dalej są ważne, ale żeby przełamywać stereotypy – „lewacy", „aktywiści" – najlepiej robić najprostsze rzeczy, czyli rozmawiać osobiście z wyborcami. Widzę to po swoich wynikach – dostałem najwięcej głosów na ulicach i osiedlach, na których spędziłem najwięcej czasu, gdzie odbyłem najwięcej rozmów.

Zaciekawiło mnie, że miałem wielu wyborców Konfederacji czy PiS, a nawet Brauna, którzy nie zgadzali się ze mną w większości spraw, ale zagłosowali na mnie, ponieważ próbowałem ich do siebie przekonać, bo widzieli, że poświęcam im swój czas.

Paryż od kilku lat realizuje ciekawą politykę mieszkaniową: buduje nowe miejskie mieszkania w centrum, miesza społeczności. Do bogatych, burżuazyjnych dzielnic wprowadzają się przedstawiciele klasy średniej, sklepikarze, robotnicy, dzięki czemu miasto staje się znowu żywe. Łatwiej się utrzymać niesieciowym lokalom, jest bezpieczniej, lepiej się żyje

I jakich argumentów pan używał?
– Warszawą powinien zajmować się ktoś, komu na niej naprawdę zależy. Politykom partyjnym najczęściej zależy na stołku radnego albo nawet prezydenta, żeby robić „karierę w polityce", a miasto ich zazwyczaj nie interesuje. A ja działam społecznie dla Warszawy od kilkunastu lat. Zaangażowanie i autentyczność o jest coś, co ludzie cenią bardziej niż poglądy na te czy inne sprawy.

Lubi pan recenzować prezydenta i dawać mu rady, więc może chciałby pan zająć jego miejsce?
– Tak. Po półtora roku w radzie miasta zdałem sobie sprawę, że zarządzanie Warszawą byłoby świetną przygodą. A stolicy przydałby się prezydent nią zainteresowany, żyjący realnymi sprawami mieszkańców, zafascynowany Warszawą.

Czyli wystartuje pan w wyborach na prezydenta stolicy za trzy lata?
– Zobaczymy.

Co nowego mogą zaproponować Warszawie ruchy miejskie i lewica? Inaczej: jakim programem chciałby pan wygrać wybory?
– My nie kalkulujemy tematów pod kątem wyborów. Jesteśmy ruchem mieszkańców, którzy żyją w Warszawie i cały czas odkrywają jakieś nowe obszary do poprawy jakości życia.

Jak odśnieżanie dróg rowerowych, po których zimą chce jeździć 10 osób?
– Gdyby były odśnieżone, to jeździłoby po nich więcej rowerzystów, choć dobrze byłoby zacząć od chodników, z których odśnieżaniem w pierwszych dniach prawdziwej zimy nie poradził sobie ratusz.

Ważnym tematem jest hałas, który generują wyścigi samochodowe, kręcenie bączków na parkingach przy supermarketach w środku nocy. Już udało się nam wywalczyć zmiany ustawowe i od marca organizacja takich wyścigów będzie karana. Teraz pora na kolejną zmianę, czyli fotoradary akustyczne. Zautomatyzowane urządzenia do pomiaru hałasu drogowego, które wyłapują stuningowane auta i wlepiają im mandat. Takie coś działa z powodzeniem w Holandii, więc może i w Polsce.

A co do miejskiej polityki wprowadza lewica? Nie wydaje się panu, że też nie ma rozpoznawalnego pomysłu na miasto?
– Lewica ma swoje tematy, które są określane jako światopoglądowe. Konsekwentnie stoi na ich straży. Z inicjatywy Lewicy przygotowano ostatnio stanowisko Rady Warszawy w sprawie uznawania w stolicy małżeństw jednopłciowych zawieranych za granicą.

W 2029 r. wystartujecie wspólnie, lewicowym blokiem, w stołecznych wyborach?
– Nie wiem. Ruchy miejskie tym różnią się od partii politycznych, że nie myślą cały czas o wyniku przyszłych wyborów.

Myślenie o samodzielnych rządach ma plusy, bo napędza ludzi w partiach do pracy.
– Ma też minusy. Jeśli partia cieszy się 40-procentowym poparciem, nie chce ryzykować spadków sondażowych i boi się każdego odważniejszego postulatu. To wypacza politykę, bo to powinna być służba publiczna, a nie dbanie o własny stołek. Polityka wymaga odwagi. Weźmy Zacka Polanskiego, lidera Zielonych w Wielkiej Brytanii, który jako jedyny powiedział, że Anglia nie powinna się obawiać imigrantów. I poparcie dla Zielonych wzrosło z 8 do 14 procent. Coś, co wydawało się mega kontrowersyjne, zostało opowiedziane ze spokojem, w przekonujący sposób i przyniosło sukces.

A czy wyobraża pan sobie, że Miasto Jest Nasze współrządzi z PiS?
– Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której PiS zdobywa w Warszawie tak duże poparcie.

No, ale gdyby zdobyło i jego liderzy powiedzieliby tak: panie Janku, dajemy panu ogromny budżet na budowę mieszkań komunalnych, ma pan pełną wolność, my się w to panu nie będziemy wtrącać.
– Nie, ponieważ przez 8 lat ludzie PiS strasznie kradli, a dla nas kluczowa jest uczciwość.

Zróbmy krok wstecz: odnoszę wrażenie, że od wielu lat nie pojawiła się interesująca idea rozwoju polskich miast. 15 lat temu ruchy miejskie rzuciły kilka haseł – więcej zieleni, więcej pieniędzy na transport publiczny, mniej na piar, więcej na mieszkania komunalne – ale dzisiaj świat jest inny. Co z rozwojem sztucznej inteligencji? Czy zastanawiacie się w MJN, w jaki sposób wykorzystać to narzędzie do poprawy jakości życia ludzi? W świecie coraz więcej się mówi o optymalizacji nie tylko ruchu, ale zużycia energii, wody, oświetlenia i tak dalej z pomocą zsieciowanych algorytmów.
– Nie mogę się zgodzić z tą diagnozą. W ostatnich latach pojawiły się idee miasta 15-minutowego, czyli takiego, w którym wszystkie usługi są blisko. Albo miasta gąbki, budującego retencję wody i odporność na zmiany klimatu. To wszystko są idee, które wyszły ze środowisk ruchów miejskich lub im bliskim.

A skoro pyta pan o AI – to przydatne narzędzie, ale świata nie zbawi, miast tym bardziej. Może usprawnić pewne usługi, skrócić procedury, ale nie zbuduje za nas tanich mieszkań. Nie zastąpimy sztuczną inteligencją brakujących nauczycieli, policjantów czy przedszkolanek. I pamiętajmy w tym wszystkim o ryzykach. Efekt czarnej skrzynki, gdy nie wiemy, jak algorytm doszedł do takiej lub innej odpowiedzi, może doprowadzić do braku przejrzystości w podejmowaniu decyzji. Nie będziemy mogli ocenić, czy cały proces stojący za oceną został poprawnie przeprowadzony, czy nie wypaczyły go dane wejściowe, czy dyskryminujemy mieszkańców danego osiedla z powodu źle przyjętej oceny przez system.

Ja pytam, dlaczego ruchy miejskie przestały myśleć o przyszłości, tylko skupiają się na krzywych krawężnikach. Są miasta, które budują wielokulturowe kamienice, w innych ratusz wypłaca lokalny dochód gwarantowany, gdzieś z kolei istnieje zamknięty obieg gospodarki rolnej, co może stać się kluczowe dla przeżycia w miastach. Ale jest też niebezpieczny model chiński z technolo-

eprasa.pl 74c5a22a0e

giczną inwigilacją. Widzi pan jakieś idee na horyzoncie, które mogłoby zainteresować mieszkańców polskich miast?
– Jak sam pan zauważył, różne miasta mają wachlarz różnych idei, w zależności od ich uwarunkowań. Jeden rozmiar garnituru nie będzie pasować do każdego modela, tak samo jedna idea nie będzie pasować do wszystkich miast. Z polskiej perspektywy – w wielu częściach kraju problemem będzie dostęp do wody, której z roku na rok jest coraz mniej. Więc takim tematem przyszłości jest dla mnie naturalna retencja, renaturyzacja rzek, ale też odkopanie rzek dawniej płynących przez miasta, które zostały zabetonowane. W Warszawie moglibyśmy pokusić się o powołanie, z ościennymi gminami, parku narodowego na Wiśle, obejmującego też inne mniejsze rzeki. Żeby chronić przyrodę, zasoby wodne, ale też oferować mieszkańcom nowe miejsca rekreacji. To byłoby zupełnie unikatowe w skali świata – bylibyśmy jedyną stolicą na świecie mającą dwa parki narodowe – bo przecież cieszymy się Puszczą Kampinoską – przy swoich granicach.

A może taką ideą jest pełna cyfryzacja miasta i wszystkich usług?
– To już się dzieje w wielu miastach. Ale nie fetyszyzowałbym tego – dla jakości życia wciąż ważniejsze są mieszkania, usługi publiczne, zieleń, woda, szkoły, bezpieczeństwo. Dla pana to może staromodne tematy, ale te sprawy są ważniejsze dla mieszkańców niż cyfrowe usługi w urzędzie, które już i tak częściowo istnieją.

Zastanawiając się nad życiem w wielkich polskich metropoliach, trudno nie pomyśleć, że z Kijowa do Warszawy jest raptem 800 kilometrów, a do Lublina 600. Może ta pełnoskalowa wojna, z nalotami, oblężeniem, nam nie grozi – ale cyberwojna trwa od dłuższego czasu. Słyszymy o atakach na oprogramowanie wodociągów. Właśnie w kontekście wojny w Ukrainie Estonia sklonowała swoją całą bazę danych i usług do globalnych chmur obliczeniowych, żeby rozproszyć ryzyko. Nasze miasta też mogłyby mieć za granicą takie cyfrowe bliźniaki?
– Warszawa takiego cyfrowego bliźniaka powinna mieć. Również z innego powodu. Czy nasze dane miejskie, będące często na serwerach stojących w USA, są w pełni bezpieczne? Biorąc pod uwagę obecną sytuację, nie można mieć stuprocentowej pewności, dlatego tym bardziej taka kopia danych w bezpiecznym cyfrowo miejscu jest dobrym pomysłem.

Skoro jesteśmy przy technologii: nie niepokoi pana, że na każdej latarni wisi kamera, która analizuje każdy nasz ruch i zachowanie w mieście?
– Taki świat byłby dla nas straszny i zdecydowanie nie chcę, aby dotarł do Polski. Obecnie nasze realia są jednak raczej takie, że duża część z tych kamer nie działa, przez co mieszkańcy i służby nie mogą sprawdzić, kto wybił szybę w drzwiach w klatce schodowej.

Wyjedźmy poza Warszawę. Władysław Konisiak-Kamysz rzucił pomysł budowy metra w 10 miastach. Mnie się ten pomysł spodobał – może jest bombastyczny i efekciarski, ale choć na chwilę skierował uwagę na mniejsze miasta. Metro to może przesada, ale może właśnie rząd mógłby inicjować różne duże infrastrukturalne przedsięwzięcia upodabniające mniejsze ośrodki do bogatych metropolii, dające im komfort, jakim cieszą się gdańszczanie czy krakusi?
– Partia pana Kosiniaka-Kamysza, czyli PSL, rządzi województwem mazowieckim od 20 lat i nie była w tym czasie przy strumieniu środków z Unii otworzyć choć jednej nowej linii kolejowej, więc on zdaje się w tym zakresie mało wiarygodny. Ale co do zasady – oczywiście, że rząd mógłby inicjować takie projekty, a nawet powinien. Trochę bardziej sensowne niż metro w 10 miastach byłyby dobre połączenia między mniejszymi i większymi miastami. Naprawdę potrzebne jest kompleksowe wsparcie małych i średnich miast, a nie tylko tych kilkusettysięcznych. Inaczej tylko będziemy pogłębiać różnice rozwojowe pomiędzy największymi ośrodkami a całą resztą.

Gdy myślę o podobnych, co w stolicy, rozwiązaniach mających poprawić jakość życia, przychodzą mi na myśl Strefy Czystego Transportu. W Krakowie taka weszła i właśnie chcą odwołać prezydenta miasta za to, że ją wprowadził. Może te wszystkie progresywne idee nie są specjalnie popularne?
– Z tego, co mi wiadomo, nie tylko za to chcą odwołać prezydenta Krakowa. A w przypadku Warszawy SCT to martwy przepis. Kontrola jest bardzo dziurawa, a przy obecnym poziomie niedofinansowania policji i służb miejskich nie dziwię się, że to nie jest dla nich priorytet. W takiej sytuacji jest dużo innych, lepszych narzędzi, które mogłyby poprawić jakość powietrza w miastach.

Wielu komentatorów podnosi, że w ten sposób tylko pogłębiają się nierówności w miastach, ponieważ aktywistom zależy tylko na centralnych dzielnicach. Może coś w tym jest? Skoro chyba nigdzie w Polsce ruchy miejskie nie odgrywają naprawdę ważnej roli w lokalnej polityce, o czym to może świadczyć?
– Z perspektywy ruchu, który dwa lata temu osiągnął największy sukces w historii swoich startów w wyborach samorządowych wiem – i słyszę w rozmowach z radnymi KO i PiS, z urzędnikami miejskimi – że mamy coraz większy wpływ na miasto. Cały czas się powiększamy, mamy coraz więcej radnych dzielnicowych, mamy radnych miejskich. A dla przykładu taka Konfederacja nie ma ani jednego radnego w Warszawie. Mógłbym sparafrazować pana pytanie i zapytać: „o czym to może świadczyć”?

To jaka będzie Warszawa Jana Mencwela? Bez samochodów w centrum, z mieszkaniami na tani wynajem, parkami zamiast parkingów i odśnieżonymi drogami rowerowymi?
– Ostatnio wracałem z biegówkami z Pola Mokotowskiego koło północy. Wsiadłem do metra i zaczepił mnie młody robotnik pracujący w Śródmieściu. Chwilę żeśmy pogadali, zapytałem go o wyludniające się centrum, pożartowaliśmy i na koniec przybiliśmy piątkę. I właśnie takiej Warszawy chcę: z „wariatami” jeżdżącymi na biegówkach po parku, z ludźmi pijącymi kawę na Placu Zbawiciela i pracownikami fizycznymi mieszkającymi w centrum. Bo to jest tożsamość Warszawy od setek lat: w tym mieście od zawsze mieszkali i zwykli ludzie i elity. Jest tu miejsce i na drogie restauracje, i na bary mleczne. ●

Trochę bardziej sensowne niż metro w 10 największych miastach byłyby dobre połączenia między mniejszymi i większymi miastami. Potrzebne jest kompleksowe wsparcie małych i średnich miast, a nie tylko tych kilkusettysięcznych. Inaczej tylko będziemy pogłębiać różnice rozwojowe pomiędzy największymi ośrodkami a całą resztą

Luksusowy butik cierpienia

Cywilizacja, która odrzuciła pokorę, dostała w zamian wyspę Epsteina, na której wielcy bawią się cudzym cierpieniem z nudów

Marcin Matczak

Skąd zło?” – to starożytne pytanie znowu musimy postawić, bo właśnie ujawniono, co działo się na wyspie Epsteina. Ujawniono połowicznie, bo – jak powiedział jeden z prokuratorów – nie pokazano zdjęć zawierających pornografię dziecięcą, obrażenia ciała i śmierć. A to oznacza, że działo się tam piekło.

Zło często bierze się ze słabości albo desperacji, z poczucia, że nie ma wyjścia. Na wyspie Epsteina było odwrotnie: brało się z potęgi. Z faktu, że można wszystko i że dostępne są wszystkie wyjścia i wejścia świata. Nikt nie usprawiedliwiał się działaniem w imię dobra – wystarczała sadystyczna przyjemność. Zło wzięło się z przekonania, że pewnych ludzi żadne zasady nie obowiązują. Dlatego wyspa Epsteina stała się strefą eksterytorialną dla etyki.

Kiedy w Austrii Josef Fritzl przez lata więził i gwałcił własną córkę, świat mógł uznać go za anomalię: mroczny błąd w kodzie, dowód na to, że system zasadniczo działa, tylko czasem trafi się potwór. U Epsteina nie mamy jednak do czynienia z marginesem, ale z centrum. W aktach pojawiają się nazwiska ikon naszych czasów: wizjonerów technologii, filantropów, myślicieli, przywódców. To nie odpady kultury, ale jej produkty wzorcowe – ludzie, których sukces miał być dowodem triumfu rozumu i sprawstwa.

Wyspa Epsteina to także miejsce, gdzie kończy się polityczna polaryzacja. Prawica była tam z lewicą, establishment z antyestablishmentem, Trump i Clinton w tej samej przestrzeni pozaetycznej. Pęka wygodna iluzja, że wystarczy mieć właściwe poglądy, by być po właściwej stronie. Nie da się tego wpisać w prostą opowieść o dobrych i złych.

Nie chodzi więc o indywidualną dewiację, lecz o wadę systemową kultury. Jeśli ci, których uznawano za najlepszych z nas, odnajdują wspólną przestrzeń w miejscu zbudowanym na pogardzie dla człowieczeństwa, to znaczy, że nasza kultura premiuje model człowieka moralnie martwego. Mówi mu: „bądź wielki, a miara nie będzie cię dotyczyć”.

Wyspa Epsteina jest lustrem pokazującym, co dzieje się z ludźmi, którzy przez dekady słyszeli, że są wyjątkowi i niezastępowalni. To nie jest już tylko ich problem, ale problem matrycy, która ich ukształtowała.

Filozofowie twierdzili, że Auschwitz i Gułag – fabryki cierpienia – były perwersyjnym końcem Oświecenia: kulminacją zimnej racjonalności i biurokracji, które mordują skuteczniej niż nienawiść.

Wyspa Epsteina – luksusowy butik cierpienia – jest perwersyjnym końcem postmodernizmu.

Obietnica wolności absolutnej: bez prawdy, bez autorytetów, bez granic, została tu dotrzymana. Wolność od norm stała się wolnością silniejszego do eksploatacji słabszego, prawo zastąpiła prywatna etyka miliarderów i geniuszy. To praktyczna realizacja hasła: „nie ma faktów, są tylko interpretacje”.

W Auschwitz człowiek cierpiał jako paliwo totalitarnej maszyny. Na wyspie Epsteina cierpi jako gadżet w rękach znudzonego Übermenscha. Jeśli Auschwitz było skutkiem wiary w jedną prawdę, to wyspa Epsteina jest skutkiem wiary, że nie ma żadnej – obrazem świata, w którym jedyną wartością jest intensywność doświadczenia, a najbardziej pożądanym trunkiem – dopamina.

Trzy miliony dokumentów Epsteina ujawniono przed weekendem, w czasie którego Kościół analizuje Osiem Błogosławieństw – projekt cywilizacyjny mówiący, że wielkość człowieka polega na samoograniczeniu. Wyspa Epsteina jest jego dokładnym zaprzeczeniem. To świat ekspansji i samoubóstwienia.

„Błogosławieni cisi i ci, którzy płaczą” brzmi dziś żenująco, bo nasza kultura promuje krzyk i przymus nieustannej ekstazy. Smutek traktuje się jak chorobę, którą trzeba wyleczyć, choć przecież istnieje taki rodzaj prawdy o świecie, który wymaga smutku i uznania straty, zgody na to, że nie wszystko da się naprawić. Wyspa Epsteina to ucieczka przed smutkiem w niekończącą się rozrywkę i obowiązkową radość nadludzi – najbardziej przerażającą formę nihilizmu.

„Błogosławieni ubodzy w duchu?” Nikt dziś nie chce taki być – „ubogi w duchu”, a więc świadomy własnej nieostateczności, bez roszczenia do dominacji. Wyspa Epsteina to triumf hałaśliwej, obscenicznej woli mocy. Przemoc staje się tam ostatnią dostępną formą rozrywki, a cudze ciało kolejnym terenem, nad którym można panować. To dokładne przeciwieństwo bycia „ubogim w duchu”. Człowiek z wyspy jest w duchu przepełniony sobą do granic wytrzymałości, a zamiast sprawiedliwości łaknie bodźca granicznego.

Ktoś powie: „Osiem Błogosławieństw nie zatrzymało pedofilii w Kościele”. To prawda. Ale jest różnica między światem, w którym pedofilia jest złamaniem reguły, a światem, w którym zło staje się oczywistym przywilejem nadczłowieka, stojącego ponad regułami.

Ta różnica ma znaczenie. Nie dlatego, że „wstydliwa” pedofilia jest mniej straszna od „aroganckiej”. Jest straszna tak samo. Ale dlatego, że świat, w którym zło wciąż wie, że jest złem, ma jeszcze narzędzia, by z nim walczyć: A w świecie, w którym zło szczyci się, że nim jest, brakuje nawet hipokryzji, która, jak piszą, jest przecież hołdem składanym cnocie.

To nie jest kazanie, lecz próba zrozumienia, jak cywilizacja, która odrzuciła pokorę jako opresyjną, dostała w zamian wyspę, na której wielcy bawią się cudzym cierpieniem z nudów. Ta nuda w aktach Epsteina pojawia się jako doświadczenie ludzi, którzy przeżyli już wszystko.

To nie świat wyłącznie jednostek okrutnych, ale raczej niećwiczonych w rezygnacji. Osób, które nigdy nie musiały sobie powiedzieć „nie”.

Wyspa Epsteina obnaża rażący brak współczesnej kultury: zanik mechanizmów kształtowania pokory. Ta kultura uznała wstyd za emocję do przepracowania, a nie drogowskaz moralny. W efekcie jedynym substytutem moralności stał się nadzór – spóźniony i nieskuteczny wobec tych, którzy operują poza systemem.

Nasza cywilizacja odrzuciła Osiem Błogosławieństw, a w zamian nie zbudowała niczego, co mogłoby powstrzymać znudzonego miliardera od potraktowania dziecka jak surowca do produkcji dopaminy.

Dziś próbujemy zasypać tę pustkę regulacjami, udając, że prawo zastąpi sumienie. Zapominamy jednak, że etyka siły zawsze znajdzie sobie jakąś wyspę poza prawem. ●

eprasa.pl 74c5a22a0e

• **Ubiegłoroczny Marsz Niepodległości środowiska narodowe zorganizowały pod hasłem „Jeden naród - silna Polska". Warszawa, 11.11. 2025 r.**
FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

ALT-RIGHT W WIĘZIENIU DEMOKRACJI

Skoro nie da się od razu wygrać politycznie, trzeba zacząć od kultury i języka. Skrajna prawica zaczyna od tworzenia własnych czasopism, fundacji, think-tanków, kręgów dyskusyjnych, które wpływają na sposób myślenia. Kluczowa okazała się zmiana języka.

Dawid Krawczyk

W maju ub. r. hala w Jasionce pod Rzeszowem posłużyła za scenę polityczno-religijnego spektaklu. Amerykański CPAC – Konferencja Konserwatywnej Akcji Politycznej – największy na świecie kongres konserwatystów pierwszy raz zawitał do Polski. Pięć dni przed II turą wyborów prezydenckich, w których ostatecznie zwyciężył Karol Nawrocki.

Impreza zaczęła się od modlitwy biskupa, potem był krzyż dla Donalda Trumpa „w obronie Kościoła". Przybyli goście z ruchu Make America Great Again, z Kristi Noem na czele, sekretarz bezpieczeństwa krajowego USA, która w ojczyźnie zasłynęła m. in. wizytami przy granicy z Meksykiem i publikowaniem zdjęć na tle aresztowanych i deportowanych migrantów. Ze sceny w Jasionce padały hasła o „wojnie o wolność słowa", ideologii woke i „ratowaniu Zachodu". Rzeszowski CPAC niebył wyjątkiem. Podobnych imprez w ostatnich kilku latach zorganizowano wiele.

Jak utkana jest sieć alt-rightowych relacji, widać najlepiej po wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2024 roku. Ugrupowania nacjonalistyczne i radykalnie konserwatywne ułożyły się w czytelne bloki.

• Frakcja Patrioci za Europą to Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen, Fidesz Viktora Orbána, FPÖ z Austrii, Partią Wolności Geerta Wildersa z Holandii i hiszpański Vox.

• Dobrze ugruntowani Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy to m. in. Bracia Włosi Giorgii Meloni oraz Prawo i Sprawiedliwość.

• Skrajnie prawicowy krajobraz dopełnia bardziej radykalna frakcja Europa Suwerennych Narodów, skupiona wokół AfD. Właśnie w niej znajdziemy europosłów Konfederacji.

Nie tylko Parlament Europejski jest forum współpracy europejskiej skrajnej prawicy. Miejscem spotkań radykałów stały się w ostatnich latach także Madryt, Budapeszt, Rzym czy Warszawa. W lutym 2025 r. w Madrycie Vox zorganizował wiec „Make Europe Great Again" z udziałem Marine Le Pen, Geerta Wildersa i ludzi z obozu Orbána. W Polsce podobną funkcję pełni Marsz Niepodległości – wydarzenie, na które regularnie zapraszane są postaci skrajnej europejskiej prawicy, jak Roberto Fiore, lider włoskiej Forza Nuova, skazany za działalność neofaszystowską.

W sieć tych zależności na skrajnej europejskiej prawicy zaangażowany jest i Kreml. Orbán krytykuje sankcje wobec Moskwy i spotyka się z Putinem, Marine Le Pen, przez lata kwestionuje izolowanie Rosji, Matteo Salvini otwarcie chwali Putina a Geert Wilders wzywa do „realistycznych" relacji z Kremlem.

Skrajna prawica może liczyć na wsparcie środowisk skupionych wokół Trumpa. Steve Bannon, ideolog MAGA i spiritus movens jego pierwszej kampanii, od lat próbuje integrować europejskich nacjonalistów: objeżdżał kontynent, występował na ich konwencjach i ogłosił w Brukseli projekt zaplecza organizacyjno-strategicznego The Movement.

W lutym 2025 r. na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa wiceprezydent USA J.D. Vance krytykował europejski mainstream za izolowanie skrajnej prawicy. Elon Musk, kiedy jeszcze był w łaskach Białego Domu udzielił poparcia Alternative fur Deutschland.

Czy to nie paradoks, że ruchy bazujące na szowinizmie narodowym tak sprawnie tworzą międzynarodową sieć?

– Działania skrajnej prawicy są jak bunt osadzonych w zakładzie karnym. Jednoczą się w walce z klawiszami, którą jest dla nich liberalna demokracja – mówi doktor Przemysław Witkowski.

Z DR **PRZEMYSŁAWEM WITKOWSKIM** ZASTĘPCĄ DYREKTORA INSTYTUTU MYŚLI POLITYCZNEJ IM. GABRIELA NARUTOWICZA ROZMAWIA **DAWID KRAWCZYK**

„Faszyzm, który nadchodzi" – taki tytuł widnieje na okładce pańskiej książki sprzed dwóch lat. Kiedy dziś spojrzymy na europejską i amerykańską scenę polityczną, nie należałoby powiedzieć, że już nadszedł?

– Gdyby rzeczywiście nadszedł, pewnie nie moglibyśmy prowadzić tej rozmowy. Mam jednak wrażenie, że proces gotowania żaby jest dziś dalej posunięty. Wciąż nie żyjemy jednak w pełnej dystopii – rzeczywistość z takich seriali jak „Człowiek z Wysokiego Zamku" czy „Opowieść podręcznej" pozostaje jednak bardziej radykalna niż to, co faktycznie widzimy wokół siebie.

„Człowiek z Wysokiego Zamku" na podstawie słynnej powieści Philipa K. Dicka opowiada o świecie, w którym nazistowskie Niemcy wygrały wojnę i podzieliły się władzą z Japonią. Dzisiejsze ideologie skrajnie prawicowe są jeszcze podobne do tych z połowy XX wieku?

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

FOT. DIEGO RADAMES/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

◀ **Spotkanie skrajnej prawicy „Make Europe Great Again" w hotelu Marriott w Madrycie (8.02.2025). Od lewej: Matteo Salvini – wicepremier i minister infrastruktury Włoch; Viktor Orban – premier Węgier; Santiago Abascal – lider hiszpańskiej VOX i Marie Le Pen – szefowa skrajnie prawicowego francuskiego Zjednoczenia Narodowego**

Partie prawicowe w Europie

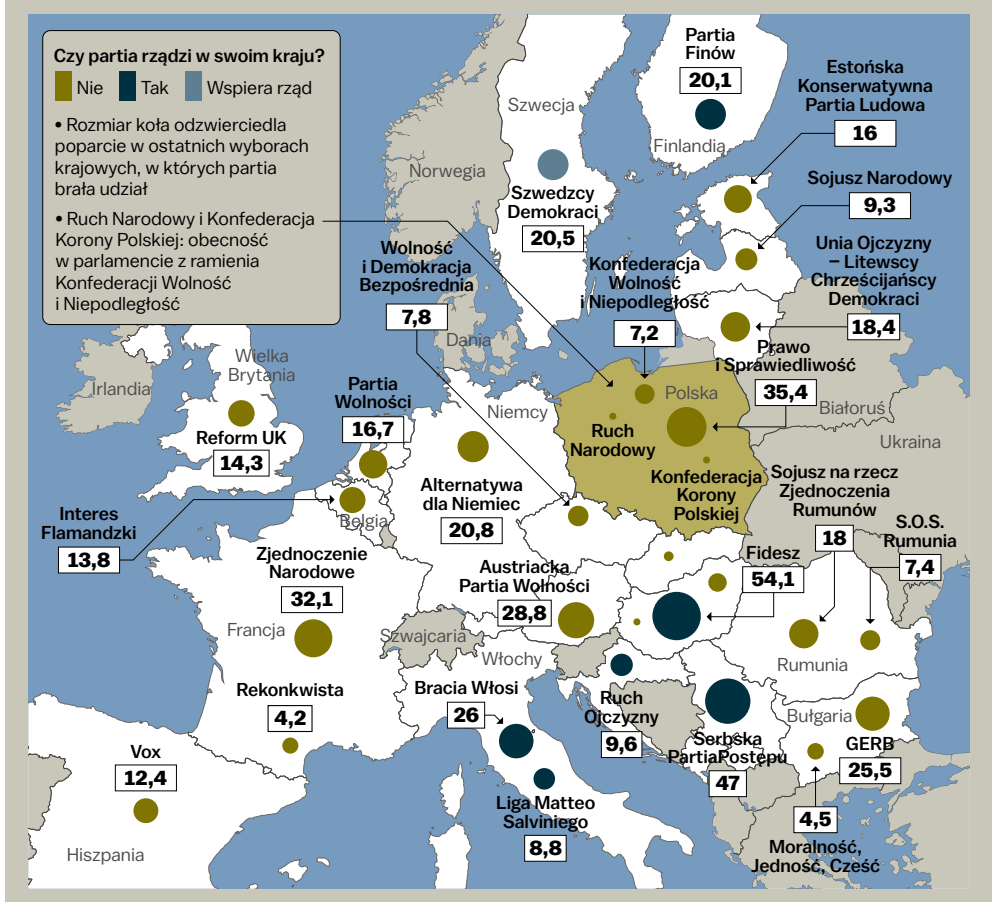

INFOGRAFIKA: DOMINIK UHLIG / ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA. ŹRÓDŁO: OFICJALNE WYNIKI WYBORÓW KRAJOWYCH, DANE PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO, AGREGATORY SONDAŻY OPINII PUBLICZNEJ, ANALIZY POLITOLOGICZNE

– To jest trochę jak z wystawianiem Szekspira. Esencja pozostaje ta sama, ale można zmieniać rekwizyty, kostiumy, obsadę. Można grać tę samą sztukę w zupełnie innej epoce. Aktorzy mogą być nadzy, mogą być jednej płci albo innej, mogą być czarni albo biali, a mimo to wciąż rozpoznajemy Hamleta czy Makbeta.

Alice Wiedel, współprzewodnicząca antyimigranckiej, nacjonalistycznej Alternatywy Dla Niemiec jest lesbijką w związku z kobietą urodzoną w Sri Lance. Dziś taka tożsamość nie przeszkadza na prawicy?
– Jak widać, dekoracja może się zmieniać, ale pewne struktury pozostają niezmienne. Zostaje sposób myślenia o władzy, porządku i wrogu.

Jaki to sposób? Po czym poznać dzisiaj skrajną prawicę?
– Po pierwsze autorytaryzm. Po drugie, figura silnego, charyzmatycznego przywódcy. Do tego dochodzą nacjonalizm, ksenofobia, często homofobia oraz skrajnie binarne myślenie o płci, w którym kobieta nie jest podmiotem politycznym, pełni rolę matki i żony.

Istotną rolę rzecz jasna odgrywają narracje skupiające się na odrodzeniu narodowym, silnie nasycone symboliką i mitologią.

Dr Przemysław Witkowski

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

• Rocznik 1982. Adiunkt w Collegium Civitas, publicysta, badacz środowisk radykalnej prawicy. Współpracuje z think-tankami Counter Extremism Project i International Centre for Counter-Terrorism. Jest ekspertem sieci Radicalisation Awareness Network działającej przy Komisji Europejskiej.

• Autor monografii: „Laboratorium Przemocy: Polityczna Historia Romów" (2020) i „Szpryca i czipowanie. Polityczny wymiar ruchów sprzeciwiających się obowiązkowym szczepieniom i sieciom telefonicznym piątej generacji" (2024) oraz redaktor tomu „Śmierć Wrogom Ojczyzny! Anatomia polityczna uczestników Marszu Niepodległości". Ostatnio wydał zbiór wywiadów „Faszyzm, który nadchodzi" oraz – dostępną w formie e-booka na Publio.pl – analizę prorosyjskich organizacji w Polsce pod tytułem „Partia Rosyjska".

I wizja przeszłości, bardzo selektywna, nieraz zupełnie zmyślona. Z takich elementów składano zarówno ruchy faszystowskie lat 20. i 30., jak i ich późniejsze warianty.

Dzisiaj skrajna prawica tworzy pewne spektrum. Po tej mniej radykalnej stronie zaczyna się od nurtów, które z pozycji konserwatywnych podważają porządek liberalno-demokratyczny, krytykują prawa mniejszości, niechętnie odnoszą się do społecznych zmian i idealizują przeszłość.

Im dalej, tym, więcej pojawia się formacji, które otwarcie kontestują liberalną demokrację i dążą do jej przekształcenia w system bardziej hierarchiczny, autorytarny, nacjonalistyczny, wrogi wobec kobiet, mniejszości seksualnych i etnicznych oraz migrantów. Różnią się metodami, od działań parlamentarnych po bardziej radykalne strategie, czasem po prostu przemoc.

Gdzie należałoby umieścić na tym obrazku takie partie jak AfD czy francuskie Zjednoczenie Narodowe?
– Te partie, jak i PiS czy węgierski Fidesz, deklarują przywiązanie do metod parlamentarnych. Nie mówią o przewrocie, lecz o stopniowej zmianie systemu od środka.

Ale w praktyce ich działania prowadzą do demontażu liberalnej demokracji i przesuwania państwa w stronę modelu autorytarnego.

Gdyby nie istniały społeczne i instytucjonalne hamulce, ten proces mógłby pójść znacznie dalej.

A obok nich funkcjonuje cały wachlarz środowisk bardziej radykalnych – takich, które otwarcie odrzucają demokrację i dopuszczają przemoc polityczną. Mam na myśli różnego rodzaju narodowych rewolucjonistów, regularnych neonazistów i im podobne grupy odwołujące się do przemocy jako narzędzia zmiany.

Można powiedzieć, że relacja między tymi nurtami przypomina dawny podział między socjaldemokracją a komunistami: jedni chcą rozmontować system metodami parlamentarnymi, drudzy rewolucyjnymi.

Na pierwszy rzut oka Jarosław Kaczyński czy Orban jednak różnią się zasadniczo od chłopaków w bojówkach, kominiarkach czy płaszczach o mundurowym kroju w Marszu Niepodległości. Więcej ich łączy czy dzieli?
– Wszystkie te środowiska łączy wspólne przekonanie, że liberalna demokracja jest czymś w rodzaju więzienia. Różnią się wizjami tego, co miałoby ją zastąpić – jedni marzą o monarchii, inni o wolnorynkowym autorytaryzmie, jeszcze inni o narodowym socjalizmie, neopogaństwie czy państwie wyznaniowym. Mówimy o niezwykle zróżnicowanym świecie ideowym, który spaja poczucie oblężenia i przekonanie, że „elity" – politycy, eksperci, naukowcy, lekarze, media – są strażnikami tego więzienia.

Przy takiej mentalności łatwo pojawia się fantazja o buncie: o momencie, w którym „więźniowie" jednoczą się przeciw „strażnikom". Większość tych ludzi nie zdaje sobie sprawy, że nawet jeśli taki bunt się uda, bardzo szybko zaczną się walki o władzę wewnątrz samego obozu – o to, kto zostanie nowym przywódcą.

A to skrajna prawica nie ma swojego światowego lidera? W Białym Domu?
– Wciąż jestem w stanie sobie wyobrazić, że za 50 lat Donald Trump może okazać się nieco zapomnianym politykiem z okresu międzywojennego. Więc nie, nie wydaje mi się, żebyśmy mieli na horyzoncie figurę porównywalną z Hitlerem w XX wieku.

Skrajną prawicę, tę europejską i tę amerykańską, łączą raczej intelektualni patroni i ideolodzy, tacy jak Aleksandr Dugin, Steve Bannon czy – w Polsce mniej kojarzony – Alain de Benoist (europejski federalista, antyglobalista, arystokrata i konserwatywny katolik w jednym – przyp. red.), którzy dostarczają języka i ram myślenia. Politycy tacy jak Le Pen, Wilders, Kaczyński czy Orbán tylko przekładają te idee na praktykę.

Nie przecenia pan roli intelektualistów? Jakoś nie chce mi się wierzyć, że Marine Le Pen relaksuje się wieczorem przy bordeaux z książką de Benoista czy podkastem piewcy „mrocznego oświecenia" Curtisa Yarvina.
– Rola intelektualistów jest kluczowa. Zgoda, że to nie oni bezpośrednio sterują polityką, ale to oni przesuwają granice tego, co można powiedzieć, pomyśleć i uznać za rozsądne. Jeśli im się uda, to polityka wchodzi później na dobrze przygotowany grunt.

Spójrzmy na Francję w latach 60. Środowiska skupione wokół Alaina de Benoista, twórcy nurtu Nouvelle Droite, Nowej Prawicy, zaczęły wyciągać wnioski z porażek powojennego neofaszyzmu.

Ówcześni działacze widzieli, że jawnie faszystowska estetyka i symbolika są skompromitowane: marsze w mundurach szturmowców, swastyki, stylizowanie się na przedwojenne formacje budziły raczej śmiech albo grozę niż dawały realne poparcie. Takich postaci nikt już nie traktował poważnie. Nowa Prawica doszła więc do wniosku, że tą drogą niczego nie zbuduje.

Skoro nie da się wygrać politycznie, trzeba zacząć od kultury i języka.

Chodziło o tworzenie własnych aparatów ideologicznych: czasopism, fundacji, think-tanków, kręgów dyskusyjnych, które miały wpływać na sposób myślenia.

Kluczowa okazała się zmiana języka. Zamiast mówić o apartheidzie, mówmy o „separatyzmie kulturowym". Zamiast o wyższości rasowej o „prawie do tożsamości". Zamiast o rasie – o kulturze. A otwartą wrogość wobec migrantów zastąpiła narracja, że ich obecność „szkodzi im samym", bo rzekomo prowadzi do drenażu ich krajów pochodzenia. W ten sposób stare treści zaczęto opakowywać w nowe, pozornie neutralne pojęcia.

Jeśli odpowiednio długo zmienia się znaczenie słów i ramy debaty, w pewnym momencie ludzie zaczynają powtarzać te idee, nie zdając sobie sprawy, skąd pochodzą.

W Polsce też mamy przykłady takich przesunięć w języku?
– Oczywiście, że tak. Idealnym przykładem jest pojęcie „dziecka nienarodzonego". Dziś obecne w oficjalnym języku i przestrzeni publicznej, choć jeszcze kilkadziesiąt lat temu funkcjonowało wyłącznie w radykalnie religijnych środowiskach.

Mam w archiwum sporo materiałów ze środowisk skrajnej prawicy: gazetek narodowych, neofaszystowskich czy neonazistowskich. Jeszcze kilkanaście lat temu wydawały się skrajne i marginalne – pełne rewizjonizmu, czy nawet negacjonizmu Holokaustu, gloryfikowania formacji kolaborujących z Trzecią Rzeszą, wybielania SS oraz brutalnego języka wobec osób LGBT+ i migrantów, rasistowskich haseł. Ta tematyka i stylistyka funkcjonowały wyłącznie na najbardziej skrajnych obrzeżach polityki.

Dziś wiele z tych treści przeniknęło do głównego nurtu. Polski premier [Mateusz Morawiecki] składał wieńce na grobach żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, a posłowie pojawiają się w Sejmie z symbolami White Lives Matter [Dariusz Matecki], od lat obecnymi w środowiskach głoszących supremację białej rasy. Gesty, symbole, które jeszcze dekadę temu uchodziły za ekstremum, dziś bywają tolerowane lub kompletnie znormalizowane.

eprasa.pl 74c5a22a0e

Podobne przykłady można znaleźć w każdym europejskim kraju. Czy w takim razie mamy do czynienia z jakąś niezwykle skuteczną skrajnie prawicową międzynarodówką?
– Jeśli pyta pan o to, czy istnieje jakaś organizacja sterująca wszystkimi ruchami skrajnie prawicowymi na podobnej zasadzie do Kominternu (Międzynarodówka Komunistyczna, powołana przez Lenina tuż po przejęciu władzy w Rosji, miała krzewić idee rewolucyjne na świecie, była globalną siatką propagandową, ale też szpiegowską – przyp. red.)...

...albo Blofelda i jego Organizacji Widmo z Bonda?
– ...to odpowiedź brzmi nie, nie istnieje. Ale da się wskazać przykłady realnej współpracy między partiami o podobnym profilu: narodowym, populistycznym, suwerenistycznym. Widać to choćby po wspólnych zjazdach – takich jak CPAC, który od niedawna organizowany jest również w Europie, w Rzeszowie czy na Węgrzech.

Dzięki CPAC, Agenda Europe, Światowemu Kongresowi Rodzin, korzystaniu z sieci grup religijnych – katolickich, prawosławnych i protestanckich – między monarchistami z różnych krajów, grupami neofaszystowskimi i nazistowskimi, plecie się całkiem gęsta sieć kontaktów, które owocują wymianą funduszy, metod działania i wsparciem dla związanych z tymi ruchami mediów.

Jednak przede wszystkim łączy ich podobna wyobraźnia polityczna. Każdy z nich marzy o byciu „zbawcą własnego narodu", o przywróceniu mu wielkości i suwerenności, a wspólnym wrogiem jest „Bruksela", przedstawiana jako opresyjna, skorumpowana elita.

Intuicja podpowiada, że trudno o międzynarodową współpracę, skoro każdy naród ma być wielki. A interesy Francuzów i Niemców czy Greków są raczej sprzeczne, o Węgrach i Słowakach nie mówiąc.
– Dlatego ich współpraca ma swoje granice. Różnice między tymi środowiskami są ogromne, również w sensie terytorialnym i historycznym. Najlepiej dogadują się na jednym poziomie: sprzeciwu wobec Unii Europejskiej i liberalnego porządku. W walce z tym wspólnym „wrogiem" potrafią się porozumieć, nawet jeśli poza tym dzieli ich niemal wszystko.

Unia Europejska nie powstała przecież ani wczoraj, ani nawet kilka lat temu, a prawdziwy rozkwit europejskiej skrajnej prawicy obserwujemy w ostatnich kilku latach. Więc może to po prostu efekt kryzysu migracyjnego z 2014 roku i napięć na tle kulturowym oraz ekonomicznym, które w związku z nim się pojawiły?
– W dużej mierze tak, choć to nie jest wygodna teza dla liberałów, ani dla lewicy – obydwie formacje długo traktowały migrację niemal wyłącznie jako moralne wyzwanie albo „błogosławieństwo różnorodności", zakładając, że przy odpowiednich programach integracyjnych wszystko samo się ułoży. Problem w tym, że w wielu krajach te programy zostały wcześniej ograniczone albo zlikwidowane w imię państwa minimum i niskich podatków.

W efekcie to właśnie migranci i ich dzieci, jako pierwsi popadali w bezrobocie, prekariat i społeczną marginalizację. Mieli najsłabsze sieci wsparcia i najmniejsze zasoby, by sobie poradzić.

A to prowadziło do realnych napięć i problemów, których liberalna i lewicowa polityka często nie potrafiła ani nazwać ani wytłumaczyć w sposób przekonujący. Powstałą lukę szybko wypełniła skrajna prawica, oferując proste, choć fałszywe odpowiedzi: że winni są migranci, „obcy", mniejszości, „ideologia", elity. Zamiast analizy ekonomicznej pojawiła się narracja tożsamościowa i moralna, oparta na lęku i resentymencie.

• **Pięć dni przed II turą wyborów Karol Nawrocki – jeszcze wtedy kandydat na prezydenta RP – wziął udział w zjeździe CPAC w Jasionce pod Rzeszowem (27.05.2025)**
FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

W tym sensie wzrost skrajnej prawicy nie jest tylko jej własnym sukcesem, ale także skutkiem słabości lewicy, która przestała oferować materialne, racjonalne odpowiedzi na realne problemy społeczne. Ale to na pewno niejedyny powód wzrostu popularności skrajnej prawicy.

Jakie są inne?
– Aby naprawdę zrozumieć, dlaczego skrajna prawica rośnie w Europie, trzeba spojrzeć na relacje ze Stanami Zjednoczonymi i Rosją. Od kiedy obydwa państwa zauważyły rosnącą siłę Unii Europejskiej jako projektu politycznego – zwłaszcza pomysły wspólnej armii, polityki zagranicznej czy federacji – to zaczęły działać na rzecz jej osłabienia. Każde z innych powodów, ale z podobnym skutkiem: rozbijania Europy na mniejsze, rywalizujące kraje.

Przez całą zimną wojnę Europa Zachodnia funkcjonowała jako amerykański protektorat, zabezpieczany militarnie w zamian za lojalność wobec Waszyngtonu. Po upadku ZSRR pojawiła się jednak ambicja, by zbudować bardziej samodzielny, zintegrowany projekt europejski, także z udziałem krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Dla USA oznaczało to potencjalnego konkurenta gospodarczego i politycznego.

Z kolei Rosja nigdy nie pogodziła się z utratą wpływów w regionie. Silna, zjednoczona Europa oznaczała dla niej ograniczenie możliwości nacisku: energetycznego, politycznego i militarnego.

W efekcie interesy tych dwóch aktorów, amerykańskich środowisk trumpistowskich i rosyjskich elit, w pewnym momencie zaczęły się przecinać. Kontakty i symboliczne sojusze, takie jak relacje Bannona z filozofem Aleksandrem Duginem, piewcą panslawizmu i „ruskiego miru" jako alternatywy dla zachodniego „nieefektywnego, rozlazłego liberalizmu", były próbą budowania wspólnego frontu ideologicznego przeciwko liberalnej Europie.

Dekoracja wokół skrajnej prawicy może się zmieniać, ale pewne struktury pozostają niezmienne. Zostaje sposób myślenia o władzy, porządku i wrogu

Bannon, główny strateg Trumpa i Dugin, jeden z czołowych ideologów Kremla, spotkali się w Rzymie w 2018 roku. Podobno rozmawiali o „postliberalnym" porządku świata.
– Dzisiejsze poparcie części amerykańskiej prawicy dla ugrupowań takich jak AfD wpisuje się w ten schemat. AfD jest w istocie jedną z najbardziej antyniemieckich partii w Niemczech – jej program oznaczałby osłabienie Unii, a więc i państwa niemieckiego, które siłą rzeczy jest jej zwornikiem i beneficjentem. Właśnie dlatego AfD jest atrakcyjna dla aktorów zewnętrznych w rodzaju Rosji czy Chin, którzy chcą Europę rozbić, a nie wzmocnić.

Elon Musk wzbudził sporo entuzjazmu wśród działaczy AfD, kiedy połączył się z nimi zdalnie na wiecu w Halle. Chwalił ich partię jako „najlepszą nadzieję dla Niemiec", wzywał do dumy z narodowej tożsamości i namawiał do porzucenia poczucia winy za czasy nazizmu.
– Wsparcie Amerykanów dla skrajnej prawicy zaczęło się na długo przed tym niedawnym wystąpieniem Muska. Już w czasie pierwszej prezydentury Trumpa Bannon aktywnie działał w Europie, próbując budować zaplecze ideowe dla prawicowej międzynarodówki. Planował nawet utworzenie we Włoszech, w klasztorze pod Rzymem, czegoś w rodzaju szkoły akademii dla europejskich ruchów nacjonalistycznych. Mamy do czynienia z projektem długofalowym, a nie z pojedynczymi gestami.

Ten proces został na kilka lat zahamowany przez prezydenturę Joego Bidena, ale to już przeszłość. A obecny amerykański prezydent mówi o Europie i relacjach transatlantyckich: z pogardą, protekcjonalnie, podważając sens istnienia Unii i jej instytucji. Europa w tej wizji nie może być samodzielnym podmiotem politycznym, tylko obszarem podporządkowanym silniejszym graczom.

Mówi pan o amerykańskim wpływie na rozwój skrajnej prawicy w Europie. Ale zazwyczaj przypisuje się jej kontakty z Moskwą. Niektórzy twierdzą, że cała skrajna prawica to kremlowska agentura.
– Nie traktuję takich analiz zbyt poważnie, bo to zbyt daleko idące uproszczenie. Oczywiście w wielu krajach Rosja od lat próbowała budować wpływy tam, gdzie tylko się dało, zwłaszcza na marginesach sceny politycznej. Wynikało to z faktu, że po 2000 roku była coraz bardziej izolowana z powodu łamania praw człowieka, represji wobec opozycji czy brutalnych działań, choćby w Czeczenii. Trudno było jej znaleźć otwartych sojuszników w głównym nurcie polityki europejskiej.

Dlatego Moskwa sięgała po środowiska skrajne i to zarówno po stronie prawicy, jak i lewicy. Z jednej strony partie komunistyczne czy postkomunistyczne, z drugiej: ugrupowania neofaszystowskie, ultrakonserwatywne i nacjonalistyczne. Dla wielu z nich kontakty z Rosją były formą nobilitacji: marginalni politycy byli zapraszani do Moskwy, spotykali się z szefem rosyjskiej dyplomacji Sergiejem Ławrowem i innymi znaczącymi przedstawicielami władzy, a później zaczynali funkcjonować w propagandowych mediach jako międzynarodowi partnerzy.

Nieprawdą jest jednak stwierdzenie, że cała skrajna prawica jest prorosyjska. Ona w rzeczywistości jest głęboko podzielona.

W wielu krajach, także w Polsce, środowiska neonazistowskie i neofaszystowskie są raczej antyrosyjskie.

Prorosyjskie sympatie częściej pojawiają się wśród nurtów narodowo-bolszewickich, postkomunistycznych czy ultrareligijnych, zwłaszcza tych, które widzą w Rosji bastion tak zwanych tradycyjnych wartości i przeciwwagę dla liberalnego Zachodu.

Rosja raczej wykorzystuje istniejące podziały i oferuje symboliczną legitymizację tym środowiskom, które akurat chce w danym momencie wzmocnić.

Wychodzi w takim razie na to, że im słabsza Unia Europejska – a to ona najczęściej występuje w roli wroga skrajnej prawicy – tym bardziej będziemy zależni od Waszyngtonu i Moskwy.
– Na pewno im więcej konfliktów między poszczególnymi krajami w Europie, tym łatwiej zewnętrznym graczom wpływać na sytuację polityczną, zwłaszcza jeśli dysponują twardymi narzędziami nacisku, takimi jak surowce energetyczne czy siła militarna. Dużo łatwiej oddziaływać na podzielone państwa niż na zintegrowany organizm liczący kilkaset milionów obywateli i zmierzający w stronę federacji.

Dlatego uważam, że retoryka „suwerenności" rozumianej jako walka z Unią Europejską osłabia pozycję przede wszystkim takich krajów jak Polska. Paradoksalnie, im głośniej ktoś ogłasza się patriotą walczącym z Brukselą, tym bardziej zmniejsza realne szanse swojego państwa na podmiotowość i siłę. Europa rozbita na rywalizujące ze sobą państwa narodowe jest po prostu łatwiejsza do rozgrywania z zewnątrz. ●

eprasa.pl 74c5a22a0e

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

codziennie w sprzedaży w sieci

LIDL

teraz już także
na nowych regałach prasowych

eprasa.pl 74c5a22a0e

ŚWIAT

ICE ZMROZIŁO KRÓLOWE ŚNIEGU

Rozpoczęły się zimowe igrzyska olimpijskie, a ja, zamiast ekscytować się rywalizacją gwiazd, **na karku czuję oddech Donalda Trumpa i J.D. Vance'a**

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

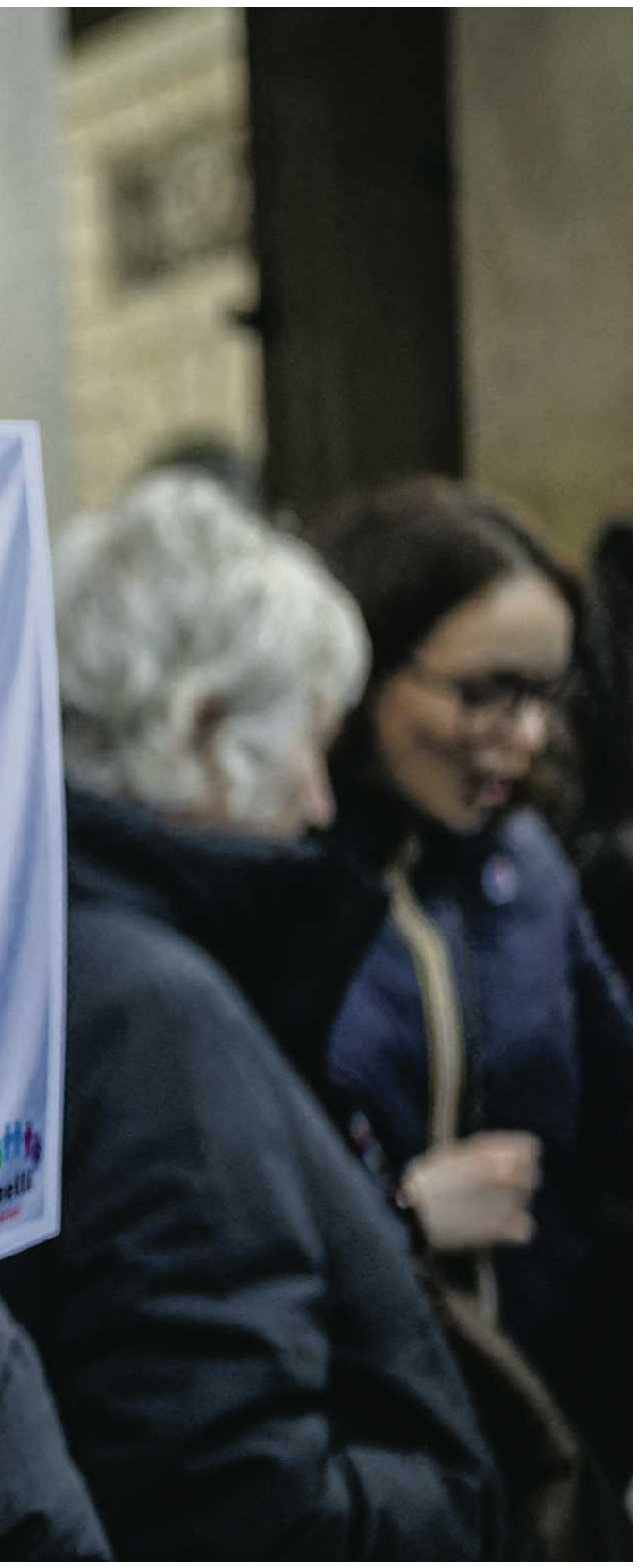

• **„W Mediolanie nie ma ICE". Protest w Mediolanie po informacji, że pracownicy amerykańskiej Służby Imigracyjnej i Celnej (ICE) pomogą chronić delegacje amerykańskie na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich (31.01. 2026 r.)**
FOT. REUTERS/ALKIS KONSTANTINIDIS

Radosław Leniarski

Wyobraź sobie wtorkowy wieczór, 10 lutego. Olimpijskie lodowisko w Assago pod Mediolanem. Na lód wjeżdża jeden z najlepszych łyżwiarzy w Europie, gotowy do poczwórnych skoków, piruetów i spiral. W hali aksamitnie rozbrzmiewa się muzyka, pianissimo con amore, jesteśmy w Mediolanie, u Verdiego. Trybuny zasłuchują się w skupionym oczekiwaniu na zachwyt. „Zamykam oczy i widzę ciebie" – śpiewają Andrea Bocelli i jego syn Matteo, kiedy Kyryło Marsak wykonuje pierwsze figury programu dowolnego. „Jesteś ze mną wszędzie. Jesteś w powietrzu, którym oddycham".

Miłość, oczywiście.

Marsak płynie po lodzie do pieśni Bocellich o rodzicielskiej miłości, o przeżywaniu przez niewidomego ojca dorastania syna, o dawaniu ojcowskiego ciepła, przekazywaniu wiary we wspaniałe życie, o wspólnych chwilach w przeszłości, które trzeba zapamiętać, bo już się nie powtórzą, o niesprawiedliwości losu, który nie pozwala im na zobaczenie się nawzajem. Znamy to z teledysku: anielskie głosy, dominująca biel, wizja raju według Bocellich. Wiadomo, jak wygląda raj najlepiej wiedzą włoscy artyści. Piękno, miłość, harmonia. Ktoś może powie: nadmierna tkliwość, a nawet kicz, z premedytacją zaprojektowany, żeby sprzedać na spotify setki milionów odsłuchań.

Kicz, ale nie dla każdego.

Niewykła historia Marsaków

W najbliższy wtorek Kyryło i jego ojciec Andryi będą oddaleni od siebie o dwa, może trzy tysiące kilometrów. Andryi jest w okopach na linii frontu, broniąc ojczyzny przed rosyjską inwazją. Kyryło przygotowywał się w Finlandii do olimpijskiego startu, daleko od rodziny, daleko od domu. Być może ukraińskie dowództwo da Andryiowi przepustkę z frontu, może nawet zafundują mu wycieczkę do Mediolanu na start syna. Może dadzą też bilet na olimpiadę mamie Kyryła, która pracuje w skutym lodem, zmrożonym na kość i bombardowanym przez Rosjan Kijowie. Tego nie wiem. Za to trzymam kciuki.

Na tym samym olimpijskim turnieju wystąpi wielu Rosjan, którzy znaleźli miejsca w reprezentacjach różnych krajów. Nasza, polska drużyna jest najlepszym przykładem. Aż połowa z drużyny to Rosjanie, którzy wyjechali z ojczyzny, z krainy Władimira Putina, przed rozpętaniem przez niego wojny w Ukrainie. Władimir Samoiłow, Jekaterina Kurakowa, Julia Szczecinina krętymi drogami dotarli do Polski – przez nasz Toruń, przez Egno we włoskim Tyrolu, przez Mediolan, Budapeszt, albo miasta Szwajcarii, gdzie wychowała się Szczecinina.

Jak mówi szefowa Polskiego Związku Łyżwiarstwa Figurowego Magdalena Tascher, mniej więcej połowa łyżwiarzy startujących w międzynarodowych zawodach reprezentuje drużyny narodowe inne niż wynikałoby z miejsca urodzenia. Z tej połowy ogromną większość stanowią Rosjanie, a ich przedwojenny – a także w trakcie wojny – exodus z ojczyzny nie zawsze był spowodowany polityką, na przykład niezgodą na to, co robi z ich krajem Putin. Wyjeżdżają bardzo młodzi ludzie, na ogół z nieokreślonymi poglądami i wartościami, którzy od dziecka – a zaczynają gdy mają trzy, cztery lata – żyją i pracują z marzeniami o wielkiej karierze, a która w Rosji napotyka ogromne blokady. W moskiewskich klubach – Sambo-70 osławionej z powodu bezwzględnych metod trenerki Eteri Tutberidze, czy Akademii Aniołów byłego wielkiego łyżwiarza Jewgienija Pluszczenki – harują ich dziesiątki w różnych grupach wiekowych, a rodzice płacą za to setki euro miesięcznie.

Jesteś za gruba – wynocha. Wracaj, jak schudniesz. Za trudne? Spadaj, nie nadajesz się. Boli? Przejdzie. Nie przechodzi? Trudno, zmień dyscyplinę.

Przemiał. Tłok. Korupcja. Intrygi. Układy.

Łyżwiarstwo figurowe jest na to narażone (mimo prób zmian w ostatnich latach) jak żaden inny sport – ze względu na subiektywne oceny, na decyzje, nawet najbardziej śmierdzące, ale które zawsze da się obronić, gdyby ktoś je chciał podważyć. W tenisie wygrywasz albo przegrywasz, nawet remisów brak, barierą w karierze są jedynie pieniądze, o ile ktoś jest bardzo zdeterminowany i utalentowany. W łyżwiarstwie w Rosji? OK, jak dobrze skaczesz to się liczy poczwórnie, może będzie zniżka, może finansowanie, ale takich, co skaczą, jest wiele. I zaczyna się liczyć: skąd pochodzisz, kto cię trenował, w jakiej szkole, czy rodzice mają pieniądze, czy nie ścibolą na trenera, na osobiste zajęcia.

Wyobraź sobie: sportowcy, od których wymaga się największej wrażliwości, rozwijają się w brutalnym i wrednym otoczeniu.

Dlatego uciekają i setkami zmieniają sportowe obywatelstwo.

Zdarzają się też wśród rosyjskich sportowców turbopatrioci, paradujący z literą Z, symbolem wojny, na piersi. Choć w samej Rosji rzadziej dziś słychać o wybuchach entuzjazmu po czterech latach wojny, a Putin jakoś nie organizuje wieców na Łużnikach na kolejne rocznice scalania Wszechrusi. Manifestowanie poparcia dla wojny nie jest już w modzie.

Sportowcy są odbiciem podobnych nastrojów. Mimo to, federacje sportowe znacznie więcej Rosjan wykluczyły ze startów międzynarodowych ze względu na ich związki z resortami siłowymi lub za wcześniejsze popieranie wojny w Ukrainie, niż dopuściły. Specjalne panele odrzucały wnioski o zgodę na start, po weryfikacji postawy wobec agresji. Sito było gęste, przynajmniej jeśli chodzi o występy w kwalifikacjach do włoskich igrzysk.

I dlatego w Mediolanie dopuszczonych do startu będzie mniej Rosjan niż dobrowolnych emigrantów sportowych sprzed rosyjskiej inwazji na Ukrainę, którzy teraz reprezentują inne kraje.

W chwili, gdy pisałem ten tekst, MKOl zaprosił do udziału w igrzyskach jako sportowców neutralnych zaledwie trzynaścioro. Być może dołączy jeszcze ktoś, kto odwołał się do Trybunału Arbitrażowego (najwyższego sądu sportowego) od decyzji o wykluczeniu go z igrzysk. W takim przypadku zaproszenie może zostać w ostatniej chwili wystawione.

Czasy spokoju po Związku Radzieckim

Z każdym rokiem Międzynarodowy Komitet Olimpijski i inne wielkie korporacje sportowe sugerują nadejście rozluźnienia sankcji, mimo że na froncie nic się nie zmieniło i tak jak Rosja niszczyła cele cywilne, dokonując zbrodni, tak nadal to robi. Można się tylko domyślać, że ochota na przywrócenie Rosjan do międzynarodowej rywalizacji jest podbijana postawą prezydenta USA Donalda Trumpa.

Ukraińcy protestują. Skeletonista Władysław Heraskewycz cztery lata temu w Pekinie wbrew artykułowi 50 statutu MKOL (zakazuje on wszelkich manifestacji politycznych, rasowych czy religijnych na arenach olimpijskich) miał na piersi napis: „No war in Ukraine" – kilka dni przed inwazją. Wciąż powtarza, że start neutralnych sportowców z Rosji i Białorusi to fikcja i farsa, ponieważ korzystają z państwowych funduszy, żeby się przygotować do igrzysk. Są więc narzędziem propagandy.

Kraj, który był opoką olimpizmu, kształtował jego idee i ma zasługi podobne, co Francja, ojczyzna Pierre'a de Coubertina, stał się za kadencji Trumpa ciałem obcym, którego obecność nie jest pożądana

Natomiast ci sportowcy, którzy faktycznie uciekli z Rosji i Białorusi, żeby uczestniczyć w sporcie, powinni być dopuszczeni do igrzysk jako zawodnicy „Drużyny uchodźców" – argumentuje Heraskewycz. Taka reprezentacja została powołana do życia przez MKOl w 2016 r., ale startowała wyłącznie w igrzyskach letnich.

Tak jest zawsze. Zawsze, gdy piszę o igrzyskach przed ceremonią otwarcia, zajmuję się wielką polityką.

Choćby MKOl, FIFA, UEFA i wszyscy sportowi święci zaklinali, że sport powinien być oddzielony od polityki, nie ma takiej siły, która ten związek by rozerwała. Sportowi zarządcy powtarzają swoje słowa co dwa lata, zgodnie z cykle olimpijskim, lub częściej, a jedyne, co zauważyłem w tej sprawie, to fakt, że związek się zacieśnił.

W Nagano w 1998 r. mieszkałem w wiosce dla dziennikarzy na jednym z wyższych pięter. Któregoś sobotniego poranka usłyszałem pod domem skandowanie. Grupa Japończyków zorganizowała demonstrację. Było kilkadziesiąt osób z transparentami. Zjechałem na dół i po dłuższej próbie zrozumienia o co chodzi – wydłużającej się z powodu bariery językowej, nikt nie mówił w języku innym niż japoński, choćby zęby rwać – wyjaśniło się, że chodzi o niszczenie środowiska przez igrzyska. Manifestacja zaczęła się ok. godz. 9. Trwała w jednym miejscu, na peryferiach małego miasteczka, jakim było Nagano, do, powiedzmy, godz. 11.

Mam wrażenie, że lata 90. były w historii olimpijskiej okresem spokoju i chyba nie bez racji byłoby stwierdzenie, że w dużej mierze z powodu upadku ZSRR, rozczłonkowania imperium sowieckiego na nie-

eprasa.pl 74c5a22a0e

zależne państwa, czyli z powodu słabości Rosji Borysa Jelcyna w okresie szalonej przebudowy kraju. Tak, jakby Rosja nie miała czasu na swoje zwykłe intrygi w świecie sportu, bo ten był przecież małą kropelką w oceanie kłopotów, które wtedy kraj przeżywał. Kto w Rosji miał ochotę poświęcać czas sportowi, skoro trzeba było przetrwać w brutalnym czasie, zarobić przy nadarzającej się okazji, otworzyć szczęki gdzieś na przedmieściach za Sadowoje Kolco, wyjechać na Stadion Dziesięciolecia do Polski pohandlować kompaktami, złożyć w piwnicy do kupy chińskie komputery kupione z polskiego przemytu, a potem sprzedać gdzieś pod Moskwą.

Potem zaczęła się era Putina i nastąpiło przejęcie przez tego poniemieckiego kagiebistę wszystkich nitek władzy. Reżim okrzepł i zahartował się w wojnach czeczeńskich, a następnie zaczął pożądać sławy, chwały, uznania pozycji supermocarstwa, nie ustępującego nikomu w niczym, a nawet dyktującego kierunki i warunki rozwoju.

W finale, przynajmniej tym sportowym, zobaczyliśmy zdobycie przez Rosję niesławy, wieloletnie wygnanie ze świata sportu na skutek dopingu wspomaganego przez państwo i z powodu łapówek, za które kryto ów doping. A już na koniec wyrzucenie na bruk za rozpętanie wojny w Ukrainie. W sumie banicja Rosji z wielkiego sportu zaczęła się dekadę temu, od pełnego wykluczenia reprezentacji lekkoatletów z igrzysk w Rio de Janeiro w 2016 r. i trwa do dziś.

„Przyszedł czas, żeby oddać to, co do nich należy”

Z odległej perspektywy pamiętam igrzyska w Barcelonie w 1992 r., Atlancie w 1996 r. i Sydney w 2000 r. jako oazy ciszy na osi czasu, mimo że w Atlancie byłem o kilometr od miejsca, w którym wybuchła bomba, a Australia przyznawała się wtedy właśnie do grzechów wobec rdzennej ludności. Pamiętam, jak na stadionie zespół Midnight Oil śpiewał o długach wobec niej, o obciążonej hipotece, która powinna zostać spłacona: „Przyszedł czas, żeby oddać to, co do nich należy. Jak możemy spać, gdy nasze łóżka płoną”.

Następne, co pamiętam z igrzysk olimpijskich, to olbrzymie kolejki do sprawdzania przez ochronę, security check, w Salt Lake City. Był luty 2002 rok, pięć miesięcy po zamachach na World Trade Center. Nasz świat zmienił się wtedy nieodwracalnie.

Ceremonia otwarcia rozpoczęła się wprowadzeniem zniszczonej amerykańskiej flagi, odzyskanej z ruin WTC. Niosła ją kompania honorowa, złożona z policjantów z Port Authority of New York and New Jersey, Departamentu Policji Nowego Jorku oraz strażaków z nowojorskiej straży pożarnej, a także amerykańscy sportowcy. Prezydent George W. Bush stał wśród sportowców, a nie na trybunie honorowej, żeby podkreślić wspólnotę z Amerykanami.

W ogóle wspólnota była wtedy ważnym przesłaniem, to znaczy zawsze jest w olimpijskiej mitologii, ale zamachy dodały jej wagi: Lech Wałęsa niósł flagę olimpijską z pięcioma flagami symbolizującymi kontynenty, reprezentując Europę, wraz z pastorem Desmondem Tutu, czyli przedstawicielem Afryki, astronautą Johnem Glennem (Ameryka), biegaczką, bohaterką igrzysk w Sydney Cathy Freeman (Australia) i skoczkiem narciarskim, bohaterem poprzednich zimowych igrzysk olimpijskich Kazuyoshim Funakim (Azja).

Potem ludzie potulnie stali po godzinie i więcej na mrozie, żeby funkcjonariusze poprzedniczki ICE, agencji INS, sprawdzili, czy magnetofon przypadkiem nie jest uzbrojoną bombą, czy laptop się włącza, metrowy obiektyw nie jest wyrzutnią rakiet, a dyktafon nie strzela. Wkrótce po igrzyskach olimpijskich w Salt Lake City specjalną ustawą powołano do życia agencję ICE, wraz z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego.

Zamachy były bezpośrednią inspiracją do decyzji o powołaniu agencji, która dziś jest powodem zażenowania i oburzenia brutalnym światem władzy. ICE powstało, żeby wprowadzić porządek i chronić. Nie twierdzę, że zorganizowano ją dlatego, że w USA przeprowadzono największą sportową imprezę roku (być może poza mundialem w Korei i Japonii), i opiekę nad nią roztaczało kilka federalnych agencji, wkraczających sobie nawzajem w paradę, ale niektóre wnioski wyciągnięte z igrzysk były inspiracją, jedną z wielu.

Ojciec prawicowego populizmu na igrzyskach w Garmisch-Partenkirchen

Dawno temu dostałem w prezencie książkę z najlepszymi artykułami sportowymi wydanymi w prasie amerykańskiej w XX wieku. Nie wspomnę, że wielka część z nich dotyczy boksu, mojego ulubionego sportu. Boks odszedł w chwale.

Jednym z najlepszych tekstów była korespondencja Westbrooka Peglera z igrzysk olimpijskich w Garmisch-Partenkirchen w 1936 roku, czyli 90 lat temu. Pegler był w latach 30. i 40. bardzo znanym felietonistą, zdobywcą nagrody Pulitzera. Nazywano go „ojcem prawicowego populizmu”. Krytykował ze swadą i bezczelnością prezydentów Hoovera, Roosevelta, Trumana, a potem też Kennedy'ego za rozliczne domniemane i prawdziwe grzechy. Zrządzeniem losu urodził się w Minneapolis.

Otóż Pegler był zaszokowany obecnością na ulicach Garmisch-Partenkirchen bojówkarzy NSDAP, z bronią, mogących zatrzymać każdego, jeśli im przyjdzie ochota. Reporter nie wiedział, że SA i SS już od trzech lat są regularnymi służbami III Rzeszy. SA stała się policją pomocniczą z rozkazu Hermanna Goeringa, a SS – wszechwładną armią hitlerowców.

Zawsze, gdy piszę o igrzyskach przed ceremonią otwarcia, zajmuję się wielką polityką. Choćby MKOl, FIFA, UEFA i wszyscy sportowi święci zaklinali, że sport powinien być od polityki oddzielony, nie ma siły, która by je rozerwała

Pegler stwierdził, że sceny z ochroniarzami Hitlera na igrzyskach olimpijskich byłyby nie do zaobserwowania w Stanach Zjednoczonych, kraju, w którym owszem, niektórzy gubernatorzy lub burmistrzowie przejawiają dyktatorskie zapędy, ale są one wycinane do imentu. Opisywał, że igrzyska w Niemczech zeszły na dalszy plan, o ile w ogóle gospodarz igrzysk miał na nie jakiś plan.

W gruncie rzeczy Peglerowi chodziło o to, że Niemcy zostały opanowane przez reżim, przez dyktaturę. Nie tyle był tym przerażony – był on raczej typem ironisty, sarkasty i nie poddawał się takim mało intelektualnym emocjom. Był potężnie zdziwiony. Na swój sposób ostrzegał Amerykę i okazywał niezadowolenie, że szef związku sportowców zaciągnął ich na ten „obóz wojskowy”.

Nawet taki populista jak Pegler.

I w tej chwili, gdy sportowy świat szykuje się, żeby obejrzeć ceremonię otwarcia igrzysk i kibicować sportowcom, w Mediolanie przetaczają się demonstracje przeciwko przyjazdowi agentów ICE do Włoch (mają ochraniać członków delegacji amerykańskiej). Agenci tej samej służby zastrzelili w Minneapolis dwoje niewinnych ludzi, o ich niewinności wiemy z pewnością, oraz kilka innych osób w nieudokumentowanych tragicznych wydarzeniach w Stanach Zjednoczonych.

Włosi – nastawieni zwykle proamerykańsko, choć nie tak ślepo jak nasi politycy prawej strony – a szczególnie progresywni Włosi północy kraju, nie chcą mieć ICE u siebie. Nie rozumieją, dlaczego owiani złowrogą sławą agenci przyjechali do ich kraju, do ich miasta. Burmistrz Mediolanu mówi, że to mordercy i że nie życzy sobie ich obecności w mieście.

W ten sposób kraj, który był opoką olimpizmu, kształtował jego idee i ma zasługi podobne jak Francja, ojczyzna Pierre'a de Coubertina, stał się za kadencji Donalda Trumpa ciałem obcym, którego obecność nie jest pożądana. Na ceremonii otwarcia był obecny wiceprezydent J.D. Vance, którego antyeuropejska retoryka odbiła się mocnym echem we Włoszech, a co za tym idzie stała za obniżeniem temperatury uczucia Włochów do Ameryki. Vance na otwarciu igrzysk jest dla mnie nie na miejscu z powodu jego opinii o mniejszościach, o imigrantach, o ICE i nowych porządkach w Ameryce. Są one – mógłbym powiedzieć – nieolimpijskie, niesportowe.

Dlaczego? Bo igrzyska olimpijskie są inkluzywne. Akceptujące. Przecież nawet Rosjanie startują w igrzyskach, choć ich kraj jest zbrodniczym reżimem kierowanym przez rzeczywistego Hannibala Lectera. Startują pod pewnymi surowymi warunkami jako sportowcy neutralni, ale otrzymali taką możliwość, choć nam się to bardzo nie podoba i w większości jesteśmy temu przeciwni.

Ale właśnie taki jest sport.

W sporcie olimpijskim naczelną zasadą jest powszechność uprawiania, powszechność udziału w zawodach – jeśli zgadzasz się z przepisami, które obowiązują także innych, jeśli masz szacunek dla rywala. Jeśli go nie obrażasz, bo inaczej zostaniesz ukarany za niesportowe zachowanie, bo tego nie wolno robić. Nie wyrażasz się o nim źle, bo stracisz kibiców, przyjaźń, szacunek. Nie oszukujesz, bo zostaniesz zdyskwalifikowany. Ale uwaga: nawet dyskwalifikacja nie skreśli cię ze sportu, bo jak po karze wrócisz na dobrą drogę, możesz startować, jak kiedyś. Dalej – nie lekceważysz przeciwnika, nawet jeśli nie jest twojej wielkości, nie tak bogaty, nie tak wpływowy, ustosunkowany i utytułowany. Wasze pole rywalizacji jest równe. Ten sam tor, w którym raz jedziesz po zewnętrznej, raz po wewnętrznej, ta sama trasa, lodowisko, na którym zmieniasz połowy, żeby było równo.

Dlatego na te igrzyska jadę z cholernym ICE w głowie, z Trumpem i Vance'em na karku i czuję ich oddech. Chwilowo gdzieś zniknęły Lindsey Vonn i Mikaela Shiffrin, największe gwiazdy, Królowe Śniegu.

Wrócą, ale jeszcze nie dziś. Dziś rządzi polityka. ●

1 RP

• Polskie medalowe nadzieje: alpejka Maryna Gąsienica-Daniel, która w zawodach PŚ zajęła swego czasu 5. miejsce oraz startująca w short tracku Natalia Maliszewska

Polska na medal

• Z igrzysk we Włoszech – Cortina d'Ampezzo w 1956 roku, Rzym w 1964, Turyn w 2006 – polska reprezentacja zawsze wracała z medalem lub medalami. Niewykluczona jest powtórka i podtrzymanie serii.

• Najwięcej medali Polska zdobyła na skoczni, bo aż dziesięć. Teraz szanse trzeba upatrywać przede wszystkim na lodzie i na stokach narciarskich. W skokach szans nie ma, zważywszy na to, co się dzieje w tym sezonie z formą zawodników. Tym niemniej trzeba pożegnać Kamila Stocha, dla którego będzie to ostatni start olimpijski w ostatnim sezonie kariery.

• Polskimi kandydatami do medalu są panczeniści **Damian Żurek** (500 m, 14 lutego), **Władimir Semirunnij** (5000 m, 13 lutego) i i **Kaja Ziomek-Nogal** (500 m, 15 lutego). W short-tracku **Natalia Maliszewska** (500 m, 12 lutego; 1000 m, 15 lutego).

• W Livigno wielkie szanse na sukces w gigancie równoległym na snowboardzie ma **Alicja Król-Walas,** jednak w jej konkurencji potrzebny jest też łut szczęścia w losowaniu – po kwalifikacjach zawody rozgrywane są pucharowo, więc wylosowanie do pojedynku hegemonki takiej jak Ester Ledecki, oznaczałoby potężne trudności już we wczesnej fazie rywalizacji (8 lutego). Potencjalnie właśnie dwukrotna brązowa medalistka mistrzostw świata Alicja Król-Wala ma największe szanse na medal, ponieważ w tym sezonie już trzykrotnie stawała na podium Pucharu Świata w gigancie równoległym.

• Po drugiej stronie gór, w Cortinie, na trasie Tofane, walkę o medal stoczy **Maryna Gąsienica-Daniel** w alpejskim gigancie (15 lutego). Jej najwyższe miejsce w Pucharze Świata – 5. Lepiej jeździły tylko siostry Małgorzata i Dorota Tlałki w latach 80., ta druga to wciąż jedyna Polka, która wygrała zawody alpejskiego Pucharu Świata.

FOT. MAREK PODMOKLY / AGENCJA WYBORCZA.PL; FOT. MARTYNA NIECKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 74c5a22a0e

SURFING Z PIŁSUDSKIM

Brazylijski styl życia nie podlega negocjacjom. W Belem mango prawie przywaliło mi w głowę, w Brasilii „podziwiałem" betonowy modernizm Niemeyera, na Ipanemie oglądałem deski surfingowe z niezwykłym kompanem.

Aleksander Gurgul
KORESPONDENCJA Z BELÉM, BRASILII I RIO DE JANEIRO

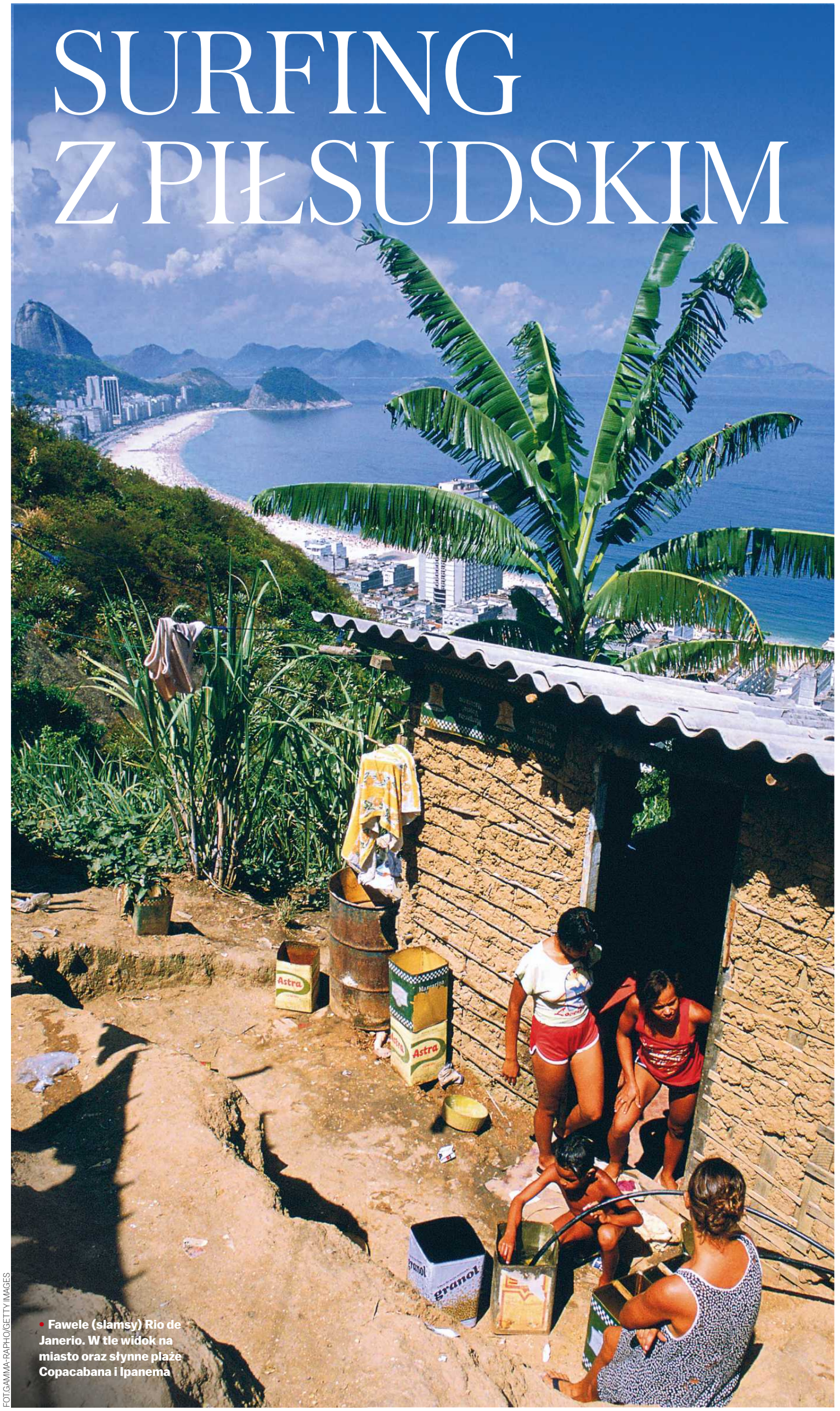

• Fawele (slamsy) Rio de Janerio. W tle widok na miasto oraz słynne plaże Copacabana i Ipanema

FOT. GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

1 RP

Pracujemy nad tym, wyjaśniamy w ich ministerstwie spraw zagranicznych, które jest dosyć otwarte, jak wygląda sytuacja w Ukrainie i Europie – zapewnia mnie europejski dyplomata. Łodzią mkniemy kanałami przecinającymi wyspę Combú (braz. *Ilha do Combú*), położoną 20 minut od Belém. I przypomina: – Lula niepotrzebnie pojechał na putinowską paradę do Moskwy. Dla Brazylijczyków Europa jest daleko, nie ich wojna, nie ich sprawa.

Pytam, czy dyplomata zgodzi się opowiedzieć pod nazwiskiem, jak wyglądają rozmowy w brazylijskim MSZ. Bez szans. Brazylia jest coraz ważniejszym partnerem handlowym Unii Europejskiej, wszystko trzeba „komunikować" delikatnie, najlepiej przez biuro prasowe.

Niemiecki kanclerz Friedrich Merz po powrocie z COP30 w Belém, czyli Konferencji Stron Ramowej konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu, która odbyła się w listopadzie 2025 r., zasunął: – Zapytałem dziennikarzy, którzy byli ze mną w Brazylii: Kto z was chciałby tu zostać? Nikt nie podniósł ręki. Wszyscy się cieszyli, że wróciliśmy do Niemiec.

Spadła na niego fala latynoskiej krytyki. Eksplodował Eduardo Paes, burmistrz Rio de Janeiro, który wprost nazwał Merza „nazistą", ale później usunął wpis z serwisu X. Może przypomniał sobie, że po II wojnie światowej w jego kraju ukrywali się zbiegli hitlerowscy bonzowie i zagrywanie tą kartą jest strzałem w kolano? Albo może dlatego, że Niemcy wyjątkowo hojnie w ostatnich latach wspierały finansowo walkę z wylesianiem Amazonii (z przerwą na rządy Jaira Bolsonaro)?

„Dałem upust emocjom. Wszyscy w resorcie spraw zagranicznych mogą być teraz spokojni – wskazał potem Paes. – Niech żyje przyjaźń między Brazylią a Niemcami!" – dodał.

W dyplomacji z Brazylią trzeba być rozważnym. Na tapecie wisiała do niedawna umowa Mercosur-UE, która ma ułatwić handel produktami przemysłowymi i rolnymi oraz znosić cła i otwierać rynki zamówień publicznych, a której ostro sprzeciwiali się europejscy rolnicy.

– Ale wie pan, z tym Mercosur to jeszcze nie wiadomo jak wyjdzie, bo wszystko rozwalić może prezydent Argentyny... – ostrzegał europejski dyplomata pod koniec listopada ubiegłego roku.

Javier Milei to polityczny fanatyk Donalda Trumpa i kilka tygodni temu, na początku stycznia, groził wyjściem Argentyny z tego porozumienia. W Białym Domu nie podoba się handlowy deal bloku Mercosur (Argentyna, Brazylia, Paragwaj, Boliwia i Urugwaj) z Unią, bo dla Amerykanów zachodnia półkula wedle XIX-wiecznej doktryny Monroego to ich terytorium wpływów i Europejczycy mają się tam nie panoszyć.

eprasa.pl 74c5a22a0e

Ponadto trumpiści i różnej maści akolici MAGA, jak syn marnotrawny ruchu Elon Musk, nie znoszą europejskiej Wspólnoty, czemu wprost dają wyraz. Najchętniej rozmontowaliby UE kawałek po kawałku, co zresztą można wyczytać w strategii bezpieczeństwa narodowego USA.

W połowie stycznia państwa UE podpisały ostatecznie umowę z blokiem Mercosur, choć ratyfikacja opóźni się, bo Parlament Europejski przegłosował skierowanie jej do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), by upewnić się co do zgodności z innymi europejskimi traktatami.

Szpagaty prezydenta Brazylii

Współczesna Brazylia stoi w polityczno-gospodarczym rozkroku. To kraj wielu sprzeczności. Prezydent Luiz Inácio Lula da Silva mimo 580-dniowego pobytu w więzieniu za czasów Bolsonaro, ultraprawicowego „latynoskiego Trumpa", to dziarski 80-latek.

Niedawno, podczas wizyty w Indonezji, oświadczył, że czuje się jak wówczas, gdy miał lat 30. Zamierza kandydować po raz czwarty (wcześniej rządził w latach 2003-10, w Brazylii po dwóch kadencjach można kandydować na dwie kolejne) i jeśli wygra – przejdzie do historii.

Na szczytach klimatycznych nazywa się Brazylię petrokartelem, bo prym w OPEC wiodą m.in. Rosja, Wenezuela i państwa arabskie, które oprócz eksportu paliw kopalnych słyną z łamania praw człowieka.

Z jednej strony Lula chce chronić lasy tropikalne, z drugiej jego rząd wydał niedawno zgodę na odwierty w rejonie ujścia Amazonki do Atlantyku, wokół czego wybuchła burza przed wspomnianym szczytem klimatycznym w Belém.

A to tylko jeden ze szpagatów, które robi Lula w polityce wewnętrznej i zagranicznej.

Chce zatrzymać wylesianie Amazonii, hotspotu bioróżnorodności i globalnego magazynu dwutlenku węgla, a jednocześnie musi obłaskawiać agrobiznes. Jak wykazało śledztwo „Guardiana" i DeSmog, na COP30 zjechało ponad 300 lobbystów brazylijskich latyfundystów, bo tak trzeba nazwać właścicieli ziemskich, którzy chcą hurtowo wpychać produkty (soję, wołowinę, kukurydzę czy cukier i oczywiście kawę) na rynek europejski.

Miliarderzy ci po Brazylii poruszają się prywatnymi odrzutowcami albo helikopterami, które dla klimatu są istnym koszmarem – emitują olbrzymie ilości gazów cieplarnianych w przeliczeniu na jedną osobę

Obszary, które kontrolują ci „rolnicy", są często tak ogromne, że ich obchód można zrobić tylko z powietrza.

Ale to właśnie przed nimi Lula musi ochronić Amazonię, by nie stała się pastwiskiem i polem uprawnym. Dlatego na ochronę lasów tropikalnych uruchomił specjalny fundusz (TFFF), do którego dorzuciły się już pierwsze kraje, także UE.

Wyspa Combú to w zasadzie „przedmieścia" Belém. – Uprawia się tu głównie jagody acai i kakao. Widzicie tamtą motorówkę? Takimi dzieciaki wozi się tutaj do szkoły. – Wskazuje Patricia, nasza przewodniczka. Domy na wyspie stoją na palach, bo poziom wody w rzece Guamá potrafi się podnieść albo opaść nawet o dwa metry.

– Codziennie na Combú rano i wieczorem przypływa łódź z opieką medyczną. Osoby z poważniejszymi schorzeniami albo wymagające szybkiej interwencji przewozi się do szpitali w Belém – Patricia tłumaczy, jak żyje się na amazońskiej wsi. Daleko za naszymi plecami majaczy nabrzeże uczelni Universidade Federal do Pará (UFPA), przy której „Wojownika Tęczy" zaparkował Greenpeace.

Mieszkańcy Combú dopiero zaczynają się uczyć retencjonować deszczówkę, prąd do wyspy doprowadzono, przerzucając linie wysokiego napięcia na olbrzymich słupach. Trudno jednak mówić o luksusach. Transport czegokolwiek na stały ląd oznacza spalenie wielu litrów paliwa (o łodziach z silnikami elektrycznymi dopiero zaczyna się tu rozmawiać).

FOT. ALEKSANDER GURGUL/GAZETA WYBORCZA

• **Katedra Najświętszej Maryi Panny z Aparecidy w Brasilii. Stolica kraju została zaprojektowana przez Oscara Niemeyera i zbudowana w interiorze w latach 1956-60**

W tak wielkim kraju, przy tych odległościach, niezwykle ważna jest tania benzyna. W Brazylii jeden litr benzyny kosztuje niecałe 4 zł, a Petrobras, czyli największy latynoski konglomerat naftowo-gazowy, to solidny pracodawca, który podnosi dziesiątki tysięcy rodzin z ubóstwa. Z drugiej strony to właśnie Petrobras będzie robił wspomniane odwierty przy ujściu Amazonki, choć Lula zapewnia, że to nie wpłynie na ekosystem. Znów ta gimnastyka...

Za zaryglowanymi drzwiami

– Kiedy wejdziesz do kamienicy, pamiętaj, żeby zaryglować obie kłódki na kracie, a potem zatrzaśnij stalowe drzwi – mówi mi Raquel, choć raczej powinienem powiedzieć: „pisze".

Kiedy na lotnisku w Krakowie spotkałem później Brazylijczyków wracających do ojczyzny na Boże Narodzenie, mówili mi wprost: – Wiesz, to, co zobaczyłeś w Belém, to i tak łagodna wersja dla obcokrajowców, którzy przyjechali na COP30. Policja na każdym rogu, samochody opancerzone etc. To miasto na co dzień tak nie funkcjonuje – mówili.

Współczesna Brazylia nie bez podstaw kojarzy się bowiem z ulicznymi wojnami narkotykowych gangów. Ostatnia wielka strzelanina – tuż przed moim wyjazdem na COP30 – miała miejsce w Rio. Zginęło wówczas ponad 130 osób.

Wszystkie rozmowy z dozorczynią hostelu odbywałem przez Google Translate. Takich sytuacji w Belém miałem zresztą mnóstwo. Pewna starsza kucharka z foodtrucka pod szpitalem przez 45 minut opowiadała mi, czego muszę spróbować w Belém. Podczas tej wymiany zdań zastanawiałem się, co jest bardziej egzotyczne i dla kogo: facet z Polski, który przyjechał do Belém relacjonować abstrakcyjne dla większości negocjacje dla dobra planety, czy może dorada z sosem z jagód z acai podana z maniokiem i tapioką, którą w dodatku podsypują cukrem?

Wiem jedno: żadna sztuczna inteligencja nie przekaże wam smaku tego, co wówczas zjadłem.

Jak na tak różnorodny kulturowo kraj w Brazylii bardzo rzadko spotykam się z płynnym angielskim. Ledwie dukają w nim pracownicy banku czy kantoru, gdzie chcę wymienić gotówkę. W kawiarni na rogu, gdzie w menu oprócz kawy i drożdżówek jest też – dla uboższych – chleb z masłem (w wersji 50 albo 200 gramów), nikt praktycznie nie mówi po angielsku.

Mango nad głową i na głowie

„W Belém upał rozszerza ludzki szkielet i moje ciało stało się dokładnie tego samego rozmiaru, co moja dusza" – pisał Mario de Andrade, nazywany papieżem brazylijskiego modernizmu.

„Kiedy wejdziesz do kamienicy, pamiętaj, żeby zaryglować obie kłódki na kracie,a potem zatrzaśnij stalowe drzwi" - mówi mi Raquel, choć raczej powinienem powiedzieć „pisze"

Racja. Upał totalny. Żar od samego rana, kiedy swe stragany rozstawiają uliczni sprzedawcy oferujący kokosy, wyciskarki do soku pomarańczowego, ryż z krewetkami i sosem z acai. Podpinają się na dziko kablami do latarni i czekają, aż ktoś przyjdzie coś u nich kupić. Przez cały dzień kierowcy mają pozamykane szyby i tkwią w korkach w swoich mobilnych klimatyzatorach na benzynę. Przed godz. 19, gdy jest ponad 30 st. C w cieniu, trudno poplotkować z sąsiadami.

Życie zaczyna się po zmroku. Ruch nieznacznie maleje, dochodzą Ubery – w Brazylii najtańszymi są te w wersji motocyklowej. W parkach grajkowie przygrywają w altanach pod palmami, a na rogu Placu Republiki, nieopodal kamienicy, w której mieszkałem, gromadzą się transwestyci czekający na klientelę.

W dzieciństwie Brazylia kojarzyła mi się głównie z kanarkowymi strojami piłkarzy, którzy po karnych z Włochami wygrywali mistrzostwo świata, i przygodami z powieści awanturniczych.

Zaczytywałem się w nich, choć autorów uważałem za kanciarzy. Weźmy takiego Juliusza Verne'a. W 1881 r. napisał powieść „2000 mil po Amazonce". Polski wydawca zapewne chciał nawiązać do opus magnum francuskiego pisarza, „20 000 mil podmorskiej żeglugi", ale przedobrzył, bo przelicznik francuskich mil na anglosaskie lądowe jest totalnie mylący. Prawdziwy brzmi „Jaganda" – od nazwy tratwy, którą bohaterowie spłynęli tę wielką rzekę z peruwiańskiego miasta Iquitos właśnie do Belém.

Sam Verne nigdy nie odwiedził Brazylii, ale nie tylko dlatego nie wierzyłem mu, kiedy pisał, że ulica pachniała owocami albo innym kwieciem.

Aż do Belém, które nazywa się „wrotami Amazonii", gdzie drzewka z mango ocieniają stragany, ulice i chodniki. Dopiero w takich miastach, jak koszula razem z plecakiem przylepi ci się do grzbietu, zaczynasz rozumieć, dlaczego cień, który dają drzewa, nazywa się „zieloną infrastrukturą".

Mango. Symbol miasta, z którym stykałem się nieustannie. Raz nieomal bardzo bezpośrednio, bo tylko cudem jeden ze spadających z drzewa owoców nie uderzył mnie w głowę. Wspomniany de Andrade pisał, że Belém narodziło się w szczelinie pomiędzy drzewkami mango. Autor powieści „Macunaíma" uważał, że pasuje do tego miasta jak dłoń do rękawiczki.

Żebyście poczuli biedę

Ale to nie jedyne zapachy Belém. Miasto z pomocą federalnych funduszy przeszło solidną modernizację przed szczytem klimatycznym – na brzegach kanałów, którymi płynęły ścieki, zorganizowano parki z siłowniami, kioskami, huśtawkami, wybiegami dla psów i trasami rowerowymi. Na zdjęciach wyglądają świetnie, ale smród ścieków pozostał.

Poza tym nie wszystkie kanały doczekały się tego typu rewitalizacji. Wciąż wiele z nich zionie smrodem w biedniejszych dzielnicach, przez które codziennie gnałem elektrycznym, klimatyzowanym autobusem, jak na jakimś miejskim safari. Takie właśnie piękne maszyny organizatorzy podstawili delegatom, których państwa wysłały na COP30, i dziennikarzom z blisko 190 krajów.

Prezydent Lula chciał, żeby świat zobaczył brazylijską biedę. Żeby syty Zachód na własnej skórze odczuł, co to znaczy mieszkać na Globalnym Południu. I zobaczyliśmy tę biedę, jeżdżąc codziennego do „amazońskiego hangaru", jak nazywaliśmy nowoczesne centrum konferencyjne, w którym odbywał się szczyt klimatyczny.

Szybko można się zorientować, czym różnią się biedne domy i kamienice od tych zamożnych – drutem kolczastym (do tego zasieki pod napięciem) i kamerkami monitoringu. Brazylia to kraj o olbrzymim rozwarstwieniu społecznym. Biedota śpiąca na kartonach przeplata się z willami otoczonymi palmowymi ogrodami, spod których odjeżdżają kolumny nowiutkich limuzyn z przyciemnionymi szybami. Będąc w Belém, kilka razy widziałem takie kawalkady stojące na zapalonych silnikach przed najlepszymi restauracjami, żeby ich właściciel przypadkiem ani przez chwilę nie przebywał w nieklimatyzowanej przestrzeni.

Ale jeśli ktoś chce zobaczyć, jak wygląda skrajny luksus w brazylijskim wydaniu, powinien rzucić okiem na kilka odcinków reality show „Poderosas do Cerrado" opowiadającego o wpływowych kobietach z regionu Cerrado, czyli brazylijskiego Środkowego Zachodu (ang. Midwest).

Akcja serialu toczy się w położonym niedaleko stolicy mieście Goiânia, które w ostatnich latach stało się paśnikiem dla brazylijskiego konsumpcjonizmu z najwyższej półki, z salonami najdroższych marek samochodów i luksusowymi butikami. Ociekająca blichtrem produkcja może spowodować, że trudno będzie postrzegać Brazylię jako kraj Globalnego Południa. Przywodzi raczej na myśl zachowania nuworyskich oligarchów. Różnica jest jednak zasadnicza: Brazylia w przeciwieństwie do Rosji to wciąż demokracja.

Na ulicach Belém trwa natomiast motoryzacyjna przepychanka klasy średniej: amerykańskie pick-upy Chevroleta ścigają się z chińskimi SUV-ami marki BYD. Ta ostatnia firma rozbudowuje właśnie swój salon, co tylko przypomina, że tam, gdzie Ameryka przymknie na chwilę oko, chiński motosmok szybko znajdzie dla siebie rynek zbytu.

Woda jak złoto

Za dwutygodniowy pobyt w Belém w hostelu, a w zasadzie norze z prysznicem, który ledwie ciurka tylko zimną wodą, musiałem zapłacić blisko 3 tys. zł. Za każdym razem, gdy chciałem się wykąpać, przywoływałem obrazek ze swych studenckich czasów.

Pracowałem wówczas w popularnym krakowskim hostelu. Brazylijczycy przyjeżdżali całymi grupami. Nocami przesiadywali przy recepcji, częstowali cachaçą i na gitarach grali „Mas Que Nada". Z ich opowieści zapamiętałem, że jak rodzina z brazylijskiej klasy średniej chce zaimponować sąsiadom, to wysyła dziecko przynajmniej na rok studiów do Europy, najczęściej do Francji albo Włoch.

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

I ci moi goście z hostelu to były właśnie te dzieciaki. Niektórzy z nich upierali się, że mówią językiem „brazylijskim", a nie „portugalskim", bo ich kraj ma już na tyle długą historię i bogatą kulturę, że mają do tego prawo.

Całkiem serio opowiadali, że w ich kraju trzeba bardzo oszczędzać wodę, na YouTubie puszczali mi klip z kampanii społecznej, w której zachęcano Brazylijczyków do sikania pod prysznicem.

Ich ten problem oczywiście nie dotyczył, ale zdawali sobie sprawę z tego, że w wielu brazylijskich domach dostęp do wody to wciąż kłopot. Do dziś.

Niemeyer to niezły cwaniak

– A tam? – zapytałem.

– Och, to za daleko! W Brasilii czasem coś wydaje się na wyciągniecie ręki, a potem wychodzi kawał drogi. Lepiej idź prosto przed siebie, za wiaduktem powinno być coś do jedzenia – usłyszałem odpowiedź rowerzystek, które zatrzymały się na moment przy chodniku, którym zmierzam w kierunku centrum miasta, żeby cokolwiek przekąsić.

Przed godz. 8 taksówkarz wysadził mnie przed gmachem Kongresu w stolicy najludniejszego kraju Ameryki Południowej. W porównaniu z chaotycznym, buzującym Belém w Brasilii, która została stolicą kraju w 1960 r., panuje porządek i dziwna cisza. Miasto wygląda, jakby ktoś je wyłączył. O tym, że ktoś tu mieszka i pracuje, przypominają tylko przejeżdżające czasem samochody i autobusy.

Przeniosłem się w świat, który latami (o czym przypominają stosowne tabliczki) aplikował Oscar Niemeyer. Istny gigant w świecie architektury. W 1934 ukończył studia w Narodowej Akademii Sztuk Pięknych (*Escola Nacional de Belas Artes*) w Rio de Janeiro. Na przełomie lat 50. i 60 XX wieku – na zaproszenie prezydenta Juscelino Kubitschka – zaprojektował kompleks gmachów narodowych w Brasilii, które oglądałem w upalny listopadowy poranek.

W 1945 r. Niemeyer wstąpił do Brazylijskiej Partii Komunistycznej (członkiem pozostał do 1990 r.), co miało olbrzymi wpływ na jego życie. Gdy rządy w jego ojczyźnie przejęła wojskowa junta (1964 r.), Niemeyerowi zakazano pracy w zawodzie i zmuszono do emigracji (1966), której lwią część spędził we Francji. Zaprojektował m.in. siedzibę tamtejszej partii komunistycznej. Znalazł się także w gronie konsultantów projektu kwatery głównej ONZ. Zmarł w Rio w 2012 r. w wieku 104 lat.

W 1987 r. zabudowa Brasílii została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Rok później Niemeyer otrzymał architektonicznego Nobla – Nagrodę Pritzkera. A to tylko jedna z wielu jego nagród.

Idę w cieniu drzew zasadzonych pod jednym z ministerstw, żeby nie spaliło mnie słońce. Palmy efektownie odcinają się kolorem i kształtem na szklanej tafli resortowych budynków.

Wiadukty przecinają kolejne wiadukty, po których mkną samochody. Szerokie, wygodne arterie, wiatr (z klimatyzatora samochodowego) we włosach.

Przechodnie prawie biegiem przedostają się na drugi brzeg pięciopasmowej autostrady w środku miasta. Z daleka wyglądają jak mrówki. Na kilku kilometrach chodnika spotykam łącznie może pięć osób, szaleńców, którzy jak ja postanowili zrobić sobie spacer po mieście zaprojektowanym dla samochodów.

Nie docieram do miejsca, które wskazały mi cyklistki. Kupuję kanapkę na dworcu autobusowym, a porażkę w dotarciu do celu wynagradza mi świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i znakomita kawa. Posilony postanawiam zawrócić, żeby pokłonić się geniuszowi Niemeyera.

Na betonowym placu przed modernistyczną katedrą smaży już poważnie. Chowam się w cieniu, który rzuca posąg św. Łukasza albo Mateusza, w każdym razie jednego z ewangelistów. Na tej istnej patelni kwitnie biznes. Na

FOT. ALEKSANDER GURGUL/GAZETA WYBORCZA

• **Amazonia. Domy na palach na wyspie Combu, w delcie rzeki Guamá, w pobliżu miasta Belém. Combu słynie z plantacji kakao, açaí, ekoturystyki i restauracji**

straganach kupić można zimną wodę. Gdybym się modlił, to poprosiłbym, żeby wiatr przygnał chmury. Niebo jest jednak nieskazitelnie błękitne i takie zostanie do końca dnia.

Po chwili znów dochodzę do szeregu ministerialnych budynków (po drugiej stronie głównej arterii). Z drzew rosnących obok dobiega mnie skrzek, a może to śmiech? Czy to Niemeyer się ze mnie śmieje?

Kto to widział, żeby po mieście się szwendać, odpychając chodnik tenisówkami.

Coś wzbija się w powietrze. To jednak tylko papugi.

Przy każdym rządowym gmachem jest olbrzymi parking, aby armia urzędników miała jak dotrzeć do pracy. Mimo że są tu przystanki autobusowe, przez pół dnia spotkałem może jedną osobę, która by wsiadała albo wysiadała. Autobusy jeżdżą prawie puste.

Jeszcze raz sobie przypominam: tania benzyna.

Dziesiątki klimatyzatorów na ścianie jednego z resortowych budynków przypominają z kolei, że w coraz gorętszym świecie będziemy musieli się jakoś ratować – także w pracy. Pół biedy, jeśli prąd do nich popłynie z odnawialnych źródeł, ale jeśli te wiszące na ścianach chłodziarki zasilimy prądem z paliw kopalnych, to tylko dołożymy się do globalnego ocieplenia.

Na szczytach klimatycznych ONZ od kilku lat alarmuje: musimy zmienić sposób korzystania z klimatyzacji i przeprojektować nasze domy oraz całe miasta, sadzić więcej zieleni, naturalnie chłodzić otoczenie, wykorzystując np. wodę. Być może w przyszłości, w przyszłości w bardziej zrównoważonym korzystaniu z klimatyzacji, pomoże sztuczna inteligencja. Jak na razie w kilku metropoliach pomagają w tym już urzędnicy, których nazywa się oficerami ds. upałów.

– Ale mają robotę... – Z politowaniem patrzę na mundurowych, którzy na plastikowych krzesłach siedzą w cieniu pod Kongresem.

Każdy ratuje się, jak może – parkingowemu, który pracuje kilkaset metrów dalej rozłożyli połatany namiot, żeby nie siedział na skwarze.

Miasto upstrzone jest stalowymi barierkami. Ciekawe, co by powiedział twórca Brasilii, gdyby zobaczył te wszystkie współczesne dodatki, narośla zaburzające czystość jego genialnej artystycznej wizji? – zastanawiam się, idąc przez wielki plac za Kongresem, który jest istną patelnią.

Skręcam w stronę parku i dochodzę wreszcie do Centrum Kultury im. Oscara Niemeyera. W porównaniu z innymi państwowymi gmachami jest skromny, niewyeksponowany, wręcz ukryty w parku. Genialny architekt sam go zaprojektował. Siadam na ławce w cieniu drzew. Jest znacznie przyjemniej, brzęczą owady. W zagajniku za moimi plecami ktoś gra na gitarze (wreszcie jacyś ludzie!).

Prezydent Lula chciał, żeby świat zobaczył brazylijską biedę. Żeby syty Zachód odczuł, co to znaczy mieszkać na Globalnym Południu

Sprytnie, pan, żeś to sobie wymyślił, panie Niemeyer – myślę.

Pokolenie Rio92? „Nie słyszałem"

Na kilka tygodni przed moim lądowaniem w Rio de Janeiro doszło do mrożących scen. W regularnej ulicznej bitwie zginęło ponad 130 osób, głównie członków gangów.

Swego czasu rozmawiałem z Drauzio Varellą, słynnym brazylijskim lekarzem i celebrytą, który pracował w najmroczniejszym zakładzie karnym w tym kraju – Carandiru, gdzie doszło do wielkiego starcia więźniów z klawiszami w 1992 r.

– Nie jestem sędzią, tylko lekarzem. W prywatnej praktyce nigdy nie pytam pacjentów, jak zarabiają na życie, a domyślam się, że nie wszyscy robią to uczciwie. Niektórzy z moich pacjentów to złodzieje w białych kołnierzykach. Dorobili się na giełdowych spekulacjach. Ale przecież nie będę ich o to pytał, bo nie na tym polega zadanie lekarza. W Carandiru też nie pytałem nikogo o przestępstwa. Poza tym w więzieniu nigdy nie ma się pewności, co jest prawdą, a co łgarstwem. Więzienie jest milczeniem – mówił mi Varella.

Od tamtej rozmowy Brazylia była dla mnie także polem starć gangów i karteli narkotykowych, z czym kraj ten boryka się do dziś, a kraty w oknach, druty pod napięciem w rejonie pięknej plaży Ipanemy tylko to potwierdzają.

I są kolejnym dowodem na to, że Brazylia to kraj kontrastów i skrajności. Bo te miejskie zasieki sąsiadują z przepysznymi apartamentami wartymi dziesiątki milionów dolarów. Wzdłuż plaży maszerują umięśnieni Brazylijczycy i Brazylijki, połyskując od olejków do opalania. Przygląda się im... marszałek Józef Piłsudski, którego popiersie stoi przy promenadzie.

Kiedy Polonia postawiła pomnik nobliwego pana z gęstym wąsem przy Ipanemie w 1967 r., w atmosferze wirowało około 322 cząstek dwutlenku węgla na milion (ppm). To bodaj najważniejsza miara globalnego ocieplenia, dla której dane zbierane są m.in. na świętej dla klimatologów górze Mauna Loa na Hawajach od końca lat 50. XX wieku.

Gdy spojrzeć na ruch ochrony klimatu, Rio de Janeiro było areną jednego z najważniejszych wydarzeń w jego historii – Szczytu Ziemi w 1992 r. To wtedy zapadły decyzje, w następstwie których powstała ramowa konwencja Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu (UNFCCC). Dziś w ramach ONZ odpowiada za szczyty klimatyczne i prace nad multilateralnym konsensusem, który doprowadził m.in. do podpisania porozumienia paryskiego w 2015 r. – najistotniejszego jak dotąd paktu klimatycznego.

Do Rio zjechali się wówczas światowi przywódcy, w tym prezydent George H.W. Bush, który wypowiedział słynne słowa: „Amerykański styl życia nie podlega negocjacjom. Kropka". Do dziś pozostają one symbolem amerykańskiego konsumpcjonizmu (z przerwą na Baracka Obamę, który zgodził się na porozumienie w Paryżu).

Tylko czy dziś Amerykanie prowadzą amerykański styl życia? – zastanawiałem się, penetrując Rio w poszukiwaniu namacalnego pomnika tamtych wydarzeń.

W 1992 r. poziom ppm w atmosferze osiągnął około 356 cząstek CO_2.

Kiedy włóczyłem się po Rio po szczycie klimatycznym, było to już około 427 ppm.

W recepcji Muzeum Sztuki Współczesnej w Niterói (po drugiej stronie Zatoki Guanabara), którego gmach wygląda, jakby UFO postanowiło wylądować na tropikalnej plaży, krótko rozmawiam z Marią. Przyznaje, że nigdy nie słyszała o tym, by miasto w jakikolwiek sposób upamiętniło wydarzenia z 1992 r.

Zagaduję Renatę, koleżankę dziennikarkę, która mieszka i pracuje na uczelni w Rio. Ona też niczego podobnego nie kojarzy. Rio to karnawał, samba, plażowe życie i zabawa. Kto by się tam przejmował historią zmagań o ochronę klimatu?

Pytam wreszcie w magistracie w Rio.

„W mieście nie ma oficjalnego pomnika upamiętniającego Szczyt Ziemi z 1992 r. Jednak miejsce, w którym się odbył – Riocentro w Barra da Tijuca – nadal funkcjonuje jako centrum konferencyjno-wystawiennicze otwarte dla zwiedzających" – odpisują mi po kilku dniach. I dodają, że burmistrz Rio często wspominał tamte wydarzenia w swoich wystąpieniach przed COP30.

Wreszcie w internecie sam znajduję zaprojektowany przez rzeźbiarza Sirona Franco „Pomnik pokoju" w kształcie klepsydry, do którego wsypano wówczas ziemię z 42 państw, by potem w kolejnych latach dosypywać z kolejnych (dokopuję się do ostatnich danych z 2000 r., które mówią o blisko 150 państwach). Pomnik symbolizować ma jedność ludzkości i globalną współpracę niezbędną do osiągnięcia trwałego pokoju.

Stoi w sąsiedztwie... lotniska Santos Dumont, w samym centrum miasta, gdzie oglądam zaparkowane prywatne odrzutowce.

Wreszcie trafiam pod bodaj najważniejszy pomnik w Rio – Chrystusa Odkupiciela. Zaglądam do kafeterii, która znajduje się prawie pod jego stopami, a tam burgery i wódka oraz cachaça na kieliszki. Część ze zwiedzających pod Chrystusa podjeżdża ruchomymi schodami. Niektórzy kładą się na podłodze tarasu przed świętą figurą, żeby nagrać rolkę na TikToka. Trzeba bardzo uważać, żeby nie zdeptać komuś głowy. Powietrze co kilka minut rozrywa dźwięk nadlatującego helikoptera z turystami, którzy woleli zapłacić więcej i na tłum pod Chrystusem spojrzeć z powietrza.

Uciekłem.

„W encyklice Ojciec Święty wyraża zaniepokojenie Kościoła konsumpcjonizmem i nieodpowiedzialnym rozwojem, apelując o walkę z degradacją środowiska i zmianami klimatu. Jednocześnie »Laudato si'« to pierwsze słowa Pieśni Stworzeń św. Franciszka z Asyżu" – czytam na stronie sanktuarium.

Krzątam się po kaplicy, ale nie znajduję niczego na temat Szczytu Ziemi w Rio w 1992 r. I wtedy przypominam sobie, że żaden papież nigdy nie pojechał na szczyt klimatyczny, poczynając od Jana Pawła II, na Leonie XIV kończąc. ●

eprasa.pl 74c5a22a0e

KULTURA OBYCZAJE

Jasio lubi te swoje tytuły

Jan Eugeniusz Lubomirski-Lanckoroński nie wymaga, by nazywać go księciem. Ale na samochodzie ma rejestrację: „XJL”.

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

Piotr Głuchowski
Zdjęcie: **Mateusz Skwarczek / Agencja Wyborcza.pl**

Pięć lat temu magazyn „Forbes" wycenił go na ponad 400 milionów złotych. Książę twierdzi, że teraz jest więcej, ale część jego znajomych uważa, że jest mniej (później to wyjaśnię). Ma prawie dwa metry wzrostu, świetną pamięć i rudy zarost, co u Lubomirskich zdarza się według niego w co drugim pokoleniu. Mówi biegle pięcioma językami, nosi modne okulary, jeździ Rolls-Royce'em, konno i na nartach. Spokrewniony z polskimi Piastami, hiszpańskimi Burbonami, austriackimi Habsburgami i rosyjskimi hrabiami Tołstoj. Zna się osobiście z królem Anglii Karolem, który zaprosił go na imprezę po koronacji. Gość z Polski podarował monarsze oprawioną w skórę, przetłumaczoną na angielski „Trylogię".

Chwali się, że w ciągu ostatnich dwóch dekad zgromadził około 20 tysięcy dzieł sztuki („to chyba największa prywatna kolekcja w Polsce"). Mieszka trochę w warszawskim Palazzo Murano, którego nazwę „sprywatyzował" (o czym także dalej), a trochę w poniemieckim zamku w Lubniewicach w województwie lubuskim. Nie gardzi kebabem („choć najlepsze w świecie były zapiekanki ze słodką papryką, które kiedyś sprzedawano przy Siennej w Krakowie") i nie oczekuje, by go nazywać księciem. Zarówno w kierowanej przez siebie Fundacji Książąt Lubomirskich, jak i w swej zrzeszającej kilkanaście spółek Grupie Landeskrone (ekskluzywne nieruchomości) tytułują go po prostu „panem prezesem".

Pamiętam ostatnich esbeków

Urodził się w 1978 roku w Krakowie jako potomek Lubomirskich herbu Szreniawa bez krzyża, o którym to herbie pisał już Jan Długosz. Jego najstarszym zidentyfikowanym przodkiem – jak twierdzi – jest urodzony w 1160 roku Idzi.

– Poczynając od niego, jestem w stanie wyliczyć wszystkich antenatów po mieczu.

Nazwisko Lanckoroński przyjął, gdy miał 17 lat, po ciotce Karolinie, którą nazywa Karlą – wykładowczyni historii sztuki we Lwowie, żołnierce AK i więźniarce Ravensbrücku, po II wojnie światowej liderce antykomunistycznej Polonii w Rzymie.

– Rodzice mieli sraczkowatego Fiata 125 i o ile tylko komuna zgadzała się wypożyczyć paszporty, wozili mnie do Włoch, a po drodze do Austrii do jeszcze innej cioci – Doroty. To był surrealizm. Lata 80., w Polsce bieda i szarość, a ciotka nie dość, że mieszka w zamku, to jeszcze mi na stacji benzynowej kupuje resoraka...

– Czyli malutki, ale wierny model samochodu.

– I to policyjnego! Potem odwiedziliśmy zamek kolejnej cioci, baronowej, i dostałem czerwoną straż pożarną. Austria była za młodu ważną częścią mojego życia, a niemiecki – drugim naturalnym językiem. Zamki krewnych, z którymi Lubomirscy koligacili się w czasach galicyjskich: Idolsberg, dalej Schloss Gatterburg w Retzu, gdzie kręcono „Trzech muszkieterów" i gdzie mieszkała wspomniana baronowa von Suttner Gatterbug... Tam mnie uczono etykiety, wie pan – łokcie razem. Ale uczyłem się także podawania do stołu.

Ciocia Karla nie miała dzieci ani żadnych krewnych, jedynie nas w Polsce – mojego ojca, mamę, stryja i mnie. Gdy wszystko było na kartki, a bieda aż piszczała, przysyłała co miesiąc paczki żywnościowe z czekoladą i kawą plus kilkadziesiąt dolarów. Chciała, by nazwisko Lanckorońskich przetrwało. Sama poprosiła, bym je przyjął.

– Trzydzieści dolarów to była wówczas dobra pensja. A w tej polskiej piszczącej biedzie pański tata miał pięć kamienic w centrum Krakowa. Macie je zresztą nadal.

– Jedna zdążyła się za komuny obrócić w kompletną ruinę. Ale fakt: komuniści formalnie ich nie odebrali, tylko zasiedlili lokatorami z kwaterunku. W naszym dwustumetrowym mieszkaniu obwieszonym portretami przodków umieścili po wojnie dwudziestoosobową drużynę żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wstawili do pokojów trzypiętrowe prycze. Ci kabewiacy mieli pilnować Lubomirskich jako elementu niepewnego, antypaństwowego. Oczywiście wszyscy korzystali z tej samej kuchni i łazienki co moja rodzina: kilka ciotek staruszek; dziadek, którego brat Eugeniusz był adiutantem generała Andersa i wieszał polską flagę na zdobytym Monte Cassino; dalej mój ojciec Stanisław, który miał po wojnie 15 lat, i jego młodszy brat...

Spało się za szafami, którymi dzielono pokoje. Za jedną wiejska dziewczyna pomagająca dziadkom sprzątać i gotować, za inną jakiś arystokrata. W naszych kamienicach mieszkały rodziny Czartoryskich, Zamoyskich, Sobańskich, Szembeków...

Dokwaterowano nam również oficera NKWD nazwiskiem Baranow, który był mordercą. Wychodził na ulicę i strzelał do ludzi, a potem ich okradał i przynosił te fanty do nas do mieszkania. Nocą przyłaził pijany do łóżka mojego dziadka, klękał przed nim i się spowiadał. W końcu przyjechała jego macierzysta firma i go aresztowali. To wszystko wiem z opowieści, ale ostatnich kwaterujących u nas esbeków pamiętam osobiście. Do końca pisali raporty o naszym zachowaniu. Notowali: kto wychodzi i o której wraca? Po roku 1989 nie zechcieli się zresztą wynieść. Tata musiał iść z jednym do sądu.

Syn pierwszego ślusarza Huty imienia Lenina

– Miał pan od dziecka uczucie, że jest wyjątkowy?

– Moi koledzy mieli w blokach nowe meble i kolorowe telewizory, a u nas były meble stare, skrzypiąca podłoga, telewizor jedynie czarno-biały, w dodatku rodzice nie chcieli kupić wideo. Natomiast fakt, że mam tytuł książęcy, robił spore wrażenie na dziewczynach. W liceum zacząłem nosić krawat. Oczywiście, że miałem świadomość bycia nieco innym. Co nie oznacza: lepszym.

– Rodzice jacy byli – surowi, tolerancyjni?

– Mama, polonistka, trzymała wodze zdecydowaną ręką. Tata, starszy od niej o 15 lat, był bardziej spolegliwy. Pozwalał mi na więcej, jeździliśmy razem na nartach i na gokartach...

– Konno?

– Nauczyłem się siodła dzięki dalszej rodzinie, która miała stadninę na Woli Justowskiej. To dawny majątek Lubomirskich a teraz dzielnica Krakowa. Oczywiście była to stadnina skromna, nie do porównania z przedwojennymi stajniami księcia Władysława Lubomirskiego, którego araby wygrywały gonitwy od Petersburga, przez Baden-Baden, aż po derby w Anglii... Mój tata na koniu nie jeździł jako jeden z nielicznych w rodzie. Wojna wybuchła, gdy miał dziewięć lat, i jakoś go ominęło. Potem komuna uniemożliwiła mu wymarzone studia prawnicze. Sześć razy odrzucano jego podania o możliwość podjęcia nauki na jakimkolwiek kierunku humanistycznym – choćby filologii radzieckiej. Po długich perypetiach kancelaria prezydenta Bolesława Bieruta, do której napisał, dała zgodę, żeby studiował metalurgię na Akademii Górniczo-Hutniczej. Chodziło o to, by się „zresocjalizował", pracując w Nowej Hucie. I rzeczywiście jakiś czas pracował, miał nawet wizytówkę: „Stanisław książę Lubomirski, pierwszy ślusarz sieci cieplnych Huty imienia Lenina". Za komuny ratował nas czarny humor.

– Maturę zrobił pan w krakowskiej „dwójce", gdzie uczyli się wcześniej dziadek, ojciec i jego brat.

– Świetna szkoła, chociaż niestety imienia Jana III Sobieskiego.

– Czemu „niestety"?

– Król Jan III był wychowankiem mojego przodka hetmana polnego koronnego Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, który uratował mu życie w bitwie pod Beresteczkiem. Potem niewdzięczny Sobieski podebrał Jerzemu Sebastianowi buławę hetmańską, tytuł marszałka wielkiego koronnego, podobno też i Marysieńkę. Ojciec zaczął mnie wcześnie wprowadzać w kwestie ginekologii, przepraszam, genealogii.

Ten ostatni, najwyraźniej ulubiony, żart książę powtórzy w trakcie rozmowy jeszcze dwa razy. A genealogia jest taka: dziedziczny tytuł książąt Świętego Cesarstwa Rzymskiego (czyli I Rzeszy) Lubomirscy w osobie wojewody krakowskiego i ruskiego Stanisława otrzymali w 1647 roku z rąk cesarza Ferdynanda III Habsburga. Choć prawo Rzeczpospolitej zakazywało tego typu godności (szlachta miała być równa), Sejm zatwierdził nadanie ze względu na wojenne zasługi rodu, głównie kluczową rolę owego Stanisława w bitwie pod Chocimiem. Potem mamy długi ciąg Lubomirskich – posiadaczy prawie miliona (!) hektarów w Małopolsce i po obu brzegach Dniepru – marszałków, hetmanów, posłów, ambasadorów, przemysłowców, literatów... Książęcy potomkowie mieszkają dziś na sześciu kontynentach, w tym jeden w Honolulu.

W XX wieku najwyższą godność państwową sprawował Zdzisław Lubomirski, członek trzyosobowej Rady Regencyjnej, która 7 października 1918 – na miesiąc przed powrotem Józefa Piłsudskiego z Magdeburga – proklamowała (bez zgody Cesarstwa Niemieckiego) niepodległość II Rzeczpospolitej.

– Po zastrzeleniu Gabriela Narutowicza w 1922 roku książę regent był nawet proszony przez tak zwanych umiarkowanych o kandydowanie na urząd prezydenta, lecz nie wyraził zgody – mówi mi profesor Andrzej Chwalba, historyk i wykładowca, współautor autor książki „Cham i pan".

– Ojciec księcia regenta Zdzisława był bratem mojego prapradziadka Eugeniusza, po którym mam drugie imię – kontynuuje prezes Grupy Landeskrone (dalej GL). – Natomiast sam książę regent został zakładnikiem Niemców, gdy Hitler przyjechał do Warszawy odbierać defiladę jesienią 1939. Gdyby coś mu się stało, zakładnicy byliby natychmiast rozstrzelani... W końcu i tak go zamęczyło gestapo w 1943 roku.

W trakcie rozmowy książę Jan (siódmy tego imienia w rodzie Lubomirskich) co rusz wplata tego typu historie, z których pączkują następne opowieści o przodkach, koligacjach, dawnych bitwach, zdobytych i straconych majątkach...

– Mam na przykład silne emocje związane z Potockimi, ponieważ moja sześć razy prababka Elżbieta Lubomirska miała cztery córki, z czego za Potockich wyda-

Choć jest w kraju około stu osób mających tytuły książęce, to polskim księciem, o ile mi wiadomo, jestem tylko ja

◀ **Zdjęcia zrobiono w biurowcu Palazzo Murano, siedzibie Fundacji Książąt Lubomirskich w Warszawie**

ła trzy. W ten sposób Lubomirscy stracili między innymi pałace w Łańcucie i Wilanowie. Bo poszły jako wiano.

Polska nie jest gotowa na takie zachowania

– Stare rodziny Rzeczpospolitej dzieliły się na ruskie – broń Boże nie rosyjskie, dalej litewskie i polskie – kontynuuje Jan Eugeniusz. – Radziwiłłowie, Sanguszkowie, Sapiehowie i Czartoryscy to rody książęce z Litwy. Puzynowie i Czetwertyńscy – z Rusi. Jest dziś w kraju około stu osób mających prawo do tytułów książęcych, lecz czysto polskim księciem – jako że gniazdem Lubomirskich był małopolski Lubomierz – jestem tylko ja.

– To prawda? – pytam Karola Radziwiłła, rezydującego w Hiszpanii 56-letniego prawnika, który zna się z prezesem GL od przeszło 30 lat.

– Owszem. Trzy rodziny z dawnej Rzeczpospolitej mają tytuł książęcy dziedziczny: Lubomirscy, Sapiehowie i my.

Ta dziedziczność jest ważna, bo na przykład Mick Jagger, były Rolling Stone, ma brytyjski tytuł rycerski, lecz jego dzieci – nie.

Karol Radziwiłł dalej: – Wszyscy jesteśmy książętami, tylko nie wszyscy mówimy o tym tak głośno jak Jasio, którego samochód ma rejestrację „XJL".

Kiedyś słowo „książę" pisało się przez „x". A pomysł z autorską rejestracją wywodzi się z czasów, gdy arystokrata nie miał jeszcze Rolls-Royce'a i mieszkał w Poznaniu, a jego auto zdobiły blachy: „PO XIAZE".

– Trochę się z Jasia znajomi podśmiechują, że tak tą swoją błękitną krwią emanuje – mówi dalej mecenas Radziwiłł. – Niech pan jednak zaznaczy, że to dobry człowiek. Przyzwoity, tak samo jak jego tata, którego również poznałem.

– I jakie zrobił na panu wrażenie były ślusarz z Huty Lenina?

– Znam całą jego historię, zupełnie zresztą typową, jeżeli chodzi o losy polskiej arystokracji za komuny. Mój ojciec siedział w wieku dziesięciu lat w obozie koncentracyjnym w sowieckim Krasnogorsku razem z całą rodziną i jeszcze z Branickimi. A Lubomirski senior – cóż... teraz to starszy, nobliwy pan na pewno dumny z Jasia.

– Gdy mówi pan o księciu „Jaś", czuję lekką kpinę.

eprasa.pl 74c5a22a0e

– Bo ja się nie przedstawiam nigdzie jako „książę Karol”, nie jest mi to do niczego potrzebne. A Jasio lubi swoje tytuły i to jego problem. Moim zdaniem Polska nie jest gotowa na takie zachowania. Te czerwone sztandary Lubomirskich rozwieszone przed zamkiem w Lubniewicach, te herby na naczyniach stołowych w jego warszawskim pałacu... Ja tego nie potrzebuję, on widocznie tak. Lecz skoro ma pieniądze, a przecież ich nie ukradł, niech robi z nimi, co chce. Wiem, że udziela się charytatywnie...

Fundacja Lubomirskich rzeczywiście pomaga tu i ówdzie, ale w zaskakująco małej skali. Współfinansowała zakup karetki dla szpitala w Bochni, wsparła niewielką sumą klub sportowy Szreniawa w nieodległym Nowym Wiśniczu, przekazała pieniądze lecznicy dziecięcej na Woli Justowskiej (wszystkie te miejscowości należały kiedyś do rodziny), podarowała trzy książki o historii rodu warszawskiej podstawówce i kupiła 16 krzeseł domowi dziecka w Białymstoku.

– Natomiast gdy mój doktorant pisał książkę o księciu Andrzeju Lubomirskim, zmarłym po wojnie w Brazylii ostatnim ordynacie podkarpackiego Przeworska i wielkim przemysłowcu, fundacja księcia Jana nie dała żadnego wsparcia, chociaż prosiliśmy – mówi mi dalej profesor Andrzej Chwalba. – Ograniczyli się do zakupu dziesięciu egzemplarzy. To mnie zirytowało.

– A irytuje pana profesora sama postać księcia?

– Staram się patrzeć szerzej. W latach 90. Polacy przeżyli okres fascynacji starymi rodami, herbami i szlachetczyzną. Rosła sprzedaż pierścieni, często podrabianych; sprzedawano wielkie nakłady książek o życiu we dworze; wyszukiwano sobie przodków, na czym wyrósł nie do końca poważny przemysł heraldyczny... To się ostatnio zmieniło wraz z tak zwanym zwrotem ludowym. Teraz jesteśmy dumni raczej z tego, że nasi przodkowie byli zwykłymi chłopami, którzy, nie mając takich możliwości jak arystokracja, jednak się wydźwignęli. Dzięki własnym przymiotom i pracy, a nie urodzeniu.

Nasze srebra Hitler podarował Ewie Braun

– Mam świadomość, jak dzisiaj odbiera się stare rody – kontynuuje książę Jan. – Nie oszukujmy się: nienajlepiej. Dużo się pisze o pańszczyźnie, niewoli polskiego chłopa i tak dalej. Przecież w całej Europie tak było! Gdy czytam tu i ówdzie, że dawni właściciele majątków winni płacić za „stulecia pańszczyzny”, to się pytam: z czego? Reforma rolna wszystko nam zabrała! A wcześniej Niemcy. Nasze srebra – zastawę na 120 osób z grawerowanymi herbami – Hitler podarował Ewie Braun.

Tak naprawdę to nie wiadomo, czy Hitler i czy koniecznie Ewie. Całą tę historię, włącznie z opowieścią o swastykach wygrawerowanych na sztućcach obok herbu Szreniawa, rozpropagował Bogusław Wołoszański, tropiciel historycznych sensacji, obecnie poseł rządzącej Koalicji.

Jan Eugeniusz dalej: – Majątek, który mi się należał po antenatach, oszacowałbym na jakieś 2,5 miliarda złotych. Tylko dwa płótna Rembrandta, które ciocia Karla podarowała państwu polskiemu i które dzisiaj wiszą na Zamku Królewskim, to jakieś 150 milionów. W Warszawie moja rodzina miała osiem pałaców. A zamek w Baranowie, tak zwany mały Wawel, którego kształt zawdzięczamy Józefowi Karolowi Lubomirskiemu? A zespół pałacowy w Przeworsku? A letni pałac w Rzeszowie i sam Rzeszów, który był – podobnie jak Przeworsk i Tarnów – prywatnym miastem mego rodu? A pałac w Lublinie? Do tego lasy... Wie pan, że w takich Czechach i na Węgrzech przeprowadzono pełną reprywatyzację? Rodziny odzyskały i grunty, i zamki. A ja, w odróżnieniu od bohatera serialu „1670”, nie zdołałem niczego „ciężko odziedziczyć”.

– Nieprawda, coś pan jednak odzyskał i nadal odzyskuje. Pałac w Kruszynie na Śląsku...

FOT. ARCHIWUM JANA LUBOMIRSKIEGO-LANCKOROŃSKIEGO

• **Jan Eugeniusz ze swoją drugą żoną Heleną Marią Gabrielą z Mańkowskich Lubomirską-Lanckorońską**

Gdy czytam tu i ówdzie, że dawni właściciele majątków winni płacić za „stulecia pańszczyzny”, to się pytam: z czego? Reforma rolna wszystko nam zabrała! A wcześniej Niemcy

– Mój ojciec tam się urodził. I go faktycznie odkupił za symboliczną złotówkę w stanie totalnej ruiny. Nie było nawet dachu, wszystko rozkradzione. Teraz remontujemy.

– Zamek w małopolskim Wiśniczu.

– W ramach reformy rolnej nacjonalizowano majątki powyżej 50 hektarów. A to jest nieruchomość na tylko 30. Próbowano ją więc nacjonalizować na dziko i od 1987 roku procesujemy się z państwem polskim, które utrzymywało, jakoby zamek był „mieniem porzuconym”, a nawet „poniemieckim”.

– Kolejny zamek w Lubniewicach, który – upraszczając – dostał pan od byłego teścia, nieżyjącego już Jana Kulczyka. Dziesięć hektarów posiadłości z dostępem do jeziora i własną plażą. Ponad 100 komnat.

– Ściśle: 100 pomieszczeń. To był początkowo gorący kartofel. Nikt go właściwie nie chciał. W piwnicach stała woda na pół metra, mury przegniłe do pierwszego piętra. Dziesięć tysięcy metrów kwadratowych koszmaru. Włożyłem ponad 7 milionów złotych. W czasie pandemii COVID-19 przemieszkaliśmy tam osiem miesięcy. Rodzice uwielbiają to miejsce. Mamy salę balową, bilardowo-myśliwską, salon muzyczny, małą i wielką jadalnię, gabinet/biuro, salon królewski, gdzie wisi poczet władców Polski i stoi tron księcia regenta Zdzisława, niestety niewygodny. Ale tata mówi, że czuje się tam „jak przed wojną”, co jest w jego ustach największą pochwałą. Jeździmy sobie po lesie, w jeziorze pływają sandacze... Ja również uważam, że to moje miejsce. Lubomirscy w Lubniewicach w Lubuskiem nad jeziorem Lubiąż w zamku na planie litery L.

– Tych pańskich miejsc jest więcej. Słyszałem o kilku apartamentach w stolicy, rezydencji w Londynie i willi w okolicach Monako. Gdzie pan właściwie mieszka?

– Głównie w Warszawie. Mam na Muranowie spory dom, który służy mi także do pracy i oficjalnych spotkań. To był kiedyś budynek poczty. A jeszcze wcześniej mieszkał w tym miejscu włoski architekt naszej rodziny nazwiskiem Belotti, który pochodził z wyspy Murano, stąd dzisiaj nazwa Muranów i nazwa mojej rezydencji: Palazzo Murano.

– Jaką ma powierzchnię?

– Trochę powyżej 3 tysięcy metrów.

Według księcia także nazwę Mokotów zawdzięczamy rodzinie Lubomirskich, ponieważ księżna marszałkowa koronna Izabela z Czartoryskich Lubomirska, jedna z najbogatszych i najbardziej wpływowych kobiet Oświecenia, miała tam posiadłość pałacową o nazwie Mon Coteau (Moje Wzgórze). To historia podobna do poprzedniej z Hitlerem. Faktycznie nazwa Mokotów pochodzi od pruskiego osadnika o imieniu Mokot i była znana już w XIV wieku.

Moja obecna i była żona są przyjaciółkami

W roku 2002 Jan Eugeniusz ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim.

– Po magisterce pojechałem do Londynu poduczyć się ekonomii na London School of Economics and Political Science. Studiowałem z następcą tronu Norwegii. Popołudniami dorabiałem w City w kancelarii z widokiem na budowany właśnie „Ogórek” projektu Normana Fostera. Po powrocie do Polski zrobiłem aplikację radcowską w Poznaniu, w kancelarii przy Starym Rynku. I kurs maklera giełdowego, którym nie zostałem, bo rzuciłem się w wir przedsiębiorczości. Założyliśmy z przyjacielem mój pierwszy w życiu biznes, czyli Sandwich Express. Przy ulicy Półwiejskiej robiliśmy zapiekanki, sprzedawaliśmy rogale marcińskie, obsługiwaliśmy kuchnie szkolne i woziliśmy kanapki na staje benzynowe.

– Pan woził osobiście?

– Nasz kierowca, z zawodu taksówkarz, woził Żukiem. Czasem dzwonił o piątej rano, że nie może odpalić... Pracowaliśmy ciężko, ale byliśmy młodzi, silni, zmotywowani... szybko otworzyliśmy bar, dwie kawiarnie... w końcu to sprzedaliśmy. Mając pierwsze pieniądze, zacząłem grać na giełdzie. W latach 2006-2008 trudno wręcz było nie zarobić. Wzbogaciłem się na PGNiG, dobry zysk dawał także KGHM. Ostatecznie porzuciłem handel walorami na rzecz nieruchomości. One po 2008 roku okresowo staniały z powodu ówczesnego kryzysu finansowego. Przenieśliśmy się z Poznania do Warszawy.

– Był pan już wtedy mężem Dominiki Kulczyk, a te kawiarnie miał pan w należącym do teściowej, czyli Grażyny Kulczyk, Starym Browarze. Z jej córką poznaliście się podczas balu charytatywnego. Media plotkarskie pisały, że to Jan Kulczyk, ówcześnie najbogatszy Polak, zaaranżował wasz związek, by złączyć nowe pieniądze ze starym rodem i herbem.

– To nie do końca prawda.

Coś jest jednak na rzeczy. W wywiadzie, którego Dominika Kulczyk udzieliła już po rozwodzie magazynowi „Twój Styl”, czytam: „Tata chciał nas ze sobą poznać, lecz ja byłam sceptyczna. Stworzyłam sobie w głowie stereotypowy obraz księcia: egocentryk, dziwak, odrealniony. Ja, kapitalistka, kupiłam komunistyczną propagandę o rozkapryszonej arystokracji. Jaś był jednak uparty i zdecydowany, na trzeciej randce powiedział niby żartem, że będę jego żoną. Okazało się, że jest wręcz zaprzeczeniem cech, które mu przypisałam. To mężczyzna romantyk w starym stylu”.

Od tego momentu życie księcia toczyło się już na bogato. Ślub cywilny wzięli z Dominiką na pokładzie samolotu do Wenecji, udzielił go osobiście prezydent Poznania Ryszard Grobelny. We Włoszech odbyła się ceremonia kościelna, którą prowadził oskarżany później o molestowanie kleryków arcybiskup metropolita poznański Juliusz Paetz. Dominika Kulczyk wyjaśniła w wywiadzie, dlaczego nie pobrali się w Polsce: „Mieliśmy ślubować w rodzinnym zamku w Wiśniczu, ale zdarzyła się powódź i w okolicach mnóstwo ludzi straciło dach nad głową. Uznaliśmy, że w takiej sytuacji bal i świętowanie będą niestosowne”.

– Jak książę wspomina związek z panią Dominiką?

– Poza tym, że lataliśmy po świecie na różne wspaniałe wakacje, to byliśmy oboje nieźle zagonieni. Ona miała swoje projekty, ja – działania w nieruchomościach. Teść, dopóki żył, wiele mnie nauczył. Wychował mnie na przedsiębiorcę. Na tle biznesmenów z tego okresu – a w pierwszej dekadzie wieku poznałem ich sporo – był kimś wyjątkowym. Wielkim fanem opery, erudytą, który non stop czytał... znał fenomenalnych ludzi ze świata nauki i kultury, których zresztą wspierał. Bo jak mówiła ciocia Karla: „Nie jest sztuką dać pieniądze, sztuką jest dać mądrze”.

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

Teść był jednocześnie dyscyplinujący. Kibicował temu, że pracujemy, że mamy swoje firmy. A ja – będąc bardzo młody – też chciałem przed nim błysnąć. Pokazać, że potrafię. Jemu i swoim przodkom w niebie – hetmanom, poetom, patriotom... Choćby księciu Stanisławowi Lubomirskiemu – międzywojennemu prezesowi Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, założycielowi pierwszej polskiej fabryki samolotów Aviata. Jego motto „tworzyć, działać, jednoczyć" jest też moim mottem.

W roku 2004 Dominika Kulczyk-Lubomirska urodziła Jeremiego, po czterech latach – Weronikę. Jesienią 2011 małżonkowie odnowili przysięgę w kościele w Krakowie, dzień później odbyło się zaległe przyjęcie na zamku w Wiśniczu – tańczyło 700 gości.

Dwa lata po tym ona złożyła pozew rozwodowy. Kwestia opieki nad dziećmi i podział majątku zostały spisane na kilkudziesięciu stronicach.

– Dlaczego się rozwiedliście?

– Oboje odkryliśmy nowe kierunki dla siebie. Rozstaliśmy się w zgodzie. Nadal się spotykamy, i to nie tylko ze względu na dzieci, które trochę mieszkają ze mną a Warszawie, a trochę z Dominiką w Londynie. Powiem panu, że miałem szczęście żyć z dwiema bardzo mądrymi kobietami. Aktywnymi, przenikliwymi, partnerskimi. W dodatku moja obecna i była żona są przyjaciółkami. Kiedy się spotykają, lubią mnie obgadywać.

Może to dlatego, że jest jedynakiem?

W sierpniu 2020 małżonką księcia została hrabianka Helena Maria Gabriela Mańkowska.

– Jestem zarazem jej mężem i wujem piątego stopnia. Wywodzimy się z tego samego pnia ginekolo... genealogicznego, mieliśmy nawet wspólny herb. Małżeństwa w naszych rodzinach zdarzały się już wcześniej. Pałac w Nawojowej koło Nowego Sącza, który dzisiaj należy do rodziny Helenki, przez 200 lat był własnością Lubomirskich.

Pradziadek hrabianki, rezydujący w Nawojowej Adam Stadnicki, kupił w 1909 roku również pobliskie uzdrowisko Szczawnica. Komuniści majątek skonfiskowali, reprywatyzacja 30 hektarów i prawie 200 budynków w centrum miasteczka nastąpiła w roku 2005 (jeszcze o tym będzie).

Helena z Mańkowskich Lubomirska-Lanckorońska mówi po polsku z francuskim akcentem, bo urodziła się i wychowała w Paryżu. Skończyła tam szkołę handlową, pracowała w firmie Cartier, w domu handlowym Printemps i w wydawnictwie Hachette. Księcia poznała w trakcie imprezy u kuzyna. Na pierwszą randkę – później – Jan przyjechał landem, czyli czymś między dorożką a karetą. Kiedy ślubowali w krakowskim magistracie, Helena była w ciąży.

– To urocze, że w rodach arystokratycznych też się zdarzają wpadki.

– Nie ma mowy o wpadce. Byliśmy w związku partnerskim, a później postanowiliśmy po prostu dopełnić formalności. Wesele miało być w Nawojowej, ale z powodu pandemii odbyło się u Wierzynka.

Czyli 100 metrów od krakowskich kamienic rodziny. W 1971 roku w tej samej restauracji urządzili wesele rodzice pana młodego.

W październiku 2020 na Instagramie @Princeslubomirskifoundation pojawił się post: „Jej Wysokość Księżniczka Helena Lubomirska-Lanckorońska urodziła córkę. Dziecko waży 2850 gramów. Jego Wysokość Książę Jan był obecny przy porodzie".

Z tymi „wysokościami" to ciekawa sprawa – Jan Eugeniusz wyjaśnił kiedyś dziennikarzowi „Faktu", że jest zwyczajna Jej Wysokość, jest Jej Oświecona Wysokość (przysługuje księżnym) i wreszcie Jej Królewska Wysokość.

Druga córka księcia otrzymała imię Elżbieta

– Stoję z nią niedawno, a przechodzień mówi: „O, jaka mała księżniczka!". Ja na to: „Skąd pan wie?". – Książę głośno się śmieje.

– Jaś taki właśnie jest: ekstrawertyczny, zakręcony na punkcie swojego pochodzenia, głośny, gadatliwy, przerysowany – mówi starszy od księcia kolega z czasów krakowskich, również arystokrata. – Osobiście podchodzę do Jasia z bardzo dużym dystansem... mówiąc eufemistycznie. Obraz, który on wykreował, to wizerunek arystokracji w krzywym zwierciadle. Humorystyczny, żeby nie rzec: karykaturalny. Jakieś teatrum. Gdy się popatrzy na historię Polski do 1945 roku, widać, że stare rodziny raczej tak nie działały. Była prowadzona akcja charytatywna, była praca dla kraju, ale głównie w ciszy. Jasio musi inaczej: dużo opowiada o akcjach dobroczynnych swojej fundacji...

Na przykład o ofiarowaniu na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy grafiki Picassa w pakiecie ze spotkaniem z księciem w murach jego palazzo. Picasso – to brzmi dumnie, ale taka grafika – enta odbitka rysunku – jest warta kilka tysięcy. Co nie przeszkadza licytującym oferować (w chwili, gdy kończę tekst) dziesięć razy tyle.

– Chwała Jasiowi za to, że pomaga ludziom, tylko niech stawia w centrum raczej potrzebujących, a nie własną rodzinę, firmę i swoją osobę. Może to wszystko dlatego, że jest jedynakiem, długo wyczekiwanym przez rodziców ukochanym spadkobiercą herbu...

– Powie pan o nim coś pozytywnego?

– Osobiście przemiły, gościnny, rodzinny, serdeczny i naturalny. Niewiele musiałby zmienić, żeby jego działanie stało się na prawdę wartościowe. Starczyłoby odrzucić niepotrzebny blichtr. Bo za dużo już tych występów w kolorowej prasie. Będziemy musieli – mówię o przyjaciołach Jasia – odbyć z nim na ten temat rozmowę.

> Fakt, że mam tytuł książęcy, robił spore wrażenie na dziewczynach. W liceum zacząłem nosić krawat. Oczywiście, że miałem świadomość bycia nieco innym.
> Co nie oznacza: lepszym

Zrzyty w sprywatyzowanej Szczawnicy

Faktycznie: o ile w trakcie małżeństwa z Dominiką Kulczyk pisano o księciu sporo, o tyle jego związek z Heleną Marią Gabrielą rozgrywa się już non stop w błyskach fleszy. Sieć zalewają sesje fotograficzne w strojach letnich, wieczorowych i do jazdy konnej; relacje z wizyt małżonków na wyścigach Wielkiej Warszawskiej (Jan Eugeniusz w cylindrze), na gali rozdania Wiktorów i Wektorów; dalej zdjęcia z jachtu, z Dubaju, z imprezy koronacyjnej u Karola III... do tego wywiady w formie pisanej, audio oraz wideo.

Dziennikarze nie mają trudnego zadania, bo książę kocha media – tradycyjne i społecznościowe. Zarówno jego fundacyjny Instagram, jak i konto żony (@Hlubomirska) uzupełniane są na bieżąco obrazami zarówno historycznymi, jak i współczesnymi. Wśród tych pierwszych widać czarno-białe zdjęcie Winstona Churchilla, Władysława Andersa i Eugeniusza Lubomirskiego – tego, co wieszał flagę na ruinach klasztoru. Wśród tych drugich przeważają fotosy wierzchowców, górskich kurortów, uścisków rąk z możnymi tego świata... Są też świeże zdjęcia dwójki najstarszych dzieci księcia Jana. Jeremi ma już wzrost ojca, Weronika pozuje w uszytym specjalnie dla niej kapeluszu z pracowni projektanta Rafała Zielińskiego.

Gdy zadzwoniłem do Landeskrone z prośbą o rozmowę, energiczna współpracownica prezesa wyznaczyła mi termin już za 45 minut. Mieliśmy rozmawiać półtorej godziny, przegadaliśmy wieczór. Coś podobnego wydarzyło się też w youtube'owym Kanale Zero, gdzie książę – na własną prośbę – występował przez prawie cztery godziny zamiast planowanych dwóch i pół. Stwierdził między innymi, że byłoby dobrze, gdyby w Polsce – podobnie, jak w Niemczech i paru innych krajach Zachodu – przywrócić oficjalnie tytuły jako część nazwiska. Pochwalił prezydenta Karola Nawrockiego za szacunek dla polskiej przeszłości; określił Partię Razem jako komunistów; zdziwił się, że już nie należy używać słowa „Murzyn", oraz wyraził radość z faktu, iż Polska znów zajmuje w Europie takie miejsce jak w czasach wielkości jego rodu.

Program zakończył się jednak zgrzytem, gdy do studia zadzwonił mężczyzna twierdzący, że jedna z firm księcia zrzeszonych w Grupie zalega mu z zapłatą faktury na 30 tysięcy złotych. Nagle w miłej rozmowie o etykiecie, historii Polski i królewskich koneksjach usłyszałem słowa: „Mój prawnik się tym panem zajmie".

Zgrzyty dochodzą również ze Szczawnicy. Tamtejsze władze oburzyły się na księcia prezesa, kiedy nazwał miejscowość swoim „prywatnym miastem". Rada miejska wysłała w związku z tym do Jana Eugeniusza pismo, w którym informuje, że w Szczawnicy wciąż rządzą „burmistrz i samorząd wybierani w wyborach", a nie arystokraci.

Poważniejszy spór dotyczy będącej własnością Mańkowskich – jako spadkobierców hrabiego Adama Stadnickiego – firmy Uzdrowisko Szczawnica. W połowie stycznia tego roku pracownicy pożalili się „Tygodnikowi Podhalańskiemu", że siedzą w zimnych pomieszczeniach i nie otrzymują pensji na czas: „Kiedy my się zastanawiamy, z czego żyć, Mańkowscy wrzucają do sieci zdjęcia z imprez, wyjazdów i uroczystych gal".

Rzecz jeszcze poważniejszą wyśledził serwis Frontstory.pl.

Hrabia Andrzej Mańkowski – ojciec Heleny oraz teść księcia Jana, a przy tym aktywny mimo osiemdziesięciu lat biznesmen – za pośrednictwem spółek rejestrowanych między innymi na Cyprze zarabia miliony w Rosji, dostarczając „rozwiązania z branży IT" klientom objętym amerykańskimi i europejskimi sankcjami, w tym również resortom siłowym. „Od czasu pełnoskalowej inwazji na Ukrainę Mańkowski otrzymał z Moskwy 50 różnych płatności o łącznej wartości 3 milionów dolarów" – pisze autor serwisu Daniel Flis.

Jednocześnie Mańkowscy zorganizowali w Szczawnicy bezpłatny pobyt dla kilkudziesięciu rodzin z Ukrainy.

Niech się ten człowiek nie kompromituje!

Spośród rozlicznych interesujących się nim na co dzień redakcji (między innymi Plejada.pl, Telemagazyn.pl, Plotek.pl) książę szczególną łaską darzy „Fakt". Zaprosił kamerę dziennika do zamku lubniewickiego, gdzie pokazał: białą karocę i czarne psy myśliwskie; portret ojca w stroju rycerza maltańskiego; puklerz husarza z odważnie zrekonstruowanymi skrzydłami; rząd chorągwi z herbami Lanckorońskich i Lubomirskich; wypchane 100 lat temu głowy dzików i niedźwiedzi smętnie spoglądających na stół bilardowy; wreszcie stojące na honorowym miejscu trzy tomy serii „Lubomirscy. Książęta polscy", którą wydała już wspominana Fundacja.

Dla odmiany kamerze Wirtualnej Polski arystokrata pokazał wnętrza pałacu w Warszawie. Opowiedział o sprowadzonych z Murano włoskich żyrandolach i lustrach – nazwa palazzo wszak zobowiązuje. W tym samym nagraniu wspomniał, jak oświeceniowy poeta Franciszek Karpiński napisał dla Izabeli Lubomirskiej, u której był guwernerem, kolędę „Bóg się rodzi".

– To jest prywatny utwór naszej rodziny.

– Takie stawianie sprawy nie może się w Polsce podobać – mówi mi Kacper Krasicki, dyrektor w warszawskiej agencji PR-owej Art-Media i potomek brata biskupa warmińskiego, prymasa Polski Ignacego, autora „Bajek i przypowieści".

– Biskup też pisał bajki dla familii. Niektóre partytury Chopina również są dedykowane arystokratom-mecenasom. Ale to przecież dobra ogólnonarodowe!

– Jakby więc pan, PR-owiec, określił politykę wizerunkową księcia?

– Jako bardzo ambitną... delikatnie mówiąc. Choć mam wątpliwości, czy to jest sensowne. Od 80 lat nie ma w Polsce zwyczaju tytułowania siebie hrabią, baronem czy księciem. Jako historyk z wykształcenia uważam tytulaturę za pamiątkę przeszłości, nic więcej. Tytuły funkcjonują jeszcze w korespondencji prywatnej, głównie wśród starszych osób. Ja się nie tytułuję i proszę, by mnie nie tytułowano. Jasiowi na tym zależy, co w świetle tego, że w Polsce arystokracji nie lubi prawica ani lewica, jest kontrowersyjne... Przydałoby się więcej skromności zamiast epatowania pieniędzmi. Ja wiem, że zawsze wśród arystokracji byli oryginałowie, ale przez Jana słyszę często pytania: „Czy wszyscy jesteście tacy?". Jego medialna narracja jest też gwoździem do trumny reprywatyzacji. Bo po co zwracać cokolwiek takim, którzy wszystko mają? Zalecałbym większą pokorę. Społeczeństwo polskie jest egalitarne i łatwo się irytuje. W komentarzach pod wypowiedziami Jana pełno przekleństw pod adresem arystokracji. Po co wywoływać takie złe emocje?

Zajrzałem do tych komentarzy. Dyrektor Krasicki ma rację: „Wyborcza", Wirtualna Polska czy Onet, ton wypowiedzi na temat księcia podobny. Egalitarni rodacy piszą: „Nie myślałem, że doczekam czasów, gdy arystokracja znów zacznie nami kręcić". „Nie ma w Polsce tytułów czy herbów. Zniosła je Konstytucja marcowa 104 lata temu. Niech się ten człowiek nie kompromituje!". „Niewątpliwą zasługa Peerelu było pogonienie takich pasożytów".

Obrońców Lubomirskiego-Lanckorońskiego jest zdecydowanie mniej. Obraz księcia w oczach internautów zdaje się gorszy niż obraz arystokracji w całości. Ten był analizowany przez PAN i Collegium Civitas w ramach projektu badawczego „Współczesne polskie elity postszlacheckie". Z opublikowanych przed dwoma laty badań wynika, że Polki i Polacy kojarzą rodziny herbowych raczej z zaletami niż przypadłościami. Najczęstszym skojarzeniem jest „etos patriotyczny". Co więcej: „obraz pasożytniczego pana promowany w czasach PRL jest już nieaktualny". Jednak „mimo pewnej sympatii do niej arystokracja jest postrzegana jako grupa hermetyczna i nie z tej epoki".

Co do wspomnianej reprywatyzacji przedwojennych dóbr: wedle najnowszych dostęp-

eprasa.pl 74c5a22a0e

nych badań CBOS przeciwników jest minimalnie więcej niż orędowników.

Proszę księcia, by teraz opowiedział o swym najnowszym biznesie, czyli nieruchomościach.

Gniew, że nie płaci za wykonaną pracę

– Jako pierwszą inwestycję kupiłem w 2004 roku kawalerkę na Placu Konstytucji. Sprzedałem ją znanemu aktorowi za trzy razy tyle.

Książę wymienia nazwisko aktora, lecz prosi, bym nie powtarzał.

– Dalej poszło… kupowałem i za gotówkę, i na kredyt. Starałem się nie stawać do kupna osobiście, by nie podnosić ceny – wysyłałem raczej któregoś z pracowników. Chociaż pamiętam scenę, miałem wtedy autentycznie łzy w oczach, gdy właściciel, sprzedając kamienicę, mówił mi wzruszony: „Jak ja się bardzo cieszę, że to właśnie pan kupił, że idzie w dobre ręce…". Różne miałem przygody. Nabyłem dwie kamienice przy Kazimierzowskiej…

– Tej na Mokotowie.

– …cena wynosiła z początku pięć milionów. W 2008 roku była to jeszcze dla mnie kwota horrendalna, kupowałem zresztą na kredyt. Pytam pośredniczkę, czy nie da się zjechać do czterech milionów siedemset. Był jakiś trzask na łączach i jak się później okazało, ona zrozumiała, że chcę dać trzy siedemset. A sprzedający się zgodził! Zaoszczędziłem milion z powodu zgrzytu w słuchawce.

Teraz o innym zgrzycie. Jak pisała w „Wyborczej" Justyna Sobolak, firma księcia w jednej z dwóch wymienionych kamienic wyszykowała ekskluzywne mieszkania, w drugiej zaś „dokonała patodeweloperki, tworząc tam mikrokawalerki". W dodatku w 2021 roku mieszkańcom tychże odcięto ciepłą wodę, bo wpisana w księgę wieczystą nieruchomości spółka Landeskrone 2 zalegała z opłatami za media. Lokatorzy poszli z księciem do sądu, wygrali i ściągnęli należność z pomocą komornika. Ale konflikt nie wygasł. Obecnie obie strony mają do siebie różnorakie pretensje typu „nierozliczona dzierżawa gruntu pod windę" i rozmawiają przez prawników. Adwokat księcia Mariusz Gaj wytłumaczył niedawno „Newsweekowi", skąd biorą się te nieporozumienia:

„Kontrahenci często próbują naciągnąć księcia, ponieważ uważają, że kiedy go naliczą kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy złotych więcej, on przecież nie zbiednieje".

To nie w każdym wypadku prawda. Autorka „Newsweeka" Elżbieta Turlej odszukała właściciela stołecznej firmy remontowej Nasz Dom Kacpra Koziarskiego, który wcześniej zamieścił przykry wpis na stronie GL: „Ostrzegam! Nie wypłacają pieniędzy za wykonaną usługę, nie jestem jedynym poszkodowanym. Mają świadomość, że nie posiadają funduszy, a i tak zamawiają usługi. Może pozew zbiorowy?".

– Współpracowałem z firmami księcia od czerwca 2022 do grudnia 2023 – mówi przedsiębiorca. – Za gotowość do pracy miałem dostawać miesięcznie po 800 złotych od dwóch budynków i 1100 złotych za trzeci. Do tego dochodziły, płatne oddzielnie, dodatkowe czynności typu malowanie, wymiana żarówek. Wystawiałem faktury na Landeskrone 1, Landeskrone 2, Landeskrone 5… Przez trzy miesiące – po kilkakrotnych upomnieniach – otrzymywałem pełną kwotę. A potem słyszałem tłumaczenie: „mamy kłopoty finansowe, całość prześlemy później". Ponieważ raz na zlecenie księcia zawiozłem busem ładunek rodzinnych pamiątek do zamku w Lubniewicach, widziałem, w jakich luksusach żyje, i przez to rósł we mnie gniew, że nie płaci za wykonaną pracę. Dzwoniłem z monitami, osobiście chodziłem do biura Landeskrone. Zablokowali mój numer, kilka razy mi pogrozili, że wezwą policję.

Jaś gra wyłącznie na siebie

Niezrażony książę kupuje kolejne kamienice. Na stronie GL czytam: „Mamy obiekty w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Gdańsku i Poznaniu. Głównie ulokowane w ścisłych centrach".

– Ile tego jest?

Książę: – W samej stolicy mam osiem budynków i powstają nowe.

Zadzwoniłem do biura sprzedaży GL jako klient zainteresowany inwestycyjnym kupnem ciekawego mieszkania w Krakowie lub Warszawie. Sprzedawca Łukasz Matecki zaproponował mi lokum w położonym koło krakowskiego Ogrodu Botanicznego zbudowanym przez Grupę zaokrąglonym apartamentowcu: 21 tysięcy za metr w stanie deweloperskim. Mógłbym również kupić 180-metrowe gotowe mieszkanie na 16. piętrze gierkowskiego wieżowca przy Górnośląskiej w stolicy. Jako że tutaj metr kosztuje już prawie 27 tysięcy, inwestycja kosztowałaby mnie blisko 5 milionów. Za to miałbym wspaniały widok na Wisłę pomiędzy mostami.

– Teraz pan wie, czemu Janek tak kocha, gdy się o nim pisze – mówi mi kolejny znajomy księcia, już nie arystokrata. – Buduje zasięgi i markę, którą monetyzuje. Magnackie nazwisko wiąże z elitarnymi adresami i dyktuje nabywcom wielkopańskie ceny. Jako że ostatnio widzę jego wzmożoną aktywność medialną, wnioskuję, że nasila tę monetyzację, co z kolei może oznaczać, iż potrzebuje pieniędzy. Przeinwestował lub mieszkania gorzej mu się sprzedają…

– Może pan nie uwierzy, lecz ja nie lubię sprzedawać – zarzeka się książę prezes. Nie razi go żadne z mych pytań, tylko na niektóre odpowiada „obok". – Staram się akumulować. W jednej z krakowskich kamienic zamierzam jeszcze w tym roku otworzyć Muzeum Książąt Lubomirskich – prawdziwe, w odróżnieniu od tego tam… wrocławskiego.

Spór między księciem a Ossolineum był już w „Wyborczej" opisany. Najkrócej: Zakład Narodowy imienia Ossolińskich informuje, że prezes Grupy Landeskrone nie ma prawa otwierać żadnego Muzeum Książąt Lubomirskich, gdyż takowe jest częścią Zakładu we Wrocławiu.

– Co za bzdury! – złości się arystokrata. – Lwowskie Ossolineum było wspólnym dziełem Ossolińskich i Lubomirskich, przy czym to myśmy je sfinansowali. Po wojnie zostało odtworzone bez zgody rodziny.

– I co pan będzie prezentował we własnym muzeum?

– Z jednej strony zgromadzone przeze mnie pamiątki rodzinne, jak skarbiec z klejnotami Lubomirskich, oryginał Polskiej Deklaracji Niepodległości z 1918 roku czy „Madonnę" z warsztatu Leonarda da Vinci, być może tkniętą pędzlem przez niego samego… A z drugiej sztukę nowoczesną od Picassa i Salvadora Dali po Andy Warhola i Damiena Hirsta. Zapraszam, otwarcie w czerwcu!

– Ten konflikt z Ossolineum jest czymś bardzo złym. – Wzdycha dyrektor Krasicki. – Tym bardziej jeżeli dojdzie do procesu, a może do niego dojść, ponieważ Jan podważa prawomocność muzeum we Wrocławiu. Tymczasem hrabia Maksymilian Ossoliński założył Ossolineum za wiedzą i zgodą swego współpracownika, ordynata przeworskiego Henryka Lubomirskiego. Ten Lubomirski został pierwszym kuratorem placówki. Po co to podważać po przeszło 200 latach? Co gorsza: opinia publiczna może dojść do wniosku, że to, co Jaś opowiada w tej kwestii, jest głosem starych rodzin. Otóż nie! On nie jest żadnym rzecznikiem polskiej arystokracji. Gra wyłącznie na siebie. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34419434

W SPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: MIŁOŚĆ PO LATACH. JAK UTRZYMAĆ WIELOLETNI ZWIĄZEK?

MONICA BELLUCCI: Jak być piękną i nie zwariować

KULISY SCENOGRAFII Heweliusza

KOBIETY, które chcą żyć solo

wysokieobcasy extra

Prezent do wyboru:
Bioliq BHL Barierowy krem ochronny do twarzy lub Himalaya pasty do zębów

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

ZASŁUŻYŁ NA LEPSZE EPITAFIUM

Leslie Nielsen kończyłby 100 lat. Wszyscy pamiętamy go, jako króla komedii, faceta, który przez całe życie miał 60 lat. Niewielu pamięta, że w młodości głównie grywał amantów.

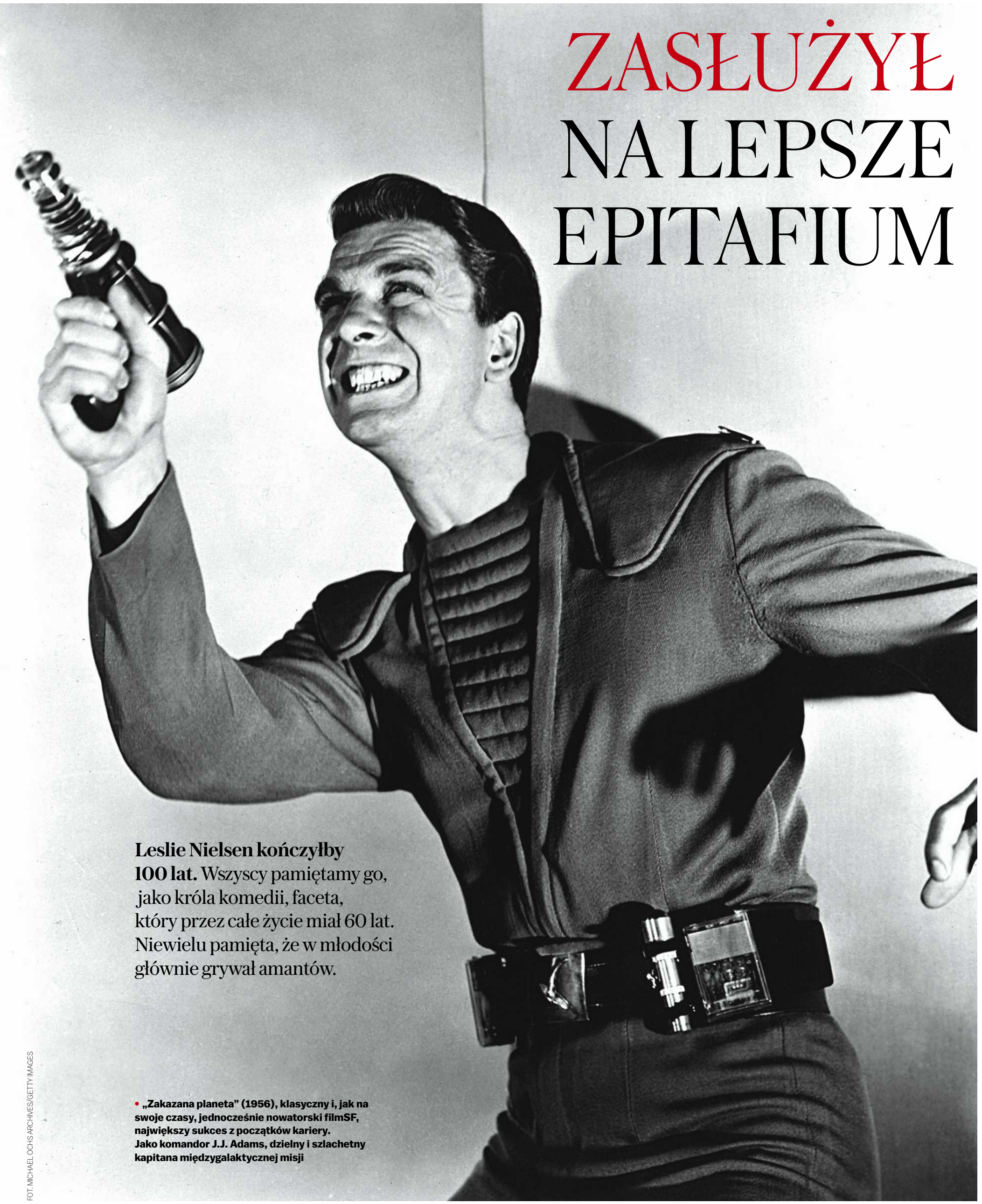

• **„Zakazana planeta" (1956), klasyczny i, jak na swoje czasy, jednocześnie nowatorski filmSF, największy sukces z początków kariery. Jako komandor J.J. Adams, dzielny i szlachetny kapitana międzygalaktycznej misji**

FOT. MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 74c5a22a0e

Radosław Czyż

„Zawsze będę go pamiętała przez te jego pierdzące dłonie" – wspominała Maureen McGovern, która w „Czy leci z nami pilot?" grała zakonnicę.

Chodziło jej nie tyle o dłonie Nielsena, co o kieszonkowy instrument, pierdzącą zabawkę, który zabierał z sobą niemal wszędzie: na plany zdjęciowe, imprezy, wywiady i do telewizyjnych talk-show, np. do Davida Lettermana i Conana O'Briena. Mówił, że to „najlepszy sposób, by dowiedzieć się, czy jakaś kobieta ma się ku tobie".

Bawiło go to do tego stopnia, że w jednym z wywiadów mówił, iż na nagrobnym epitafium umieści pewnie jakiś żart o pierdzeniu. A przecież było tyle innych rzeczy, za które pamiętamy Lesliego Nielsena.

Urwis w ciele seniora

Teraz, gdy ktoś zauważy jego twarz w telewizji, raczej się uśmiechnie. Leslie Nielsen kilku pokoleniom kojarzy się z tym przezabawnym facetem z durnych komedii, od których nie dało się oderwać, ilekroć wpadło się na nie skacząc po kanałach. Człowieka, który przez całe życie wyglądał na pięćdziesięciolatka z siwizną kogoś znacznie starszego i poczuciem humoru, którego pozazdrościłby mu każdy dwunastolatek.

W jego twarzy było coś kojącego i hipnotyzującego, nie dało się jej zapomnieć. A ponieważ te najlepsze komedie z jego udziałem w telewizji pokazywano tysiące razy, to stał się dla nas kimś zawsze obecnym, wdrukowanym w podświadomość. Do tego stopnia, że gdyby zapytać kogoś na ulicy „co dziś robi Leslie Nielsen?", pewnie niewiele osób pamiętałoby, że nie żyje już od kilkunastu lat. Bo przecież jest nieśmiertelny.

Dla mnie zawsze będzie lekarzem z „Czy leci z nami pilot?" i porucznikiem Frankiem Drebinem z „Nagiej broni", i serialu „Police Squad". Dla innych choćby Draculą, prezydentem ze „Strasznego filmu 3" lub innym komediowym bohaterem. Kojarzy się nam wyłącznie ze śmiechem.

Sam zresztą kochał humor toaletowy. A czy ktoś pamięta dziś, że przez większość kariery był ekranowym amantem?

Z Saskatchewan do Hollywood

Leslie Nielsen urodził się 11 lutego 1926 r. w Reginie, stolicy Saskatchewan. O tej kanadyjskiej prowincji mówi się, że jest tak płaska, że, aby zobaczyć jej koniec, wystarczy stanąć na puszce fasoli, albo że jest tak majestatycznie pusta iż przez tydzień można obserwować uciekającego psa.

Matka Lesliego, Mabel Elizabeth z domu Davies, do Kanady przyjechała z Walii. Ojciec, Ingvard Eversen Nielsen, urodził się w Danii. Gdy Leslie był jeszcze chłopcem, rodzina przeniosła się do Fort Norman (dziś Tulita) w mroźnych Terytoriach Północno-Zachodnich. Jego ojciec służył tam jako konstabl w Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, ale klimat okolicy nie służył już nikomu. Podobnie jak wybuchowy temperament Ingvarda, który bił synów i żonę.

W 1930 r., gdy starszy o dwa lata brat Lesliego, Erik (późniejszy kanadyjski parlamentarzysta i wiceminister) musiał iść do szkoły, rodzina przeniosła się do cieplejszego Edmonton.

Reszta potoczyła się szybko. Nielsen skończył szkołę, a w 1943 r. – jako 17-latek – zaciągnął się do kanadyjskiego lotnictwa. Już wtedy zdiagnozowano u niego postępujący niedosłuch. Nielsen przez większość życia zmagał się z tą chorobą, a u szczytu kariery musiał nosić aparaty słuchowe. Słaby słuch paradoksalnie pomógł mu w graniu komedii, ale o tym za chwilę.

Nielsen nie brał udziału w walkach. Po wojnie podjął dorywczą pracę jako didżej radiowy w Calgary. Niedługo później zapisał się do radioakademii w Toronto. To tam na poważnie wziął się za aktorstwo i szybko dostał stypendium nowojorskiej szkoły aktorskiej Neighborhood Playhouse, a edukację kontynuował potem w słynnym Actors Studio.

Rycerz, kowboj i kapitan

Debiut zaliczył u słynnego Michaela Curtiza, reżysera „Casablanki". Niestety kostiumowy musical „The Vagabond King" nie zbliżył się do jej poziomu. Znacznie więcej pograł sobie w „Okupie" Alexa Segala (oba w 1956).

Najlepszym i najgłośniejszym z pierwszych filmów aktora była jednak nominowana do Oscara „Zakazana planeta" z 1956 r. – pierwszy film z wyłącznie elektroniczną ścieżką dźwiękową. Nielsen wcielił się tam w komandora Johna J. Adamsa, dzielnego i charyzmatycznego dowódcę statku, który rozkochuje w sobie córkę tajemniczego naukowca.

„Zakazana planeta" była prawdziwym hitem, po którym Nielsen zagrał też z Debbie Reynolds w komedii romantycznej „Panna Tammy i kawaler" (1957), a krytycy już wprost określali go mianem ekranowego amanta.

Dwie kolejne dekady, od 1960 do 1980 r., były spokojniejszym etapem jego kariery. Na brak pracy nie narzekał, ale były to role drugoplanowe. Był też częstym gościem specjalnym popularnych seriali. Wystąpił m.in. w „Bonanzie", „Rawhide" z Clintem Eastwoodem, „M*A*S*H-u", „Columbo" i „Kojaku".

Kojarzył się ze szczerym, pewnym siebie i do bólu poważnym facetem w sile wieku. Takich grał zresztą najczęściej. Na uwagę zasługują role dwóch filmach katastroficznych: mniej udanym „Mieście w ogniu" (1979), gdzie wcielił się w skorumpowanego burmistrza oraz w „Tragedii «Posejdona»" (1972) z Genem Hackmanem. Tu zagrał kapitana tytułowego statku, który może i ginie na mostku w pierwszej części filmu, ale jego kreacja zapada w pamięć. Był tym aktorem, którego twarz każdy kojarzy, ale nikt nie pamięta jego nazwiska.

All that ZAZ...

Tymczasem tercet ZAZ – Jerry Zucker, Jim Abrahams i David Zucker – pracował nad filmem, który na zawsze zmieni oblicze komedii. Pewnego dnia trójka przyjaciół trafiła na film „Zero Hour!" z 1957 r. Pomyśleli, że to świetna baza pod parodię. Tak, w 1980 r., powstało „Czy leci z nami pilot?".

Wytwórnia sugerowała, by w filmie obsadzić komediowe gwiazdy, ale ZAZ zależało na aktorach dramatycznych, kimś, kto zachowa powagę, wypowiadając ich durne kwestie.

Gdy w morzu nazwisk padło to Lesliego Nielsena, reżyser castingu mocno się zirytował: „Leslie Nielsen?! Leslie Nielsen to gość, którego zatrudniasz dzień przed zdjęciami!" – krzyknął.

Ale Nielsen okazał się idealny w roli obecnego na pokładzie lekarza, dr. Rumacka, który co jakiś czas ze śmiertelną powagą informuje głównych bohaterów o pogarszającym się stanie pasażerów.

„Ten film kompletnie zmienił jego karierę. Dotąd uosabiał wielkiego [miał 188 cm], statecznego amanta. Ale prywatnie był najzabawniejszym skurczybykiem, jakiego spotkałem" – mówił David Leisure, który w filmie wcielał się w jednego z krysznowców.

Frank Drebin, Wydział Specjalny

Nielsen uwielbiał żartować, a Zuckerowie i Abrahams go za to pokochali. Powtarzali zresztą, że kluczem do udanej komedii, jest robienie jej na poważnie. A Nielsen ze swoją posągową twarzą i niezachwianym skupieniem robił to, jak nikt inny. Na tę powagę składała się zresztą jego wada słuchu. Gdy nauczył się kwestii na pamięć, mógł odciąć się od otoczenia i bardziej skupić się grze.

Jakiś czas po „Czy leci z nami pilot?" ZAZ zaprosili go do współpracy w serialu „Police Squad!" – pierwowzorze późniejszej serii filmów „Naga broń". To tam stworzył niezapomnianą kreację porucznika policji Franka Drebina.

Gdy ZAZ i Nielsen wchodzili na plan, studio wróżyło, że będzie to najlepszy komediowy serial w dziejach. Ale ku zaskoczeniu wszystkich, oglądalność spadała. Po zaledwie sześciu odcinkach produkcję zdjęto z anteny.

Ówczesny szef stacji, Anthony Thomopoulos, mówił, że „serial nie działał, ponieważ trzeba było go oglądać". Jak wspomina Nielsen, te słowa miały wielki sens – by żarty ZAZ działały, trzeba było stale skupiać się na tym, co się dzieje na ekranie, a nie patrzeć w telewizor jednym okiem. Stąd pomysł, by serial przerobić na film.

„Naga broń: Z akt Wydziału Specjalnego" powstała w 1988 r. i z miejsca stała się kolejnym hitem kwartetu ZAZ + Nielsen. Ludzie przepychali się w kolejkach do kina. Krytyk filmowy Roger Ebert stwierdził, że pisanie o „Nagiej broni" jest jak sprawozdanie z monologu stand-upera Rodneya Dangerfielda: „Możesz oddać słowa, ale nie ich melodię".

„Śmiejesz się, a potem śmiejesz się z siebie, że się zaśmiałeś. Niektóre żarty są wręcz niewiarygodnie głupie. Większość, głupsze niż głupie" – pisał w recenzji filmu, który ocenił na wysokie trzy i pół gwiazdki na cztery.

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

FOT. LANDMARK MEDIA / ALAMY STOCK PHOTO; ENTERTAINMENT PICTURES / ALAMY STOCK PHOTO; ARCHIVES DU 7E ART/ DIMENSION FILMS/BE&W

◀ **„Naga broń: Z akt Wydziału Specjalnego" (1988). Pierwszy film z tej serii. Nielsen w swojej ikonicznej roli porucznika Franka Drebina z Wydziału Specjalnego. Królową Elżbietę grała jej najbardziej znana sobowtórka, Jeannette Charles.**

▲ **„Ści(ą)gany" (1998), parodia „Ściganego" z Harrisonem Fordem i Tommym Lee Jonesem. Między innymi, bo śmieją się tu z wielu produkcji. Nielsen gra wybitnego skrzypka wrobionego w morderstwo milionera. Partneruje mu Melinda McGraw.**

▶ **„Straszny film 3" (2003). Komedia braci Wayansów, jedna z ostatnich udanych ról. Grał prezydenta USA, na którego napadali kosmici. Akurat w tej scenie zastanawia się, co na jego miejscu zrobiłby „prezydent Ford", żartobliwie odnosząc się do filmu „Air Force One".**

Król jest nagi?

Jednak sukces nie trwał wiecznie. Druga część, zręcznie zatytułowana „Naga Broń 2 1/2" z 1991 r., była udaną kontynuacją, ale nie przebiła jedynki. Z kolei przy „Nagiej broni 33 1/3" (1994) tercet twórców niemal się rozsypał. Scenariusz pisał sam David Zucker, a w reżyserskim fotelu zastąpił go znacznie mniej zdolny Peter Segal. Abrahams zajęty był pisaniem i reżyserowaniem dwóch części „Hot Shots!" z Charliem Sheenem, a Jerry Zucker niemal całkiem wycofał się z pracy przy filmach.

Tymczasem Nielsen musiał zmagać się z łatką króla komedii. Bo choć był nim bez wątpienia, mało kto potrafił to wykorzystać.

Po trzeciej „Nagiej broni" przyszły trzy fatalne komedie z rzędu. Potem Nielsen dostał angaż u Mela Brooksa w filmie „Dracula – wampiry bez zębów", gdzie wciela się w tytułowego wampira. I choć daleko „Draculi..." do najlepszych filmów Brooksa, to Nielsen wypadł tam nieźle. Z jednym, poważnym zastrzeżeniem: Brooks kazał mu być śmiesznym.

Tak zmarnowano jego geniusz, oparty na wstrzemięźliwości i powadze. W przeciągu kilku lat jego twarz tak mocno skojarzyła się ludziom się z „tym śmiesznym gościem z filmów", że kolejni reżyserzy chcieli, by wygłupiał się przed kamerą.

„Szklanką po łapkach" (1996), „Pan Magoo" (1997), „Dzieciaki do wzięcia" (1998) były kolejnymi wtopami. Nieco lepszy był „Ściągany" (1998) współscenarzysty „Nagich Broni" Pata Profta, ale tam z kolei Nielsen wydurniał się przed kamerą tak bardzo, że był to już zupełnie inny typ humoru niż ten z komedii ZAZ.

Koniec żartów

W roku 2000. była jeszcze fatalna „2001: Odyseja komiczna", a potem kilka innych wtop. Wówczas wszyscy chcieli robić parodie – był to najpopularniejszy rodzaj komedii. Wszystkie durne, pełne absurdalnych gagów próbujących imitować to, co Zuckerom i Abrahamsowi tak doskonale wyszło w „Czy leci z nami pilot?", wybitnym „Ściśle tajne" i pierwszej „Nagiej Broni".

W tym gąszczu tandety pozytywnie wyróżniała się seria „Straszny film". Przy trzeciej części do grona twórców dołączył David Zucker, który film wyreżyserował. Zaprosił Lesliego Nielsena, który wcielił się w prezydenta USA stawiającego czoła inwazji kosmitów.

Była to jedna z jego najlepszych ról po „Nagiej broni 3". Na tyle udana, że w 2006 r. powrócił w czwartej części serii. Tę ponownie wyreżyserował Zucker, a przy scenariuszu pomagał też Jim Abrahams – była to ostatnia współpraca członków ZAZ, a także ostatni film, przy którym Abrahams pracował do śmierci w listopadzie 2024 r.

Była to też ostatnia przyzwoita rola Nielsena, który pozostawał aktywny zawodowo aż do swojej śmierci 28 listopada 2010 r. Miał wówczas 84 lata. Pokonało go zapalenie płuc. Do dziś pozostaje jednym z największych komików w historii, choć tak naprawdę zagrał tylko w kilku naprawdę udanych. To jednak wystarczyło, by jego styl naśladować chcieli wszyscy.

Słowa o swoim kloacznym epitafium dotrzymał. Znajduje się na nim napis „Let 'er rip!", co tłumaczyć można zarówno jako „daj czadu!" i... daj czadu. ●

REKLAMA

Kraj/34418045

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

1RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

• **Zachodnia Papua. Status wojownika i myśliwego jest powiązany z poligynią – mężczyźni o wyższej reputacji mają często kilka żon**
FOT. I. WANDIKBO, PROJEKT BADAWCZY SOROKOWSKI

MONOGAMIA JEST PRZEREKLAMOWANA

Im więcej opcji, tym większy lęk, że wybraliśmy źle. Tak dziś jest z miłością

Z **DR HAB. PIOTREM SOROKOWSKIM,** PSYCHOLOGIEM*
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Kim pan właściwie jest? Psychologiem, podróżnikiem, badaczem?
Jestem psychologiem, choć rzeczywiście sporą część mojego życia spędziłem poza gabinetem i salą wykładową. Od blisko dwudziestu lat prowadzę wraz z żoną i współpracownikami badania terenowe w miejscach, które rzadko pojawiają się w klasycznych podręcznikach psychologii: w Papui, Amazonii, Afryce, na odległych wyspach Pacyfiku. W sumie kilka dobrych lat życia spędziłem w dżungli, na sawannie, w małych wioskach na końcach świata, do których nie prowadzą żadne drogi.

Nie jeżdżę tam jednak po egzotykę. Jeżdżę po odpowiedzi na pytania o to, kim jesteśmy jako ludzie. A jednym z najważniejszych z tych pytań okazało się pytanie o miłość.

Dlaczego właśnie tam?
– Problem polega na tym, że ogromna część wiedzy psychologicznej powstała na podstawie badań prowadzonych na wąskiej grupie ludzi: młodych, wykształconych mieszkańców Zachodu. My interesujemy się tym, czy to, co uważamy za „ludzką naturę", rzeczywiście jest uniwersalne. Dlatego badamy percepcję starości, podejmowanie decyzji, sztukę, poczucie piękna. Sprawdzamy, gdzie kończy się kultura, a gdzie zaczynają się głębsze, ewolucyjne mechanizmy.

Skąd miłość?
– Wszystko rozpoczęło się na północy Tanzanii, wśród pasterskiego ludu Datoga. Uczestniczyliśmy tam w lokalnym weselu. Panna młoda – Bvavana – była wydawana za mąż w aranżowanym związku. Przyjechaliśmy z Polski ponad sześć tysięcy kilometrów, a na miejscu usłyszeliśmy historię, która brzmiała zaskakująco znajomo: młoda dziewczyna zakochana w chłopaku, który jest przystojny i pięknie śpiewa.

Ale jej dziadek Gijar miał zupełnie inną wizję idealnego męża niż jego wnuczka. Według niego mężczyzna powinien być przede wszystkim dobrym pasterzem i odpowiedzialnym opiekunem. Znalazł więc Bvavanie kandydata, który spełniał te kryteria – zamożnego, szanowanego mężczyznę o imieniu Merukuta.

A panna młoda?
– Wesele już trwało, rytuały były w toku, rodziny się porozumiały, a Bvavana przez cały ten czas płakała. Spazmy, łzy, rozpacz. Im bardziej płakała panna młoda, tym hojniejszy był przyszły mąż, dorzucając kolejne krowy. Płacz był znakiem jej „wartości".

Patrzyłem na to z przerażeniem. Myślałem o niej jak o ofierze systemu, o dziewczynie skazanej na nieszczęśliwe życie.

Dwa lata później spotkałem Bvavanę ponownie. I to było jedno z tych doświadczeń, które zostają z badaczem na zawsze. Była uśmiechniętą, wesołą, zadowoloną z życia młodą kobietą. Jej mąż okazał się czułym, troskliwym, bardzo uważnym partnerem. A ona – co było widać od razu – była zakochana. To była dla mnie potężna lekcja międzykulturowej pokory.

Czyli nasze zachodnie wyobrażenia o miłości są po prostu błędne?
– Nie tyle błędne, co lokalne. W naszej kulturze zakładamy, że tylko małżeństwa „z miłości" są dobre i trwałe, a związki aranżowane muszą być chłodne i opresyjne. Tymczasem młodzi ludzie na Zachodzie, wybierając partnerów w imię miłości, wcale nie mają gwarancji udanego związku. Wystarczy spojrzeć na statystyki rozwodów – w wielu krajach Europy i w USA rozpada się od jednej trzeciej do nawet połowy małżeństw.

Być może coś jest w starym chińskim porzekadle, które mówi, że w aranżowanych małżeństwach miłość na początku się tli, ale z czasem się rozpala.

U nas często jest odwrotnie: na początku płonie jak ognisko – jasne, gorące, spektakularne – ale z czasem ogień słabnie, aż w końcu gaśnie.

To anegdota czy już twarda nauka?
– Już nauka. W tym roku opublikowaliśmy badania w czasopiśmie „Archives of Sexual Behavior" przeprowadzone w pięciu niezachodnich społeczeństwach zamieszkujących Afrykę, Himalaje i Amazonię. Porównywaliśmy trzy klasyczne w psychologii komponenty miłości – intymność, namiętność i zaangażowanie – w małżeństwach z wolnego wyboru i aranżowanych.

Gdy spojrzeć na wszystkie dane łącznie, różnice są zaskakująco niewielkie. Średni poziom miłości w obu typach małżeństw okazał się bardzo podobny. W poszczególnych kulturach pojawiały się niuanse, czasem wręcz odwrotne do zachodnich intuicji – na przykład wśród Meru z Tanzanii to żony w małżeństwach aranżowanych raportowały wyższy poziom intymności i namiętności.

Skoro miłość może się rozwijać zarówno w małżeństwach z wolnego wyboru, jak i aranżowanych, to czy w ogóle istnieje jeden „naturalny" model związku? Na Zachodzie często słyszymy, że monogamia to jedyny dojrzały model relacji. Co pan na to po latach badań poza Europą?
– Po pierwsze, to, co obserwujemy w kulturach zachodnich, wcale nie jest klasyczną monogamią, taką jaką znamy z biologii zwierząt, na przykład występującą u niektórych gatunków ptaków, gdzie para tworzy trwały związek na całe życie. W praktyce mamy raczej do czynienia z monogamią seryjną.

Oznacza to, że nie wolno mieć kilku partnerów jednocześnie, ale nikt nie zabrania się rozstać i po pewnym czasie wejść w kolejny związek. W tym sensie monogamia jest raczej normą społeczną niż biologiczną strategią wiązania się na zawsze.

Co więcej, nawet ta forma monogamii nie jest w pełni szczelna. Mamy na to liczne dowody – także bardzo precyzyjne, genetyczne – pokazujące, że niewielki, ale istotny odsetek dzieci wychowywanych przez ojców biologicznie nimi nie jest. Są badania, które szacują tą liczbę na 7 proc. W uproszczeniu: żyjemy w systemie, który promuje monogamię, ale z wieloma wyjątkami i pęknięciami.

Czyli monogamia wcale nie jest tak oczywista, jak lubimy o niej myśleć?
– Dokładnie tak. A kiedy wyjdziemy poza zachodnią kulturę, zobaczymy, że ludzkie związki mogą być organizowane na bardzo różne sposoby. Oprócz monogamii występuje poligamia, i to w dwóch głównych formach: poligynia, gdzie jeden mężczyzna ma kilka żon, oraz znacznie rzadsza poliandria, gdzie jedna kobieta ma kilku mężów.

Ta druga forma pojawia się sporadycznie, głównie w rejonach Himalajów, natomiast poligynia jest historycznie i współcześnie znacznie szerzej rozpowszechniona i w wielu krajach funkcjonuje jako społecznie akceptowany model.

Brzmi to dla niektórych jak realizacja męskich fantazji.
– I właśnie tutaj zawsze studzę entuzjazm studentów, którzy, słysząc słowo „poligynia", często mają bardzo wybujałe wyobrażenia. Ten system ma bowiem kilka istotnych „ale". Po pierwsze, poślubienie kolejnej żony nie zawsze ma znaczenie romantyczne – często pełni przede wszystkim funkcje społeczne.

Odwiedziliśmy niedawno wśród opisywanych już Datoga starego znajomego, którego poznaliśmy wiele lat temu – bogatego osiemdziesięciolatka posiadającego osiem żon. Z dumą pochwalił się nam kolejną, dwudziestopięcioletnią żoną.

Zapytaliśmy go półżartem, po co w jego wieku kolejna młoda żona. Odpowiedział bez wahania, że chciał w ten sposób podkreślić swoje bogactwo i wysoki status w lokalnej społeczności. Po chwili dodał jednak coś bardziej poruszającego: kobieta ta straciła wcześniej męża, została sama z dwójką małych dzieci, bez środków. W rzeczywistości więc – jak sam to ujął – przygarnął ją z dobroci serca, aby mogła zamieszkać razem z jego rodziną. Podkreślał przy tym, że nie pełni ona typowych obowiązków żony.

eprasa.pl 74c5a22a0e

Ale przejdźmy do sedna sprawy. W społeczeństwach poligynicznych kilka żon ma tylko niewielki odsetek mężczyzn – zwykle tych o najwyższym statusie i największych zasobach. To nie jest model dostępny „dla wszystkich".

Po drugie, w większości kultur mężczyzna posiadający kilka żon ma obowiązek zapewnić im porównywalny status, bezpieczeństwo, uwagę i wsparcie emocjonalne. To jest ogromny koszt – nie tylko materialny, ale też psychologiczny.

Pamiętam rozmowę z jednym z naszych przyjaciół z tradycyjnego społeczeństwa Himba w Afryce. Pokazywał nam chatki swoich sześciu żon i tłumaczył system bardzo prosto: w poniedziałek śpię z pierwszą, we wtorek z drugą i tak dalej.

Kiedy zapytaliśmy, co robi w niedzielę, odpowiedział z wyraźną ulgą: „Odpoczywam". Co ciekawe, spędziliśmy z tą rodziną sporo czasu. Kobiety bardzo się lubiły, wspierały się i nie obserwowaliśmy między nimi otwartej zazdrości.

Czyli to działa?
– Działa w określonych warunkach. Ale jest jeszcze trzeci, bardzo ważny aspekt, o którym rzadko się mówi. Jeśli jeden mężczyzna ma kilka żon, to automatycznie kilku innych mężczyzn nie ma żadnej. Poligynia dramatycznie zmniejsza szanse części mężczyzn na znalezienie partnerki. I to ma poważne konsekwencje społeczne.

W populacjach, gdzie dostęp do kobiet jest nierówny, obserwujemy wyższy poziom rywalizacji między mężczyznami, więcej agresji, przemocy i konfliktów – zarówno o kobiety, jak i o zasoby, które mogą do nich prowadzić.

Ma pan na myśli także znane historyczne przykłady?
– Tak. Klasycznym przykładem jest chociażby historia władców, którzy mieli setki żon i konkubin. Cesarz Maroka Moulay Ismael o przydomku Krwiożerczy prawdopodobnie spłodził ponad tysiąc dwieście dzieci, a badanie genetyczne wskazują, że około 8 proc. dzisiejszej azjatyckiej populacji jest spokrewniona z wielkim mongolskim władcą Genghis Khanem i jego męskimi krewnymi. Jeśli jeden mężczyzna gromadzi ogromną liczbę partnerek, to statystycznie oznacza to setki innych mężczyzn pozbawionych szans na rodzinę.

Podobne mechanizmy widać też w mniejszych skalach. Wielu czytelników zna zapewne jedną z wielu ekranizacji prawdziwej historii nazywanej buntem na „Bounty". Rebelia na pokładzie okrętu „Bounty", do której doszło na odległych morzach Pacyfiku, zmusiła kapitana statku Williama Bligha wraz z osiemnastoma towarzyszami do opuszczenia „Bounty" w łodzi okrętowej.

Kluczowe w tej opowieści jest to, że kapitan przepłynął w niej 3500 mil morskich do bezpiecznego portu. Mało kto jednak pamięta, że część buntowników ostatecznie osiadła na wyspie Pitcairn z bardzo niewielką liczbą kobiet. Wielu historyków uważa, że to właśnie dramatyczna nierównowaga płci była jedną z głównych przyczyn przemocy i wzajemnych zabójstw, do których tam doszło.

W efekcie po latach intensywnej przemocy na wyspie pozostał tylko jeden żyjący buntownik – John Adams, który wychował pierwsze pokolenie dzieci i doprowadził do stabilizacji osady.

A co najbardziej pana zaskoczyło w badaniach nad związkami i doborem partnerów?
– Jednym z najbardziej zaskakujących doświadczeń była dla mnie praca na Palmerstonie – maleńkiej, izolowanej wyspie Pacyfiku zamieszkanej dziś przez potomków jednego europejskiego osadnika – Williama Mastersa i jego trzech żon.

W takich populacjach bardzo szybko pojawia się pytanie o tabu kazirodztwa i o to, jak w praktyce wygląda dobór partnerów. Trzeba bowiem pamiętać, że kazirodztwo nie jest wszędzie definiowane tak samo. W wielu kulturach świata związki kuzynowskie są czymś oczywistym i społecznie akceptowanym – obserwowaliśmy to chociażby wśród Tsimane w Amazonii, gdzie małżeństwa między kuzynami są normą.

Na Palmerstonie chcieliśmy sprawdzić, czy mieszkańcy – świadomi bliskiego pokrewieństwa – będą preferować partnerów fizycznie i genetycznie bardziej odległych. Tego spodziewała się część badaczy i taką narrację często powtarzano w literaturze.

Tymczasem nasze dane, w części jeszcze nieopublikowane, pokazały coś innego: wybory partnerów były w zasadzie losowe, a związki wewnątrz szeroko rozumianej rodziny – bardzo częste. Nie obserwowaliśmy silnej tendencji do ucieczki od pokrewieństwa.

To pokazuje, że w małych, izolowanych populacjach ludzie dostosowują normy do realnych możliwości, a biologiczne i kulturowe mechanizmy doboru działają inaczej niż w dużych społeczeństwach.

W wielu naszych badaniach ludzie mówią wprost: nie że nie potrafią kochać, ale że coraz trudniej im zdecydować, przy kim zostać

Co więcej, taka gęsta sieć pokrewieństw ma konkretne konsekwencje dla życia rodzinnego. Na przykład mieszkańcy wymieniają się dziećmi pomiędzy krewnymi. Jedna z kobiet opowiadała nam, jak oddała swoje niemowlę kuzynce w prezencie świątecznym, ponieważ ta mocno przeżywała śmierć jej własnego dziecka.

Takie dzieci nazywane są tam mlecznymi dziećmi, a kobieta, która je wykarmi – mleczną mamą. To nie kryzys rodziny, lecz adaptacyjny system dzielenia się opieką i odpowiedzialnością w świecie ograniczonych zasobów.

Czyli nie ma jednego „najlepszego" modelu związku?
– Wolałbym uniknąć odpowiedzi, być może najciekawsze pytanie brzmi nie: który model jest najlepszy, ale raczej: co we wszystkich tych formach jest wspólne? Co sprawia, że ludzie – niezależnie od struktury związku – potrafią się przywiązywać, kochać, być zazdrośni i cierpieć z miłości?

Wielu socjologów i antropologów kiedyś twierdziło, że miłość romantyczna to wytwór kultury Zachodu – że to uczucie, które znamy z literatury, filmów i własnych doświadczeń, w istocie jest produktem kultury europejskiej. Po tych wszystkich badaniach nadal tak pan uważa?
– To fundamentalne pytanie. Przez dekady w nauce istniało silne przekonanie, że romantyczna miłość to idea kulturowa Zachodu albo – w najlepszym razie – zjawisko bardzo ograniczone geograficznie, pojawiające się głównie tam, gdzie kształtowała ją literatura i romantyczna tradycja.

Jeszcze w połowie XX wieku wielu antropologów i socjologów traktowało miłość jako konstrukcję kulturową: coś, co powstało w średniowiecznej Europie i potem zostało wyeksportowane jako ideał Zachodu.

Po części takie opinie są nieporozumieniami. Bronisław Malinowski, słynny antropolog, spędził wiele lat na wyspach Trobrianda w Papui, badając życie lokalnych społeczności. Jego prace, zwłaszcza kontrowersyjna w swoim czasie książka „Życie seksualne dzikich", skupiły się na seksualności, pożądaniu i rytuałach związanych z partnerstwem, co skłaniało wielu do wniosku, że na Trobiandach, wśród tytułowych dzikich, dojrzałej miłości w naszym zachodnim rozumieniu nie ma.

Jednak przy bliższym zapoznaniu się z książką okazuje się, że Malinowski opisuje też wiele historii pełnych czułości, romantycznych gestów i prawdziwego uczucia między partnerami, pokazując, że miłość w Trobriandach istnieje równie mocno jak w każdej innej kulturze.

Mógłbyś nam opowiedzieć o jednej z nich?
– Opowiem historię, którą usłyszałem na wyspie Atiu na Pacyfiku. To opowieść o małżeństwie Ake i Rangim. Ma wedle miejscowych opisywać czasy przedchrześcijańskie na ich wyspie, ale nadal jest bardzo żywa. Atiu jest wyspą pełną jaskiń, do jednej z nich wpadła Ake i nie mogła się z niej wydostać. Mimo wielu tygodni poszukiwań ludzie z wioski nie potrafili jej znaleźć. Tymczasem Ake przeżyła, żywiąc się dzikimi jeżynami i dyniami.

Wedle tych opowieści, zapewne nieco przesadzonych, żyła w tej jaskini kilka lat. Aż do czasu, kiedy w dość przypadkowy sposób odnalazł ją wciąż kochający ją i tęskniący mąż. Ich miłość przetrwała, była silna i trwała do śmierci Rangiego. Wedle opowieści miejscowych Ake zmarła śmiercią naturalną zaledwie kilka chwil po pochowaniu ciała męża. A zatem wiara w to, że dojrzała miłość romantyczna istnieje tylko w naszej cywilizacji, jest bardzo naiwna.

To pokazują też nasze niedawno opublikowane badania. Wraz z Martą Kowal i resztą naszego zespołu analizowaliśmy dziewięć bardzo różnych społeczeństw tradycyjnych – od afrykańskich myśliwych-zbieraczy, po Tsimane zamieszkujących odległe i odizolowane wsie w Amazonii – i wszędzie ludzie zgłaszali silne doświadczenia miłości romantycznej mierzone trzema klasycznymi w psychologii komponentami: intymnością, namiętnością i zaangażowaniem.

Niezależnie od miejsca, tradycji czy historii ludzie się zakochują i kochają w bardzo podobny sposób.

Oczywiście kultura ma znaczenie – sposób, w jaki ludzie rozumieją miłość, ją celebrują i wyrażają, zależy od lokalnych zwyczajów i rytuałów. Ale same emocje, te podstawowe psychologiczne komponenty, pojawiają się wszędzie.

To potwierdzają też klasyczne analizy Williama Jankowiaka, który przeanalizował dane etnograficzne z ponad 160 przedindustrialnych społeczności i pokazał, że romantyczna miłość występuje praktycznie w każdej z nich.

Skoro miłość jest uniwersalna, można zapytać, po co właściwie istnieje.
– Miłość ma bardzo wiele funkcji, ale odpowiedź jest prosta, jeśli spojrzymy na nią z metapoziomu, z perspektywy ewolucyjnej. Miłość spaja związki, a te związki mają funkcję biologiczną: obecność obojga rodziców zwiększa szanse na przeżycie dzieci.

W naszym najnowszym projekcie, który prowadzimy z Anną Kusztal, analizujemy już wcześniej przeprowadzone badania dotyczące śmiertelności dzieci w społecznościach przedindustrialnych. Pokazujemy w nich, że od narodzin do mniej więcej 5 lat obecność ojca ma wyraźnie pozytywny wpływ na przeżywalność potomstwa.

Co więcej, w badaniach wśród Hadza, jednej z ostatnich tradycyjnych społeczności myśliwych-zbieraczy, jakie istnieją na świecie, wykazaliśmy związek między miłością a liczbą dzieci. Co ciekawe, to zaangażowanie w związek i jego stabilność miały największe znaczenie dla dzietności.

To wszystko wskazuje na to, że miłość może być biologiczną adaptacją. Nie znaczy to oczywiście, że każda miłość musi prowadzić do rodzicielstwa, ale że w naszej historii ewolucyjnej właśnie w takich warunkach miłość miała największe znaczenie.

A jak to wygląda w dzisiejszym tinderowym świecie?
– Przyjrzyjmy się zjawisku nazwanym przez psychologów paradoksem wyboru. Kiedy klienci wybierają spośród sześciu smaków dżemu, są zadowoleni. Gdy smaków jest znacznie więcej, paradoksalnie ludzie odczuwają mniej satysfakcji z decyzji.

Barry Schwartz, autor głośnej książki „Paradoks wyboru", pokazuje, że ten mechanizm dotyczy nie tylko zakupów, ale też najważniejszych decyzji życiowych. Im więcej opcji, tym większy lęk, że wybraliśmy źle, i tym trudniej w pełni zaangażować się w to, co już mamy. I coraz więcej wskazuje na to, że podobnie jest z miłością.

W jednym z naszych dużych, międzynarodowych badań, które prowadzimy z Martą Kowal – obejmujących blisko 10 tysięcy osób z 45 krajów – pokazaliśmy, że modernizacja sama w sobie sprzyja miłości, a ludzie w krajach bardziej rozwiniętych częściej deklarują bliskość, intymność, namiętność i zaangażowanie, kiedy oceniają swoje związki.

Ale ten efekt nie jest liniowy. Przy bardzo wysokim poziomie modernizacji i indywidualizmu zaczyna się coś psuć. Miłość nie znika, ale staje się mniej intensywna. Być może ludzie coraz częściej koncentrują się na sobie, na własnym rozwoju i autonomii, a coraz trudniej im utrzymać długotrwałe zaangażowanie w relacji.

Do tego dochodzi Internet. W innym naszym badaniu, opartym na reprezentatywnych próbach z 50 krajów, sprawdziliśmy, co zmienia fakt poznania partnera online. Okazuje się, że pary, które poznały się w sieci, przeciętnie deklarują nieco niższą satysfakcję ze związku i słabsze poczucie miłości niż te, które poznały się offline.

Efekty nie są ogromne, ale są systematyczne. Aplikacje randkowe ułatwiają poznanie kogoś nowego, ale jednocześnie wzmacniają poczucie, że „zawsze może być ktoś lepszy", tuż za kolejnym przesunięciem palca.

I chyba dokładnie tu wracamy do dżemów. Kiedy wybór jest nieograniczony, coraz trudniej powiedzieć: „to jest mój smak" i przestać porównywać. Miłość natomiast, jak pokazują nasze badania, najbardziej rozwija się wtedy, gdy oprócz namiętności pojawia się coś mniej efektownego, ale kluczowego: zaangażowanie i decyzja, żeby zostać.

W wielu naszych badaniach ludzie mówią wprost: nie że nie potrafią kochać, ale że coraz trudniej im zdecydować, przy kim zostać. Dlatego być może w obecnych czasach powinniśmy mówić nie tyle o kryzysie miłości romantycznej, ile bardziej o kryzysie zaangażowania.

A miłość to nie tylko emocja, lecz także umiejętność wyboru – i pozostania przy nim.

FOT. KORNELIA GŁOWACKA-WOLF/ AGENCJA WYBORCZA.PL

***dr hab. Piotr Sorokowski**

• psycholog z Uniwersytetu Wrocławskiego specjalizujący się w psychologii kulturowej i ewolucyjnej. Od ponad 20 lat prowadzi interdyscyplinarne badania finansowane przez NCN i MNiSW, spędzając znaczną część życia w tradycyjnych społecznościach Afryki, Amazonii, Papui i wysp Pacyfiku. Jego prace, publikowane m.in. w „Nature, były prezentowane przez BBC, CNN i „New York Times". Corocznie na liście 2 procent najczęściej cytowanych psychologów.

eprasa.pl 74c5a22a0e

COVERY I HOŁDY ROZPYCHAJĄ SIĘ NA RYNKU

• **Widowisko multimedialne „Symphonica" w Hali Łuczniczka w Bydgoszczy**
FOT. TYMON MARKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Koncerty z hitami w coraz bardziej wymyślnej oprawie, cover bandy i wysokobudżetowe tribute acty to rosnąca gałąź branży koncertowej.
A może to chwast, który przeszkadza w rozwoju pięknym kwiatom nowej autorskiej muzyki?

Jarek Szubrycht

Kiedy zacząłem pisać ten tekst, śledzące mnie algorytmy natychmiast zaczęły kusić reklamami. Wystarczy, że kupię jeden bilet na „wieczór pełen emocji", a drugi otrzymam gratis! W programie utwory z repertuaru Metalliki i Nirvany. Nie jestem pewien, w jakim konkretnie opracowaniu, ale będzie fortepian i smyczki, a „w blasku tysiąca świec rockowe melodie zabrzmią jeszcze bardziej poruszająco i intymnie".

Nie jestem pewien, czy chciałbym wysłuchać „Master of Puppets" Metalliki w takiej wersji, zbyt jestem przywiązany do surowego, thrashowego oryginału. „Rape Me" Nirvany, pełnego bólu punkowego utworu o gwałcie, w wytwornej przeróbce na randkę przy świecach nawet nie chcę sobie wyobrażać.

Nie skuszę się, zostanę w domu. Ale są tacy, co pójdą.

Koncerty przy świecach i rock w wersji symfonicznej

Popowe i rockowe hity w świetle świec zabrzmią w najbliższych miesiącach w kilkudziesięciu polskich miastach. Czyżby opary stearyny miały jakieś psychoaktywne właściwości i wzmacniały wrażenia słuchowe?

W tej specyficznej niszy konkuruje ze sobą kilka firm. Występują przeróżne składy – od fortepianu solo po zespół złożony z sekcji rytmicznej, gitarzystów, sekcji smyczkowej i wokalistów.

Dusisz się od dymu? Pomnikowe kompozycje Pink Floyd są dostępne w wersji wysokobudżetowej, rzęsiście oświetlonej sprzętem elektrycznym. To The Australian Pink Floyd Show powracają do nas ze spektaklem porównywalnym z oryginałem.

Można też skromniej – zaprasza rodzimy projekt Another Pink Floyd.

Fani Queen mogą wybierać pomiędzy polskim Queentetem a słowackim Queenshow albo od razu z grubej rury pójść na Queen Symfonicznie. No, chyba że ktoś woli The Beatles Symfonicznie, to też będzie okazja. Pushit będą jeździli po kraju z koncertami Toola, Feuerwasser zagrają Rammsteina, a Zeppelinians... wiadomo.

Triumfalny objazd kraju skończyła właśnie Polish Metal Alliance, supergrupa złożona z metalowych i rockowych wyjadaczy – od braci Cugowskich po muzyków Vadera i Nocnego Kochanka. Powstała jako sposób na lockdownową nudę, by nagrać na odległość piosenkę Iron Maiden. Została entuzjastycznie przyjęta przez publiczność deklarującą pogardę dla pozerów.

– Może właśnie przez szczerość – mówi grający w tym projekcie Marek Pająk, gitarzysta związany między innymi z Vaderem. – Nie jesteśmy typowym cover bandem wymyślonym pod konkretnego artystę i nastawionym stricte na zarobek. Mieliśmy być projektem na lockdown, to fani nas wyciągnęli z internetu i chcieli usłyszeć wykonywane przez nas numery na żywo. Tak dzięki nim gramy live, bo sami nie mieliśmy tego w planach.

Koncerty zapowiada Symphonica, która ma w programie utwory między innymi Metalliki, AC/DC, Iron Maiden i Queen. Cytując tekst promocyjny, to „potęga orkiestry symfonicznej i kultowe rockowe utwory".

Dla kogo to oferta? Czy takie projekty przyciągają fanów rocka, którzy chcą wysłuchać

2 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

swoich ulubionych utworów w nowej oprawie? A może fani muzyki klasycznej szukający nowych wrażeń?

– Te sztuczne podziały tracą sens – mówi Mikołaj Blajda. Dyrygent, aranżer i kompozytor, który stoi za Symphonicą. W tej formule przygotowywał też „Rock of Poland", czyli projekty poświęcone polskiemu rockowi z lat osiemdziesiątych, albo „Electropop Orchestra", czyli projekt z muzyką od Depeche Mode po Jarre'a.

Tłumaczy: – Muzyka, którą gramy w Symphonice, ma już często ponad 40 lat. Przychodzą ludzie, dla których była i wciąż jest ważna. Podobnie jest z odbiorcami symfonii Beethovena czy walców Straussa. Osobiście jestem oddanym fanem muzyki Beethovena, która niesie ze sobą energię i emocjonalność bliską na przykład muzyce grunge. Stąd moja fascynacja również takimi grupami jak Pearl Jam czy Nirvana.

Być może na poziomie samych dźwięków istotnych różnic pomiędzy tymi światami nie ma, ale przecież rock opiera się na kulcie prawdziwości, szczerości, nierozerwalnie wiążącym autora z wykonawcą. Piosenki rockowe nie muszą być skomplikowane, nie muszą być nawet dobre, dopóki działa charyzma osobnika prującego sobie dla nas flaki na scenie, dopóki przestrzeń pomiędzy nutami a tekstem wypełnia on swoją osobowością.

Czy to w ogóle możliwe przy zaangażowaniu zawodowych muzyków, którym po prostu rozdaje się nuty, i przeszkolonych w talent shows wokalistów, którzy dostają przydział do odśpiewania?

Blajda zapewnia: – To bardzo ważne, żeby wykonawca identyfikował się z utworem. W Symphonice nie narzucam repertuaru. Rozmawiam z solistami i szukamy wspólnie takich utworów, w których dobrze się poczują i w których będą autentyczni. Włączyliśmy do programu „Killing in the Name" Rage Against The Machine tylko dlatego, że jest z nami Damian Ukeje. Szczerze mówiąc, nie widzę nikogo innego w Polsce, kto mógłby to wykonać.

Blajda opowiada, że grał rocka jako nastolatek. – Dzisiaj piszę muzykę oratoryjną, teatralną, na składy duże, orkiestrowe i kameralne. Poruszam się po różnych gatunkach w zależności od potrzeb.

Z Toruńską Orkiestrą Symfoniczną przygotowuje projekt Neoclassica. – Będziemy zestawiać ze sobą między innymi Beethovena i Metallicę, Verdiego i Queen, Piazzollę i Rihannę. Wspólnym mianownikiem będzie orkiestra – czysto symfoniczne brzmienie, bez pomocy sekcji i gitar, jedynie klasyczne instrumentarium plus wokaliści – zapowiada.

Cudzesy, covery i Klub 27

Pasożyt nostalgii wysysa życie z kultury popularnej od początku stulecia. Coveromania jest częścią tego procesu.

Wynalazek to nienowy, bo pierwsze śpiewające sobowtóry Elvisa mruczały „Love Me Tender" jeszcze za życia Króla, zmieniła się tylko skala. Zespoły, które kiedyś mogły liczyć na angaż w tancbudach, hotelach i na statkach wycieczkowych, coraz częściej pojawiają się w prestiżowych klubach muzycznych i programach uznanych festiwali, trafiają na afisze filharmonii, a najlepsze z nich samodzielnie wypełniają hale tysiącami widzów. Oczywiście nie jest to jednorodny fenomen. Są cover bandy, które grają cudzesy, by umilić czas gościom lokalu gastronomicznego. I są tak zwane tribute acty – muzyczne odpowiedniki militarnych grup rekonstrukcyjnych. Chodzi o to, by jak najbardziej zbliżyć się do oryginału, nie tylko dźwiękiem, ale także wizerunkiem.

Są jeszcze oparte na coverach spektakle, które mieszają gatunki i opakowują piosenki w jakąś smakowitą anegdotę. To na przykład Klub 27 Symfonicznie: orkiestra akompaniuje polskim piosenkarzom śpiewającym piosenki zagranicznych gwiazd, które zmarły w wieku 27 lat, od Jimiego Hendrixa przez Kurta Cobaina po Amy Winehouse. Ktokolwiek to wymyślił, jest geniuszem zbrodni.

Dzięki cover bandom i tribute actom można usłyszeć na żywo muzykę artystów, którzy już nie żyją albo rzadko do nas przyjeżdżają. W dodatku nie trzeba przepłacać za bilet, a ma się zagwarantowane największe hity.

Tymczasem oryginalny, słynny zespół, jadąc w trasę, promuje swój najnowszy album i może nie mieć w programie miejsca na wszystkie przeboje.

I najważniejsze. Czy publiczność, która może się wyszaleć przy swoich ulubionych piosenkach, zechce pojawić się również na koncercie nieznanego, początkującego zespołu?

Odpowiedzi na to pytanie udzielają już małe kluby na całym świecie. Ich właściciele wiedzą, że cover band weźmie niedużo, a zagwarantuje i frekwencję, i dobrą zabawę. Tymczasem z nowymi zespołami zawsze kłopot, bo nie wiadomo, czy ludzie przyjdą i czy znają więcej niż tę jedną piosenkę, która była viralem na TikToku.

Czy więc popularność cover bandów odciągnie publiczność od oryginalnej muzyki?

Fani Queen mogą wybierać pomiędzy polskim Queentetem a słowackim Queenshow albo od razu z grubej rury pójść na Queen Symfonicznie

– Przeciwnie, klasyki kształtują i pobudzają fanów do aktywności – przekonuje Marek Pająk. – Jeśli zaprosimy do naszego projektu artystę, który przepadł w otchłani czasowej albo jest na innym etapie rozwoju, może się okazać, że wzbudzi zainteresowanie i ludzie zaczną sięgać po jego własną twórczość lub przyjdą na jego koncert.

Przyznaje, że problem powstanie, gdy w Polsce pojawi się 15 takich zespołów jak Polish Metal Alliance, bo „ludzie będą przeładowani". – Ale wierzę, że wybiorą artystów, którzy kierują się pasją i szczerością w przekazie. Niezależnie od tego, czy grają klasyki, czy swój własny repertuar – mówi Pająk.

Między nami beatleświrami

Nie każdy chce lub umie pisać piosenki. Ci, co potrafią, a nie mają formalnego muzycznego wykształcenia, często uczyli się, właśnie grając covery ulubionych zespołów, rozbierając ich kawałki na części składowe, by potem stosować sprawdzone rozwiązania we własnych utworach.

Po co jednak cudzesy grają twórcy, którzy mają udane kariery?

– Polish Metal Alliance to przede wszystkim zabawa oraz czas spędzony z przyjaciółmi. Możemy grać na luzie piosenki, które znamy i lubimy – mówi Marek Pająk.

Podobne przesłanki towarzyszą zespołowi grającemu wyłącznie utwory The Beatles. I nie piszę o bydgoskich Żukiach, ale o Beat Back, „których miłość do muzyki Wielkiej Czwórki jest wręcz zaraźliwa". Grupie z ponad tysiącem (!) koncertów na koncie, od Chin i Japonii po klub Cavern w Liverpoolu, kolebkę Beatlesów.

Janek Samołyk w tym kwartecie gra na gitarze i oczywiście śpiewa. Nie występuje w tribute bandzie, dlatego że nie potrafi sobie napisać piosenek, bo od dobrych kilkunastu lat wydaje autorskie płyty i regularnie koncertuje. Może nie jest wielką gwiazdą, ale nie jest też postacią anonimową.

Zapytany o to, czy Back Beat powstał, bo członkowie zespołu chcieli sobie pograć ulubione kawałki Beatlesów, czy raczej dlatego, że publiczność chce ich słuchać, a na występ oryginału trudno liczyć, Samołyk odpowiada: – Część muzyków tworzących Beat Back miała okazję wystąpić w zespołach tego rodzaju wcześniej. Towarzyszyło temu wrażenie, że coś jednak nie działa, na scenie grały osoby, którym było wszystko jedno, czy w repertuarze jest The Beatles, czy Papa Dance. Dołączyłem do Huberta i Maćka, mimo że dzieli nas 350 km, bo była to niesamowita okazja, by grać te numery z prawdziwymi beatleświrami i pośpiewać na głosy z wokalistami, którzy moim zdaniem są super.

Wysokie stężenie beatleświrowości podobno mierzy się tym, że w repertuarze Back Beat mają nie tylko znane wszystkim hity w rodzaju „Help", ale i piosenki mniej popularne, takie jakie „Got To Get You Into My Life" czy „For You Blue".

A czy na poziomie emocjonalnym prezentowanie własnej twórczości bardzo różni się od odgrywania zespołu, z którego czerpie się inspiracje?

– Nie jesteśmy aktorami i nie odtwarzamy koncertów The Beatles. Mówimy do ludzi po polsku, dzielimy się z nimi własnymi emocjami i poczuciem humoru. Jedynie muzycznie staramy się robić to, co John, Paul, George i Ringo. Chyba nawet nie potrafilibyśmy inaczej interpretować tych piosenek, bo jesteśmy fanami zarażonymi miłością do The Beatles w dzieciństwie przez rodziców, oryginały są mocno zapisane w naszym DNA.

Przez ekrany polskich kin przemknął niedawno film „Song Sung Blue" Craiga Brewera oparty na historii Lightning & Thunder, duetu z Milwaukee grającego covery Neila Diamonda. Żadne to arcydzieło sztuki filmowej, po prostu napędzany muzyką wyciskacz łez. Na tyle sprawnie zrobiony, by żona, która towarzyszyła mi w kinie, oznajmiła po seansie, że wreszcie zrozumiała fenomen tribute bandów.

Ja z kolei zapragnąłem spędzić cały wieczór w towarzystwie piosenek Neila Diamonda, które dzięki filmowi – a więc pośrednio i za sprawą Lightning & Thunder – usłyszałem na nowo i chyba... lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Może właśnie o to w tym wszystkim chodzi?

Niezbadane są ścieżki, którymi muzyka trafia do naszych serc. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ" PORADNIK ZDROWOTNY

Plamy i znamiona na skórze

- Plamy starcze i posłoneczne. Co je powoduje i jak je zwalczać?
- Kurzajki, brodawki, pieprzyki. Jak najbezpieczniej je usuwać?
- Jakie zmiany na skórze powinny być pod kontrolą?

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

MIASTO CISZY

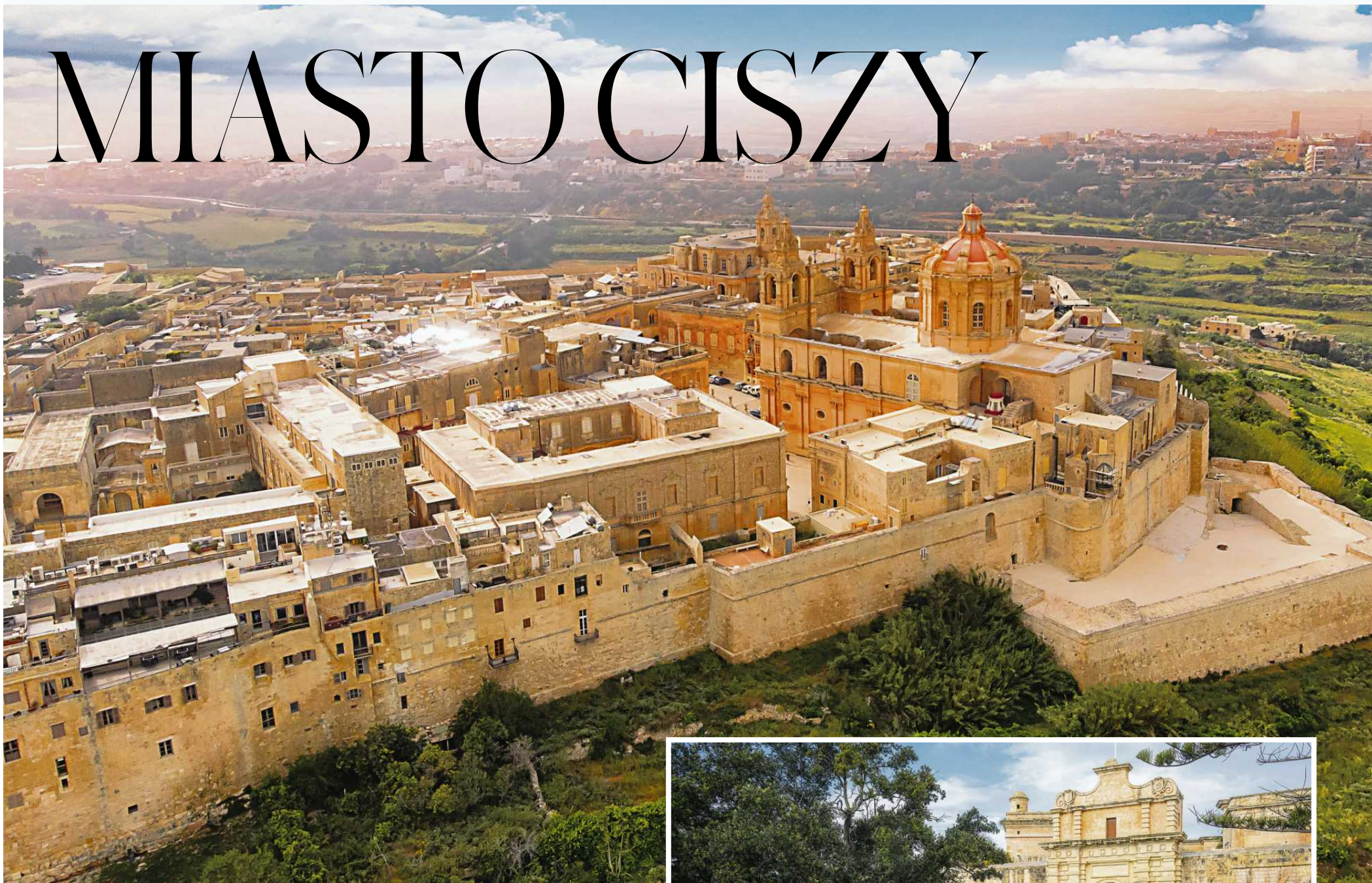

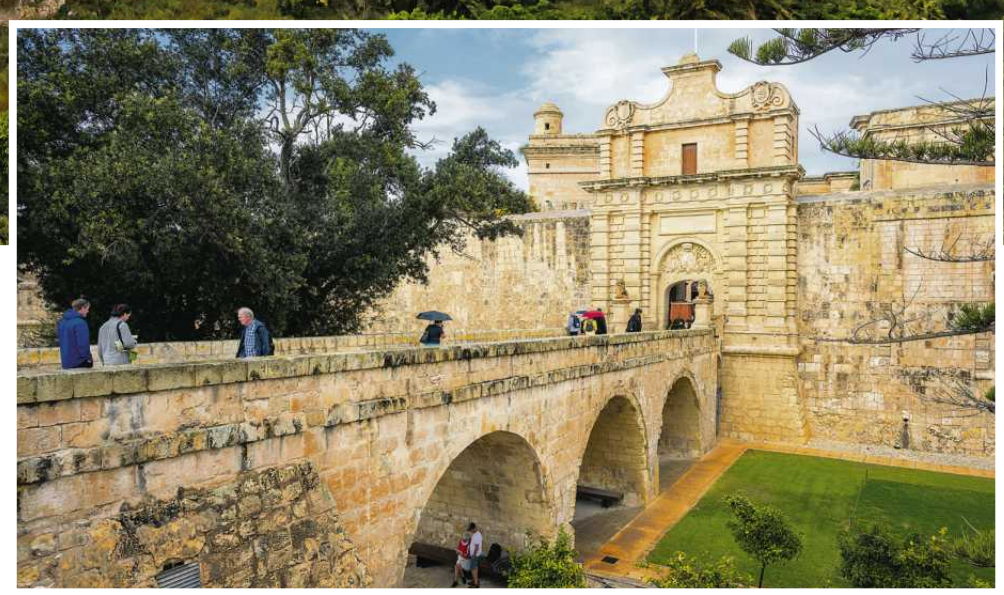

Ma tylko 201 mieszkańców, ale prawie wszyscy to potomkowie arystokratów. Pałace przekazują sobie z pokolenia na pokolenie i nie przepadają za turystami, zwłaszcza wieczorem. Znacie to miejsce z serialu „Gra o tron" – zagrało w nim Królewską Przystań.

Anna Żabińska

Położona na Morzu Śródziemnym Malta to u nas ostatnio popularny kierunek podróży – a zasługa w tym duża między innymi tanich lotów, ale ta wyspa, a właściwie wyspy (trzy największe to Malta, Gozo i Comino) to także bogata historia, unikalne zabytki oraz – co przeczytamy na stronie promującej kraj – trzy tysiące godzin słońca w roku.

Główną atrakcją jest oczywiście stolica kraju Valletta. W październiku zeszłego roku wyróżniona nawet tytułem Najlepszego Miasta na Świecie w plebiscycie prestiżowego brytyjskiego magazynu turystycznego „Condé Nast Traveller". Ale warto też odwiedzić pierwszą stolicę nazywaną Miastem Ciszy, klimatyczną Mdinę. Wędruje się tu labiryntem kamiennych uliczek i podziwia ile zabytków udało się zmieścić na tym kilometrze kwadratowym miejskiej zabudowy.

Spacery i dorożki

Do Mdiny dojedziemy z Valletty autobusem (jak wszędzie na wyspie) lub samochodem w 30-40 minut. Położona na wzgórzu, w centrum wyspy, potężna forteca widoczna jest już z oddali. Miasto jest wyłączone z ruchu – wjechać do niego mogą tylko mieszkańcy, karetki i policja. Przyjezdnym pozostają spacery i dorożki. Z autobusu wysiądziemy więc w Rabacie, ale do głównej bramy kamiennego miasta jest stąd niedaleko.

Historia tego miejsca sięga VIII wieku przed naszą erą. Pierwszą osadę o nazwie Maleth („schronienie") założyli tu Fenicjanie. Dogodna lokalizacja umożliwiała obserwację całej okolicy. W 218 roku wyspę zajęła Republika Rzymska, a rozbudowana osada stała się Melitą. Pod koniec VIII wieku naszej ery władzę przejęli Arabowie (Saraceni), którzy zmienili charakter i układ miasta. Jego główną część otoczyli murami i fosą, nazwali je Mdiną. Rabat miał stanowić jej przedmieścia.

Fortyfikacje jednak nie do końca się sprawdziły. W 1091 roku Saraceni zostali wyparci z wyspy, która odtąd była częścią Królestwa Sycylii. Przez cały czas Mdina pozostawała centrum administracyjnym i pierwszą stolicą Malty. Miasto rozkwitało jako siedziba najmożniejszych rodów, które wznosiły sobie tu piękne pałace. Wiele rezydencji nadal możemy podziwiać przy ulicy Villegaignon.

Zakonnicy wszystko zmienili

Punktem zwrotnym w historii Mdiny było przybycie na wyspę joannitów, czyli kawalerów maltańskich w 1530 roku (nadanie króla Hiszpanii Karola V Habsburga). Rycerze grzecznie przyjęli klucze do miasta, ale nie zamierzali tu zostać. Dysponujący ogromną flotą zakon najpierw przeniósł stolicę na wybrzeże do portu Birgu, a potem zainwestował w budowę Valletty. Wielu mieszkańców również opuściło wtedy kamienne miasto. Mdina zaczęła tracić na znaczeniu.

Ale miała swoje chwalebne pięć minut w czasie wielkiego oblężenia Turków, które dla Maltańczyków jest jak dla nas bitwa pod Grunwaldem. W 1565 r. sułtan Sulejman II Wspaniały postanowił rozprawić się z joannitami, którzy przeszkadzali mu w opanowaniu tej części Morza Śródziemnego. Oblężenie się przedłużało, tracił cierpliwość, więc rozkazał wycofać część oddziałów z wybrzeża i niespodziewanie zaatakować... Mdinę. Fortecy nie miał, kto bronić. Zapasów prochu i amunicji nie było, a większość mężczyzn walczyła na północy. Przed zagładą uratował Mdinę spryt dowódcy obrony miasta.

Kazał wszystkim, którzy mu zostali: kobietom, nastolatkom i okolicznym chłopom przebrać się w żołnierskie mundury, a potem wysłał ich na mury, żeby strzelali, robili tłum i hałas. Turcy byli zaskoczeni, bo spodziewali się łatwego łupu, więc zarządzili odwrót. Bezbronne miasto odetchnęło z ulgą.

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

2 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

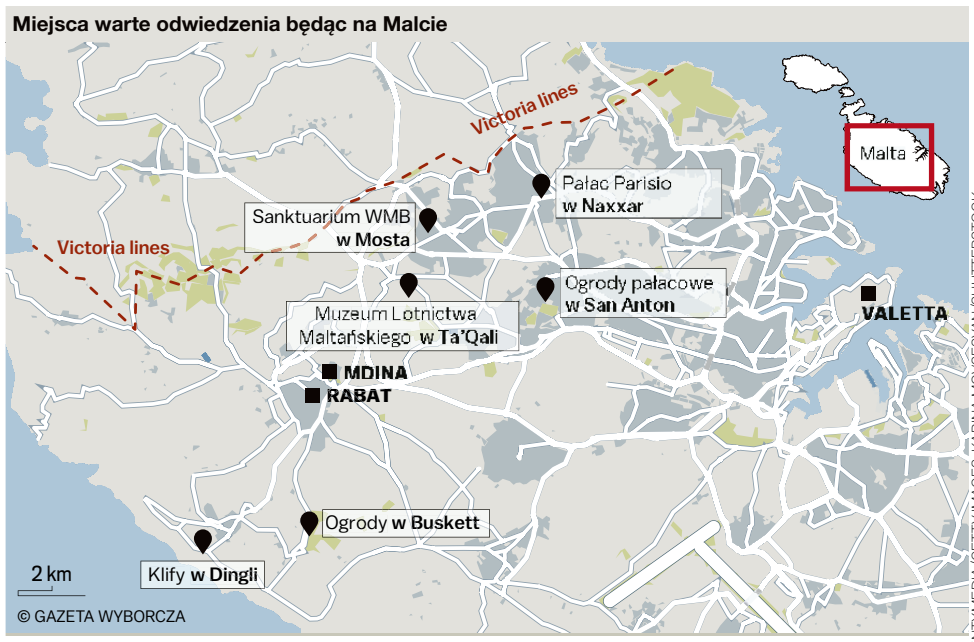

FOT. PARILOV/SHUTTERSTOCK; ENDER BAYINDIR/SHUTTERSTOCK; IZZET KERIBAR/GETTY IMAGES; ASCENTXMEDIA/GETTY IMAGES; KARINA MOVSESYAN/SHUTTERSTOCK

◀◀ **Mdina. Miasto-twierdza wciąż otoczone potężnymi murami, leży na wzgórzu w centrum wyspy. Do 1530 r. była stolicą Malty**

▶▶ **Kamienny most przerzucony nad fosą i brama zbudowana w 1724 r. które „zagrały" w „Grze o tron"**

▶ **Rabat. Piękne kolorowe wykusze są charakterystyczne dla tutejszej architektury.**

▶ **Katedra św. Pawła w Mdinie. Jedna z płyt nagrobnych, które tworzą imponującą posadzkę. Po tej świątyni chodzi się więc jak po cmentarzu**

▶ **Mdina. Kołatki i kolorowe drzwi to także charakterystyczny element dekoracyjny. Są wszędzie, w różnych kształtach i rozmiarach**

Przez lata Mdina coraz bardziej się wyludniała, dlatego zyskała przydomek Miasta Ciszy. W tej chwili za kamiennymi murami mieszka na stałe już tylko 201 osób (dane z 2025 roku), a na ścianach wiszą tabliczki z prośbą o uszanowanie prywatności i spokoju mieszkańców. W ciągu dnia turyści nie zawsze się do tych próśb stosują, ale rankiem i wieczorami rzeczywiście panuje tu kompletna cisza.

Hoteli tu jest niewiele, a mieszkania i domy raczej nie są wystawiane na sprzedaż. Rodziny maltańskich arystokratów swoje pałace i posiadłości przekazują sobie z pokolenia na pokolenie.

Wszystkie drogi labiryntu

Zwiedzanie miasta zaczyna się od kamiennego mostu i monumentalnej głównej bramy, którą natychmiast rozpoznają fani „Gry o tron". W serialu to było wejście do Królewskiej Przystani (choćby scena przybycia Neda Starka), ale szybko się przekonamy, że stolicę Westeros zagrało więcej urokliwych zakamarków Mdiny.

Barokową bramę wybudowano w XVIII wieku na polecenie wielkiego mistrza zakonu Antonia Manoela de Vilheny, zastąpiła rozbudowany średniowieczny system wejścia do miasta. Nad ozdobnym portalem znajdują się pomieszczenia dla straży. Nad wejściem umieszczono herby miasta i de Vilheny, na wewnętrznej stronie znajdują się płaskorzeźby przedstawiające trójkę świętych związanych z miastem – św. Pawła, św Publiusza oraz św. Agatę.

Po prawej stronie za bramą zobaczymy piękny Palazzo Vilhena. W XIX i XX wieku pełnił funkcję szpitala i sanatorium, obecnie mieści się w nim Narodowe Muzeum Historii Naturalnej z bogatymi zbiorami minerałów, fauny i flory z archipelagu Wysp Maltańskich. Pod nim zas znajduje się Muzeum Lochów, które poświęcone jest torturom i egzekucjom z minionych epok.

Warto powłóczyć się po kamiennym labiryncie uliczek. Nie zgubimy się, bo i tak wszystkie drogi prowadzą do murów miejskich. W Mdinie zobaczymy wiele pięknych pałaców z piaskowca, kolorowych wykuszy i fikuśnych kołatek do drzwi. Podobno im bardziej pomysłowe i misterniej zdobione, tym gospodarz zamożniejszy. Można też od razu podążyć ulicą Villegaignon prowadzącą bezpośrednio do katedry.

Święty Paweł, rozbitek

Katedra Świętego Pawła to formalnie najważniejszy kościół na Malcie, co może zaskoczyć każdego, kto odwiedził wcześniej przebogatą Konkatedrę Świętego Jana w Valletcie. Barokową świątynię w Mdinie wzniesiono w latach 1697-1702, a zaprojektował ją maltański architekt i rzeźbiarz Lorenzo Gafa. Budowla zwieńczona kopułą powstała na miejscu starej katedry, którą w 1683 roku zniszczyło potężne trzęsienie ziemi.

Wnętrze robi wrażenie. Posadzkę kościoła zdobią wykonane z kolorowego marmuru płyty nagrobne: u świętego Jana w ten sposób pochowani są rycerze, tutaj spoczywają duchowni. Niektóre płyty są niezwykle finezyjne. Ściany i sklepienie pokrywają freski i złocone rzeźbienia. Najważniejsze jest tu uratowane z poprzedniej katedry malowidło ścienne Mattii Pretiego „Rozbicie statku świętego Pawła".

To ilustracja opowieści o tym, jak święty znalazł się na wyspie. Według Dziejów Apostolskich (27-28) jego statek wpadł w burzę i rozbił się u wybrzeży Malty w 60 roku naszej ery. Ugościł go w swoim pałacu namiestnik rzymski Publiusz. W tym czasie jego ojciec zachorował i nikt nie mógł mu pomóc. Święty Paweł uzdrowił go modlitwą i dotykiem.

Legenda głosi, że to wtedy Maltańczycy nawrócili się na chrześcijaństwo, a Publiusz został pierwszym biskupem Malty (później też świętym). Katedrę wybudowano w miejscu jego pałacu. A święty Paweł zamieszkał w grocie w Melicie, na terenie dzisiejszego Rabatu.

Na fasadzie budowli są dwa zegary, ale tylko jeden wskazuje właściwą godzinę. To celowe i często zdarza się na wyspie. Drugi zegar ma zmylić diabła i złe duchy, żeby nie zakłócały mszy.

• **Klify Dingli – jedna z najpiękniejszych tras spacerowych na wyspie**

2 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

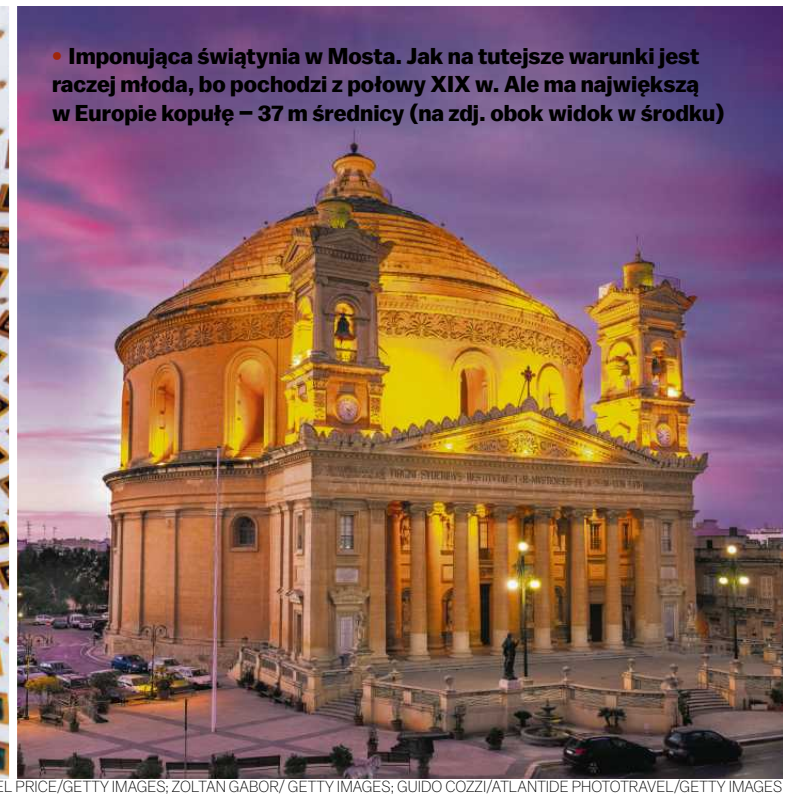

• Imponująca świątynia w Mosta. Jak na tutejsze warunki jest raczej młoda, bo pochodzi z połowy XIX w. Ale ma największą w Europie kopułę – 37 m średnicy (na zdj. obok widok w środku)

FOT. JOE DANIEL PRICE/GETTY IMAGES; ZOLTAN GABOR/ GETTY IMAGES; GUIDO COZZI/ATLANTIDE PHOTOTRAVEL/GETTY IMAGES

O jedną zasłonę za daleko

Na placu katedralnym są jeszcze dwa budynki warte uwagi – barokowy pałac, w którym mieści się Muzeum Katedralne (pierwotnie seminarium), i neogotycka Casa Gourgion. Wejście do muzeum zapewni nam bilet do katedry. W środku poza sztuką sakralną obejrzymy między innymi drzeworyty i miedzioryty Albrechta Dürera, malarstwo Francisca Goi oraz ryciny Rembrandta.

Katedra to niejedyna warta odwiedzenia świątynia w Mdinie. Trzeba zajrzeć też do Kościoła Zwiastowania Pańskiego i mieszczącego się obok Klasztoru Karmelitów.

W kościele znajdują się niezwykłe malowidła wewnątrz kopuły oraz na chórze. Po wygnaniu joannitów, w trakcie okupacji francuskiej w latach 1798-1800, podobnie jak wiele innych miejsc na wyspie, świątynia została splądrowana. Francuzi zbierali kosztowności i wszystko, co wartościowe, żeby sfinansować kolejne wojny Napoleona. Podobno, gdy żołnierze wrócili po adamaszkowe zasłony, Maltańczycy powiedzieli „dosyć!" – zamknęli drzwi kościoła, a jakieś chłopiec wszedł na dzwonnicę, żeby wszcząć alarm. To był początek powstania przeciwko Francuzom.

Ciasto czekoladowe na dachu miasta

Wśród pałaców Mdiny średniowieczny Palazzo Falson jest tym, którego absolutnie nie można pominąć. Wybudowana w XIII wieku rezydencja to 17 pokoi i pomieszczeń, które można obejrzeć: to m.in. zbrojownia, skarbiec, jadalnia, kuchnia, biblioteka, sypialnie właścicieli i obsługi. Wszystko wygląda tak, jakby jego mieszkańcy tylko na chwilę wyszli z domu.

Na dachu znajduje się kawiarnia z widokiem na miasto. A widok na prawie całą wyspę zapewni natomiast znajdujący się w sąsiedztwie bastion i popularna restauracja Fontanella Tea Garden (kultowe ciasto czekoladowe!). Od razu dodam, że smacznie zjecie też w Coogi's Restaurant.

W Mdinie można zobaczyć pokazy audiowizualne o historii miasta i wyspy. Dostępne są trzy: The Knights Of Malta, The Mdina Experience i Tales of the Silent City. Najciekawszy jest pokaz o rycerzach. Na początku oglądamy film o powstaniu zakonu, a potem poznajemy kolejne kamienie milowe w jego historii. Oczywiście skupia się na związkach joannitów z Maltą.

Joannitów droga na wyspę

Przypomnijmy, jakie były te związki. Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Świętego Jana z Jerozolimy, z Rodos i z Malty to katolicki zakon rycerski założony 1070 r. przez charyzmatycznego błogosławionego brata Gerarda. Początkowo było to nieformalne bractwo przy Szpitalu Świętego Jana Chrzciciela, ale w czasie pierwszej krucjaty przekształciło się w zakon, który w 1113 r. został uznany przez papieża. Rycerze pilnowali bezpieczeństwa wewnętrznego w Królestwie Jerozolimskim, budowali szpitale i opiekowali się pielgrzymami.

Byli związani trzema ślubami: ubóstwa, czystości, posłuszeństwa. Ich motto to: *Tuitio Fidei et Obsequium Pauperum*, czyli wzmacniać wiarę, bronić i dawać jej świadectwo, a także służyć biednym i chorym.

Po upadku ostatniego bastionu chrześcijaństwa na Ziemi Świętej zakon osiadł najpierw na Cyprze, potem na Rodos, a w 1530 roku na Malcie. Dzięki wspaniałej flocie mogli bronić Zachodu, walczyć z piratami i prowadzić handel morski.

Na Malcie przez dwa kolejne stulecia zakon zajmował się rozwojem medycyny i opiekował się chorymi w zgodzie z pierwotnym charyzmatem. W 1798 roku wyrzucił ich stąd Napoleon – dostali tylko kilka godzin na wyjazd, dlatego większość skarbów zostawili na wyspie.

A co było dalej? O tym wystawa niewiele powie. Kilka lat temu w wywiadzie dla „Wyborczej" opisał to brat Matthew Festing, wówczas wielki mistrz (zmarł w 2017 roku).

– Od 1798 roku zakon nie ma własnego terytorium, ale jesteśmy suwerennym podmiotem prawa międzynarodowego uznanym przez ponad sto państw. Mamy też stałego obserwatora przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nawiązując stosunki dyplomatyczne ze zgromadzeniem maltańskim, wspólnota międzynarodowa uznaje naszą suwerenność – niezależność od wszystkich innych krajów, organizacji międzynarodowych i gospodarczych potęg. Nasza sieć dyplomatyczna jest świadectwem tej suwerenności, a także instrumentem służącym naszym programom lekarskim, społecznym i humanitarnym.

Zakon Kawalerów Maltańskich ma teraz siedzibę w Rzymie, ale nadal wiele uroczystości i zgromadzeń odbywa się na Malce, bo od 2001 roku władze republiki pozwoliły mu korzystać z części fortu w St. Angelo w Birgu.

Z miasta do miasta

Po zwiedzeniu Mdiny warto trochę czasu spędzić w sąsiednim Rabacie.

Przy murach między Mdiną a Rabatem w suchej fosie wokół miasta urządzono przyjemny park: Ogrody Howarda. Nazwano je tak na cześć zmarłego w 1925 r. pierwszego premiera Malty Josepha Howarda.

Trochę dalej znajduje się Dom Rzymski. To jedna z niewielu pozostałości po czasach punicko-rzymskich. W ruinach możemy obejrzeć dobrze zachowane mozaiki, posągi i inne artefakty, a także wystawę multimedialną pokazującą, jak wyglądało życie na wyspie dwa tysiące lat temu.

Ale Rabat słynie przede wszystkim z tego, co znajduje się nie na powierzchni, ale pod nią. Podziemia Kościoła św. Pawła kryją grotę, w której mieszkał i nauczał – obecnie miejsce pielgrzymek. Świątynię nad nią wzniesiono pod koniec XVII wieku. W tej chwili do groty wchodzi się przez Muzeum Wignacourta (barokowa rezydencja kapelanów joannitów, w której można obejrzeć wystawę o zakonie maltańskim, sztuce i historii Malty oraz schrony z czasów II wojny światowej).

Kolejną podziemną atrakcją Rabatu są katakumby. Pod główną ulicą znajdują się dwa kompleksy z IV wieku częściowo udostępnione do zwiedzania. Katakumby św. Pawła to rozległa, licząca 2 tys. metrów kw., sieć tuneli, ciemny labirynt mieszczący groby sprzed 1700 lat.

Katakumby św. Agaty są natomiast oświetlone i ogląda się je wyłącznie z przewodnikiem. Legenda mówi, że święta ukrywała się tu w III wieku, próbując uciec przed rzymskimi prześladowcami (zginęła śmiercią męczeńską w Katanii). Ściany kompleksu pokrywają barwne, chociaż częściowo uszkodzone, freski pochodzące z lat 1200-1480.

Do tej pory odkryto w sumie 3 tys. km kw. katakumb rozciągających się pod miastem, ale prawdopodobnie korytarzy jest tu więcej.

Na zwiedzanie Mdiny i Rabatu trzeba poświęcić co najmniej jeden dzień, choć lepiej mieć do dyspozycji dwa i dokładniej rozejrzeć się po okolicy.

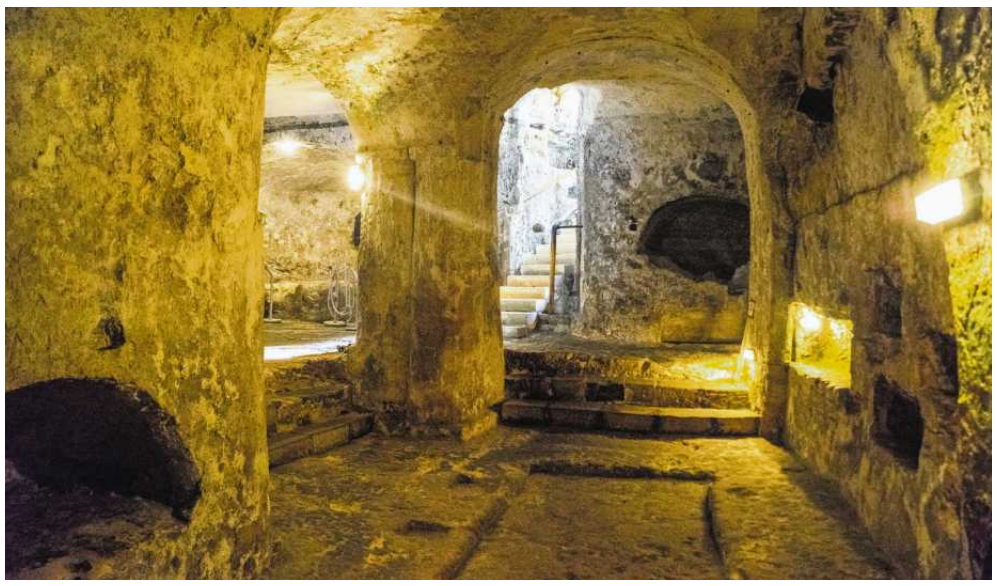

• Rabat w pobliżu Mdiny jest jak podziemne miasto. Jest tu grota, w której podobno mieszkał i nauczał święty Paweł oraz sieć tuneli i labiryntów czyli katakumby św. Pawła i św. Agaty

Ciekawe miejsca w okolicy Mdiny

• **Klify Dingli** – trasa spacerowa wzdłuż wybrzeża gwarantująca piękne widoki (można zobaczyć stamtąd najwyższy szczyt wyspy Ta'Dmejrek, 253 m n.p.m.). Warto przyjechać tu, by podziwiać zachód słońca.

• **Ogrody pałacowe San Anton** – pałac jest oficjalną siedzibą prezydenta zamkniętą dla zwiedzających. Na jego tyłach znajduje się jednak niewielki, piękny ogród pełen subtropikalnej roślinności.

• **Pałac Parisio w Naxxar** – okazałą budowlę wzniesiono w latach 1898-1906. Splendoru przydają rezydencji wymyślne stiuki, malowidła ścienne, meble lombardzkie, kandelabry i marmury, dzięki czemu zyskała miano Małego Wersalu.

• **Sanktuarium Wniebowzięcia Matki Bożej w Moście** – imponujący kościół z XIX wieku zdobi niezwykła kopuła (37 m średnicy, jedna z największych w Europie). Podobno do jej budowy nie użyto rusztowań – kładzione kolejne warstwy murarki utrzymywały się bez podparcia.

• **Muzeum Lotnictwa Maltańskiego** – muzeum znajduje się **w Ta'Qali**, na terenie należącym dawniej do brytyjskich sił powietrznych. W trzech hangarach można obejrzeć rzadkie i prestiżowe samoloty, przede wszystkim z czasów drugiej wojny światowej oraz okresu powojennego.

• **Victoria Lines** – nazwana na cześć królowej Wiktorii dwunastokilometrowa linia fortyfikacji obronnych określana także mianem Wielkiego Muru. Część zabudowań nadal używana jest przez Armię Maltańską do magazynowania broni.

• **Ogrody Buskett** – jeden z nielicznych gęsto zadrzewionych terenów na wyspie. Inne lasy chętnie wycinano, ale nie ten. Rycerze utworzyli tu dla siebie rezerwat łowiecki. Na skraju ogrodu stoi Pałac Verdala, czyli letnia rezydencja prezydenta Malty. ●

2 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

ADAM MICHNIK POLECA

BRÓDKA, BRZUCH I DONOSY

Były niemiecki komunista o Walterze Ulbrichcie:
– Miał w sobie coś z zepsutego księdza, który potajemnie odwiedza podejrzane miejsca

• Przyjęcie z okazji powrotu reprezentacji NRD z olimpiady w Meksyku w 1968 r. W sombrerach: Walter Ulbricht (po lewej), przewodniczący Rady Państwa NRD i sekretarz generalny SED, oraz Erich Honecker – już wkrótce jego następca. W środku: Heinz Schübel, członek MKOl i szef Komitetu Olimpijskiego NRD, oraz Rudi Hellmann, szef Wydziału Sportu KC SED FOT. ADN-BILDARCHIV/ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

Wolfgang Templin*

Zdecydowana większość niemieckich historyków koncentrowała się przez długi czas na rozwoju Republiki Federalnej i prehistorii Niemiec jako całości aż do 1945 roku. Upadek Republiki Weimarskiej, krwawa historia narodowego socjalizmu aż do wybuchu II wojny światowej, Holokaust i klęska wojenna stały się tematami intensywnie badanymi, wywołując poważne debaty, których kulminacją był „spór historyków" z lat 80. XX wieku. Prehistoria i historia drugiego państwa niemieckiego, NRD, zawsze pozostawały jedynie dodatkiem, egzotyczną dyscypliną.

Konserwatywni historycy postrzegali decyzję Konrada Adenauera i CDU o integracji z Zachodem jako część historii sukcesu RFN. Przez wielu innych historyków, którzy czuli się związani z późniejszą polityką wschodnią SPD i krytycznym nastawieniem ruchu studenckiego z 1968 roku, NRD była generalnie przedstawiana w znacznie łagodniejszym świetle. Pozostała państwem satrapów, którego mieszkańcy byli postrzegani albo jako nieszczęśni rodacy, których należało wspierać, albo jako uczestnicy eksperymentu społecznego, któremu dano nawet szansę na przyszłość.

Adenauer i jego zwolennicy wypowiadali się lekceważąco o strefie sowieckiej i enerdowskim reżimie, za którego granicami zaczynała się Syberia, i nie chcieli nawet wymieniać nazwy NRD. Dwa odmienne niemieckie podsystemy były ściśle powiązane poprzez stosunki gospodarcze, wymianę kulturalną, tajną dyplomację polityczną i działalność wywiadowczą.

Dla wielu obywateli RFN, którzy nie mieli osobistych powiązań z NRD, rzeczywistość polityczna i społeczna tego drugiego państwa była naznaczona stereotypami. Dotyczyło to również jego przedstawicieli.

Piskliwy głos i wygląd Waltera Ulbrichta (szefa enerdowskiej partii komunistycznej, SED, w latach 1950-71) przyczyniły się szybko do powstania bonmotu: „Bródka, brzuch i okulary to nie wola ludu". Później stał się on synonimem stwierdzenia, że nikt nie miał zamiaru budować muru berlińskiego. Erich Honecker (ostatni szef SED, w latach 1971-89) przeszedł do historii dzięki swej przepowiedni, że mur będzie stał jeszcze sto lat.

Cztery dekady istnienia NRD i kilka lat jej prehistorii jako sowieckiej strefy okupacyjnej od 1945 roku kojarzą się przede wszystkim z dwoma nazwiskami, Ulbrichta i Honeckera, który przejął po nim władzę w SED i rządził przez ostatnie niemal 20 lat NRD.

Bez bliższego przyjrzenia się obu tym ludziom, w tym ich najbliższym zwolennikom oraz przeciwnikom, nie można jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czym tak naprawdę była dyktatura NRD.

•

Istnieje wiele powodów, dla których ani Ulbricht, ani Honecker przez długi czas nie doczekali się porządnych biografii. Były co najwyżej hagiografie albo prace pełne nienawiści.

Biograficzne podejście, które oddaje sprawiedliwość tajemnicy sukcesu Waltera Ulbrichta, jego charakterowi i historycznemu znaczeniu, stało się udziałem historyka Ilko-Saschy Kowalczuka. Klucz do tego leży w jego własnej biografii. Urodzony w 1967 roku Ilko, człowiek o ukraińskich korzeniach, dziecko późnej NRD, zbuntował się wcześnie po krótkim okresie afirmacji NRD. Nie pozwolono mu uczęszczać do szkoły średniej, pracował jako portier, a świadectwo ukończenia takiej szkoły otrzymał w szkole wieczorowej.

W tym czasie obracał się w kręgach dysydentów z Berlina Wschodniego, ale nie chciał być postrzegany jako opozycjonista. Marzył o tym, by zostać historykiem, ale udało mu się to dopiero w 1990 roku, kiedy studiował na Uniwersytecie Humboldta.

Był współzałożycielem Niezależnego Stowarzyszenia Historyków. Najbardziej znani członkowie tej grupy, Stefan Wolle i Armin Mitter, nadzorowali otwarcie ar-

eprasa.pl 74c5a22a0e

chiwów Stasi i opublikowali pierwsze wydania zawartych w nich dokumentów.

Wolle napisał trzytomową historię życia codziennego i rządów w różnych okresach NRD. Daleki od stereotypów, z sarkazmem i humorem opisywał „idealny świat dyktatury", w którym większość mieszkańców przekształcała się z początkowo niechętnych w coraz bardziej chętnych poddanych. Książki Wollego zyskały ogromną popularność (zostały przetłumaczone także na polski).

Kowalczuk podszedł do tematu inaczej i za pomocą słowa „Endspiel" [końcowa rozgrywka, finał], metafory zaczerpniętej z języka piłkarskiego, opisał ostatnie lata istnienia NRD i wewnętrzne wydarzenia, które doprowadziły do upadku reżimu.

Prawdopodobnie nie przypuszczał wówczas, że zostanie znakomitym biografem jednego z najważniejszych niemieckich polityków XX wieku. Tak właśnie klasyfikuje Ulbrichta w swej biografii.

Ponad dziesięć lat po wydaniu pracy „Endspiel" i innych książek, które poświęcone były przede wszystkim aparatowi represji w NRD oraz relacjom między partią a Stasi, Kowalczuk zajmował już uznane miejsce w gronie badaczy NRD, jednak pozostawał akademickim outsiderem.

Gdy rozeszła się wieść, że to właśnie on pracuje nad biografią Ulbrichta, nie tylko uznani historycy zajmujący się historią najnowszą zareagowali ze zdumieniem i niepewnością. Wielu znajomych i przyjaciół Ilka komentowało między sobą, że chyba kompletnie oszalał, biorąc za temat tego obleśnego typa. Byli w błędzie i kompletnie go nie zrozumieli.

Pierwszy tom ukazał się w 2023 roku: „Walter Ulbricht, niemiecki komunista (1893-1945)", drugi w 2024: „Walter Ulbricht, komunistyczny dyktator (1945-1973)". Każdy tom zawiera prawie tysiąc stron i tysiące przypisów.

Każdy, kto przebrnął przez tysiąc stron samego tomu pierwszego i dobrze zapamiętał to, co przeczytał, może być pewien, że zda celująco każdy egzamin z historii Komunistycznej Partii Niemiec, KPD, i Międzynarodówki Komunistycznej.

•

Polski czytelnik znajdzie tu punkty styczne z polską historią, zobaczy wspólne z niemieckimi korzenie, sięgające XIX wieku.

Walter Ulbricht urodził się w 1893 roku w Lipsku, w rodzinie rzemieślników. Nie w najbardziej znanej dzielnicy prostytutek, jak donosili niedbali biografowie, lecz w pobliskiej, typowo mieszczańskiej dzielnicy mieszkalnej.

W tym czasie powstała Polska Partia Socjalistyczna, pod przywództwem młodego Józefa Piłsudskiego. Już w połowie XIX wieku nurt socjalistyczny dotarł z Europy Zachodniej do Rosji i Polski. Tacy myśliciele jak Bolesław Limanowski i Kazimierz Kelles-Krauz łączyli postulat sprawiedliwości społecznej z żądaniem suwerenności narodowej.

W przeciwieństwie do internacjonalizmu radykalnej polskiej lewicy skupionej wokół Róży Luksemburg czy Juliana Marchlewskiego, myślenie i działanie działaczy PPS-u skierowane było ku możliwości reform. Byli oni gotowi użyć przemocy jedynie przeciwko carskiemu systemowi terroru.

Na przełomie wieków Piłsudski utrzymywał bliskie kontakty z Wilhelmem Liebknechtem, Augustem Beblem i innymi wybitnymi niemieckimi socjalistami reformatorami. Szczególnie bliskie były jego relacje z Jeanem Jaurèsem, przywódcą socjalistów francuskich, zamordowanym tuż przed wybuchem I wojny światowej.

Socjalistyczno-republikańskie myślenie Jaurèsa wywarło silny wpływ na Piłsudskiego i miało przyczynić się do powstania jednego z filarów definiujących strukturę państwową II RP. Limanowski pozostał wierny socjalistycznym ideałom, odegrał ważną rolę w budowie niepodległej Polski i w wieku niemal stu lat zasiadał w polskim Senacie.

•

Ulbricht już jako dziecko zbierał pieniądze dla strajkujących tkaczy i otrzymał od ojca w prezencie „Manifest Komunistyczny". Ukończył praktykę stolarską, a po wybuchu I wojny znalazł się w grupie Spartakus skupionej wokół Luksemburg i Liebknechta. Pod koniec wojny uczestniczył w konferencji założycielskiej KPD; został współzałożycielem KPD w Saksonii.

Jedna lekcja utkwiła mu w pamięci podczas walk frakcyjnych w socjaldemokracji: komuniści nigdy nie zdołają samodzielnie zrealizować swoich radykalnych planów przewrotu społecznego. Potrzebowali poparcia socjaldemokratów, musieli też zorganizować się na arenie międzynarodowej.

Młody Ulbricht notował: „Musimy włączyć się w tworzenie takiej demokracji społecznej, która będzie z nami współpracować". Ta strategia odnosiła się w jeszcze większym stopniu do o wiele słabszych komunistów w Polsce.

Honecker próbował naśladować Ulbrichta, ale nigdy nie dorównywał swojemu panu. Także w donosach

30. XX wieku. Gdyby nie ich eliminacja lub ustąpienie, Ulbricht prawdopodobnie nie dotarłby na szczyt.

•

O skali antypatii i nienawiści, jaką budził, świadczy opis jego byłego towarzysza, a później dysydenta Gustava Reglera:

„Miał twarz sztywną od złości. Świadomy swojej brzydoty, próbował ją złagodzić symboliczną leninowską brodą wokół tłustego podbródka – co jednak nie zmieniało jego drobnomieszczańskiego wyglądu, pełnego samozadowolenia.

Spostrzegawcze prawe oko i półotwarte lewe zasłaniały okulary nauczyciela. Jego czoło, poprzecinane jałowymi bruzdami myśli, stało się wyższe. Miał w sobie coś z zepsutego księdza, który potajemnie odwiedza podejrzane miejsca. Wszystko to trąciło niekompetencją i brakami w wykształceniu, czego nie dało się zamaskować. Krótko mówiąc, był profesorem brudnych rewolucyjnych gierek, mylącym swoje intrygi z makiawelicznym kunsztem politycznym".

Portret łączący głęboką niechęć i groteskowe lekceważenie postaci Ulbrichta. Bo odznaczając się wyłącznie cechami opisanymi przez Reglera, Ulbricht nie mógłby stać się później odnoszącym sukcesy mężem stanu.

Co wyróżniało tego człowieka spośród jego licznych towarzyszy?

Był odwiecznym entuzjastą sportu, nie palił ani nie pił. Jako mąż stanu na przyjęciach wypijał co najwyżej kieliszek szampana. Był zagorzałym zwolennikiem porządku, dyscyplinę cenił ponad wszystko. Kiedy jego towarzysze pozwalali, by tajne spotkania przeradzały się w nieokiełznane pijaństwo, potrafił stracić panowanie nad sobą. Wyróżniało go silne poczucie więzi rodzinnych, którego nie posiadali jego towarzysze.

W przypadku Ulbrichta decydujące były inne jeszcze cechy, którymi musiał się odznaczać działacz komunistyczny i którymi przewyższał innych: to jego twardość i zdolność do systematycznych denuncjacji i wyrównywania rachunków.

Kowalczuk wielokrotnie staje twarzą w twarz z własną biografią. Oto wspomnienie z wczesnego dzieciństwa.

Widzi swojego ojca, Ilka Bohdana Kowalczuka, oddanego towarzysza SED; mimo to syn czuje się zobowiązany do pamięci o ojcu jako ukraińskim patriocie. Sporządza folder ze zdjęciami Ulbrichta. Rodzina stara się, by trafił on do Ulbrichta, tak by dziewięcioletni chłopiec mógł mu przesłać życzenia.

Te wspomnienia towarzyszą Kowalczukowi przez wszystkie fazy jego przemiany ideowej, późniejszego odrzucenia i dystansu, konfrontacji z ojcem; zbiera wszystko, co wpadnie mu w ręce, na temat Ulbrichta, a później Honeckera, i historii SED.

Wszystko, czego Ilko początkowo dowiaduje się o Ulbrichcie, ujawnia jego największy problem jako historyka. Funkcjonariusz, a później przewodniczący KPD, był mistrzem w ukrywaniu swojego prawdziwego życia. Ujawniał tylko to, co miało odpowiadać jego legendzie. Prowadził podwójne życie; więcej, to było nawet wiele żyć.

Kowalczuk przekopał się przez sterty dokumentów, ksiąg adresowych czy rejestrów mieszkańców. Gdy w końcu zgłębił skreślone odręcznie notatki Ulbrichta, pojawiły się nowe dokumenty, gdzie Ulbricht posługiwał się stenografią, a nawet szyfrem.

Ostrożność i nieufność były fundamentalnymi cechami tego człowieka; uważał to za niezbędne do przetrwania. Jego styl życia to odzwierciedlał. Oprócz oficjalnego adresu – w końcu jako poseł do Reichstagu z ramienia KPD [przed dojściem Hitlera do władzy] był osobą publiczną – zazwyczaj miał jeszcze kilka tajnych mieszkań. W miarę możliwości musiały one znajdować się na parterze i mieć wiele wyjść. Jeśli ktoś niezapowiedziany dzwonił do drzwi, Ulbricht nigdy sam ich nie otwierał.

Zdolność do systematycznych denuncjacji i wyrównywania rachunków - oto cecha, którą musi się odznaczać komunista. Ulbricht zdecydowanie przewyższał tu innych towarzyszy

Kowalczuk wkłada wielki wysiłek w prześledzenie drogi Ulbrichta na szczyt. Czyniąc to, musi zmagać się z pewnym dylematem: Ulbricht wielokrotnie „znikał" w łonie partii. Inni komuniści – wiele z nich to kobiety – posiadali indywidualność i charyzmę, wiedli pełne przygód życie polityczne i osobiste. Dotyczyło to ikon ruchu, takich jak Róża Luksemburg i Clara Zetkin, czy kochanka Lenina Inessa Armand.

Karl Liebknecht, który tak jak Róża Luksemburg, został brutalnie zamordowany w styczniu 1919 roku, czy Karl Radek przyciągali swoich współczesnych i potrafili ich inspirować. Ernst Thälmann, mimo że brakowało mu intelektu, działał jak magnes na masy. Nie wspominając o Hansie Münzenbergu, szefie tajnego aparatu KPD, i Willim Kippenbergerze, „carze czerwonej prasy" i ekstrawaganckim szefie największego komunistycznego imperium wydawniczego. Obaj byli zdecydowanymi przeciwnikami Ulbrichta w latach

Strzegł zbioru fiszek, kartotek i teczek, które stale uzupełniał i aktualizował, niczym skarb, który starannie ukrywał. Wszyscy towarzysze, z którymi miał do czynienia, drżeli przed tym materiałem i za plecami nazywali go po prostu „Notatnikiem". Była to wiedza – do dziś znana w kręgach komunistycznych jako informacje kompromitujące – o słabościach, politycznych i prywatnych przewinach oraz osobistych sekretach towarzyszy i urzędników wszystkich szczebli.

Po tym jak Stalin pokonał wszystkich swoich rywali w Moskwie w drugiej połowie lat 20., wiedza ta mogła zostać wykorzystana ze śmiertelnymi konsekwencjami. KPD, która pod przywództwem Thälmanna przyjęła kurs promoskiewski, coraz częściej podejmowała surowe działania przeciwko dysydentom i frakcjonistom wśród swoich członków, od wykluczenia z partii po ryzyko utraty wolności i życia.

Wzajemne donosy były wśród komunistów czymś normalnym. Jednak żaden z nich nie osiągnął metodycznego mistrzostwa Ulbrichta. Dzięki swojej „specjalnej linii do Moskwy" zdobywał niezbędne informacje o nadchodzących zmianach politycznych i mógł w porę przygotować pakiet donosów lub rozważyć, kto mógłby mu się jeszcze przydać w dalszej drodze na szczyt i kogo lepiej byłoby na razie oszczędzić.

Jego zdolności były coraz bardziej doceniane na najwyższych szczeblach Kominternu; spełniło się też jedno z jego pragnień: został

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 74c5a22a0e

przyjęty do „rady strażników rewolucji światowej”. Oznaczało to coraz dłuższe pobyty w Moskwie i to tam odnalazł osobiste szczęście, przyszłą Lotte Ulbricht. Wzruszająco opisała ich pierwsze spotkanie i pierwszą noc miłosną, która niedługo potem nastąpiła.

Ulbricht znalazł idealną partnerkę. Bezinteresownie troszczył się o pozostałe przy życiu żony i biologiczną córkę. Ale Lotte stała się jedyną osobą w jego życiu, której ufał bezwarunkowo. Towarzyszyła mu po 1945 roku; dla jednych była straszną jędzą, dla innych matką narodu.

Była bardzo twarda. Znosiła wszystkie trudy i obozy zesłania u boku Ulbrichta w latach 30. Wspominała, że by się podnieść na duchu, intensywnie studiowała pisma Lenina.

Przez lata walczyła z pasją o zachowanie wspólnego wizerunku małżeństwa Ulbrichtów i przeciw oszczerstwom. Nigdy nie mogła wybaczyć Erichowi Honeckerowi i jego zwolennikom, że „haniebnie zdradzili” jej ukochanego Waltera.

•

Po przejęciu władzy przez nazistów Ulbricht został zmuszony do opuszczenia Moskwy na dłuższy czas, aby zająć się emigracją przebywającą na Zachodzie, we Francji i innych krajach. Jego zadaniem było wciągnięcie postępowego mieszczaństwa i części socjaldemokratów, wcześniej potępionych jako „socjalfaszyści”, do wspólnego Frontu Ludowego.

W tym samym czasie w Polsce o względy PPS-u zabiegali polscy komuniści, a w Moskwie Stalin uwodził Wandę Wasilewską. Jej ojciec Leon był jednym z najwierniejszych towarzyszy Piłsudskiego.

Ernst Thälmann, który miał przewodzić nielegalnej KPD, otoczył się niekompetentnymi towarzyszami i natychmiast wpadł w pułapkę zastawiona przez gestapo. Przed Ulbrichtem otworzyła się szansa.

Po tym jak wielu innych kandydatów odpadło, jedynie Wilhelm Pieck pozostał prawdziwym pretendentem do kierowania partią. Na jego korzyść przemawiała legendarna bliskość z Różą Luksemburg, ale były też ciemne strony, które Ulbricht skrywał w swoich kartotekach. Był też zbyt miękki i miał słabą kondycję – wielokrotnie musiał spędzać dłuższy czas w uzdrowiskach na Kaukazie.

Gdy perspektywa klęski i kapitulacji hitlerowskich Niemiec stawała się coraz bardziej oczywista, w Moskwie rzucono kości. Niemiecki komunista Walter Ulbricht miał zostać przyszłym gubernatorem Moskwy w Niemczech.

Ulbricht chwycił się władzy, ale miał własne wyobrażenia o swojej roli. Z jednej strony musiał bezwarunkowo podążać za Stalinem, ale nie chciał być tylko narzędziem w jego rękach. Dążył do relacji równości, czego strona sowiecka nigdy mu nie zapewniła. To właśnie stanowiło najważniejszą przyczynę jego upadku, który później bezlitośnie zaaranżował jego posłuszny uczeń i lojalny zwolennik Erich Honecker.

Najpierw jednak celem było przejęcie władzy w części Niemiec, którą Stalin zdobył jako łup wojenny. Długofalowy cel był jasny i obejmował całą Europę. Nie wspominając o obecności komunistów na innych kontynentach. Zwycięstwo światowej rewolucji majaczyło na horyzoncie.

Stalinowi udało się na wszystkich konferencjach i spotkaniach międzynarodowych albo narzucić Zachodowi swoją wolę, albo zbyć drugą stronę pustymi obietnicami. Jałta była jedynie przedostatnim krokiem, a Poczdam – ostatnim. Kwestia polska odgrywała kluczową rolę na wszystkich konferencjach.

•

Ulbricht miał pełne ręce roboty zimą i wczesną wiosną 1944/1945 roku i był w stanie w pełni wykorzystać wszystkie dostępne zasoby, aby wyselekcjonować odpowiednie kadry dla oddziałów i grup operacyjnych, działających tuż za walczącymi wojskami Stalina. Berlin jeszcze nie upadł i nie było pewne, czy Armii Czerwonej uda się jako pierwszej zdobyć stolicę Niemiec. Tak czy inaczej, kadry musiały być gotowe. Stalin pomógł w tym Ulbrichtowi. Prawie zawsze nadawał się każdy, kto przeżył czystki, nie był więziony i z powodzeniem walczył o przetrwanie na Syberii i w Kazachstanie.

Przede wszystkim konieczne było zgromadzenie trzech grup komunistów, którzy w większości mieli zupełnie odmienne poglądy na temat swojej przyszłej roli. Byli to emigranci ze Wschodu, emigranci z Zachodu oraz kadry, które przetrwały nielegalną działalność i opór w samych Niemczech.

Komuniści żydowscy odegrali tu znaczącą rolę. Sam Ulbricht nie był antysemitą, ale doskonale wiedział, jak w Moskwie traktowani są syjoniści. Kiedy w ZSRR rozpoczęła się era pokazowych procesów i związanych z nimi wewnętrznych prześladowań Żydów, nawet wysoko postawieni członkowie najwyższego kierownictwa pochodzenia żydowskiego musieli obawiać się o swoje życie.

Ulbricht i jego najbliżsi towarzysze tygodniami i miesiącami wędrowali po gruzach Berlina, szukając ocalałych komunistów, socjaldemokratów i mieszczan, którzy mogliby nadawać się do kolaboracji. Inne grupy przeczesywały obszary Niemiec wschodnich, które wpadły w ręce Sowietów.

Tylko częściowo udało mu się sprostać szczeremu pragnieniu komunistów, by odbudować KPD i ukształtować własną tożsamość. Potrzebny był antyfaszystowski, demokratyczny okres przejściowy, zjednoczenie z socjaldemokratami, a kluczową rolę miał w tym odegrać Otto Grotewohl [był premierem NRD od 1949 roku do śmierci w 1964]. Urodzony w Brunszwiku drukarz, a później polityk i poseł do Reichstagu, był dokładnym przeciwieństwem Ulbrichta. Miał zamyśloną, sympatyczną twarz, sprawiał wrażenie godnego zaufania, a po 1945 roku, obok Kurta Schumachera, reprezentującego zachodnią SPD, był najważniejszym przedstawicielem wschodniej SPD.

Początkowo dość krytycznie nastawiony do zjednoczenia, zmienił zdanie po długiej rozmowie w berlińskim centrum dowodzenia sowieckiej administracji wojskowej w dzielnicy Karlshorst. Dokładna treść rozmowy nigdy nie została ujawniona, ale prawdopodobnie zawierała ona mieszankę obietnic i szantażu.

Grotewohl nakłonił większość swoich wschodnich towarzyszy do poparcia zjednoczeniowej konferencji partyjnej KPD, która odbyła się w kwietniu 1946 roku w Admiralspalast w Berlinie. Symboliczny uścisk dłoni między Wilhelmem Pieckiem a Otto Grotewohlem podczas tej konferencji partyjnej – Ulbricht pozostał w tle – miał zdobić odznakę partyjną każdego towarzysza z SED. Grotewohl później okazał się oportunistą o słabej woli, który zgodził się na wszelkie poczynania.

Utorowało to Ulbrichtowi i innym komunistom drogę do władzy w sowieckiej strefie okupacyjnej i NRD, utworzonej w październiku 1949 roku. Ulbrich przetrwał walki frakcyjne. Udało mu się umieścić na czele oficjalnie bezpartyjnej Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ) swojego najwierniejszego zwolennika, Ericha Honeckera, młodego działacza komunistycznego z Saary, który przetrwał erę nazistowską w więzieniu w Brandenburgii.

Honecker próbował naśladować Ulbrichta, ale nigdy nie dorównywał swojemu panu – także w donosach. Był znacznie gorszym kłamcą i później uwikłał się w pułapki i sprzeczności własnej biografii, co przyczyniło się do jego upadku w październiku 1989 roku.

•

Najszczęśliwsze lata Ulbrichta to z pewnością dekada po wzniesieniu muru berlińskiego. Jako przewodniczący Rady Państwa mógł zaprezentować się w roli troskliwego ojca narodu. Lotte Ulbricht otrzymała własne biuro w budynku Rady. W latach 60. nad NRD unosił się wymuszony optymizm. Słynna powieść Christy Wolf „Niebo podzielone” nie jest jedyną, która wyraża tę niemal rozpaczliwą nadzieję. Dla polityki kulturalnej NRD był to rollercoaster relaksu.

Ulbricht wykorzystał ostatnie dobre lata i podjął próby przeprowadzenia eksperymentów z reformami gospodarczymi, co rozgniewało stronę sowiecką, ponieważ chciał stworzyć lepsze warunki rozwoju własnej gospodarki. Czołowi eksperci ekonomiczni, odpowiedzialni za wdrażanie nieudanych reform, strzelali sobie z rozpaczy w głowę z własnej broni służbowej.

W miarę jak słabnący Ulbricht stawał się coraz bardziej uparty i buntowniczy, Honecker, wykorzystując własne kontakty, zapewnił sobie poparcie premiera Willego Stopha, całkowicie lojalnego wobec Moskwy. Obaj zadeklarowali gotowość lojalnego podążania za Leonidem Breżniewem, następcą Nikity Chruszczowa.

W lipcu 1970 roku, pod nieobecność Ulbrichta, w Moskwie odbyły się tajne rozmowy. Ulbricht miał ciągoty megalomańskie, porównywał się do klasyków marksizmu-leninizmu, co musiało zostać przerwane.

Wydarzenia w Polsce w grudniu 1970 roku przedłużyły walkę o władzę w NRD o kilka miesięcy. Jeszcze przed VIII Zjazdem SED w czerwcu 1971 roku większość członków Biura Politycznego naciskała na Ulbrichta, by podał się do dymisji, a on sam zrezygnował ze stanowiska sekretarza generalnego SED z powodów zdrowotnych. „Lata robią swoje” – napisał w oświadczeniu.

Jego przeciwnicy, a zwłaszcza Honecker, odnieśli sukces. Przez lata kłaniali się mu i płaszczyli przed nim. Teraz mogli odpłacić się swojemu ukochanemu przywódcy. Walter i Lotte Ulbricht spędzili większość ostatnich lat życia w swojej wiejskiej posiadłości w Groß Dölln w Brandenburgii. Coraz bardziej odcięci i odizolowani od wszystkiego.

W przeciwieństwie do wielu swoich ofiar, zmarł śmiercią naturalną w sierpniu 1973 roku. Jego ostatnie życzenie, by zostać pochowanym pod Pomnikiem Socjalistów na berlińskim cmentarzu Friedrichsfelde, nie zostało spełnione przez kierownictwo partii. ●

Przeł. ntzn

Tytuł – „Wyborcza”.

FOT. MARIUSZ KUBIK/DOMENA PUBLICZNA

*Wolfgang Templin

• ur. w 1948 r., działacz opozycji demokratycznej w NRD, publicysta.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stefan Pastuszewski*

Wiara

Bóg uchronił mnie przed urodzeniem się w Rosji
co by to było?
brzoza, która rośnie bardzo szybko
nie zdążyłaby na krzyż
brzoza z nadwołżańskich pustaci
bieriozka, kochana mama
nawet by mnie nie znaleźli
bo po co płacić zasiłek pogrzebowy kochanej mamie
nie byłoby mnie i już
a mama niech sobie płacze
wszystkie matki, i na kurskich czarnoziemach
i w tajdze
cały czas sobie płaczą
tak już musi być
jak musi to musi
porządek przecież jakiś musi być
do swobodnego żeglowania po tym oceanie bezbrzeżnej ziemi
i do oddychania
nie tylko mróz i eskadry meszek ustawiają nasz czas
jest jeszcze słowo Bóg
między kieliszkiem wódki a kartoflem, cokolwiek już chłodnym
a potem znów bluzg

nie tylko słowo, ale prawdziwy Bóg
jest po mojej stronie
i jak tu nie wierzyć gdy nie urodziłem się w Rosji

***Stefan Pastuszewski** - ur. w 1949 r. Pisarz, poeta, dziennikarz i samorządowiec, w latach 1991-93 poseł na Sejm.

FOT. ŁUKASZ ANTCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 74c5a22a0e

ALE HISTORIA

Bossa nova
NOWY WDZIĘK

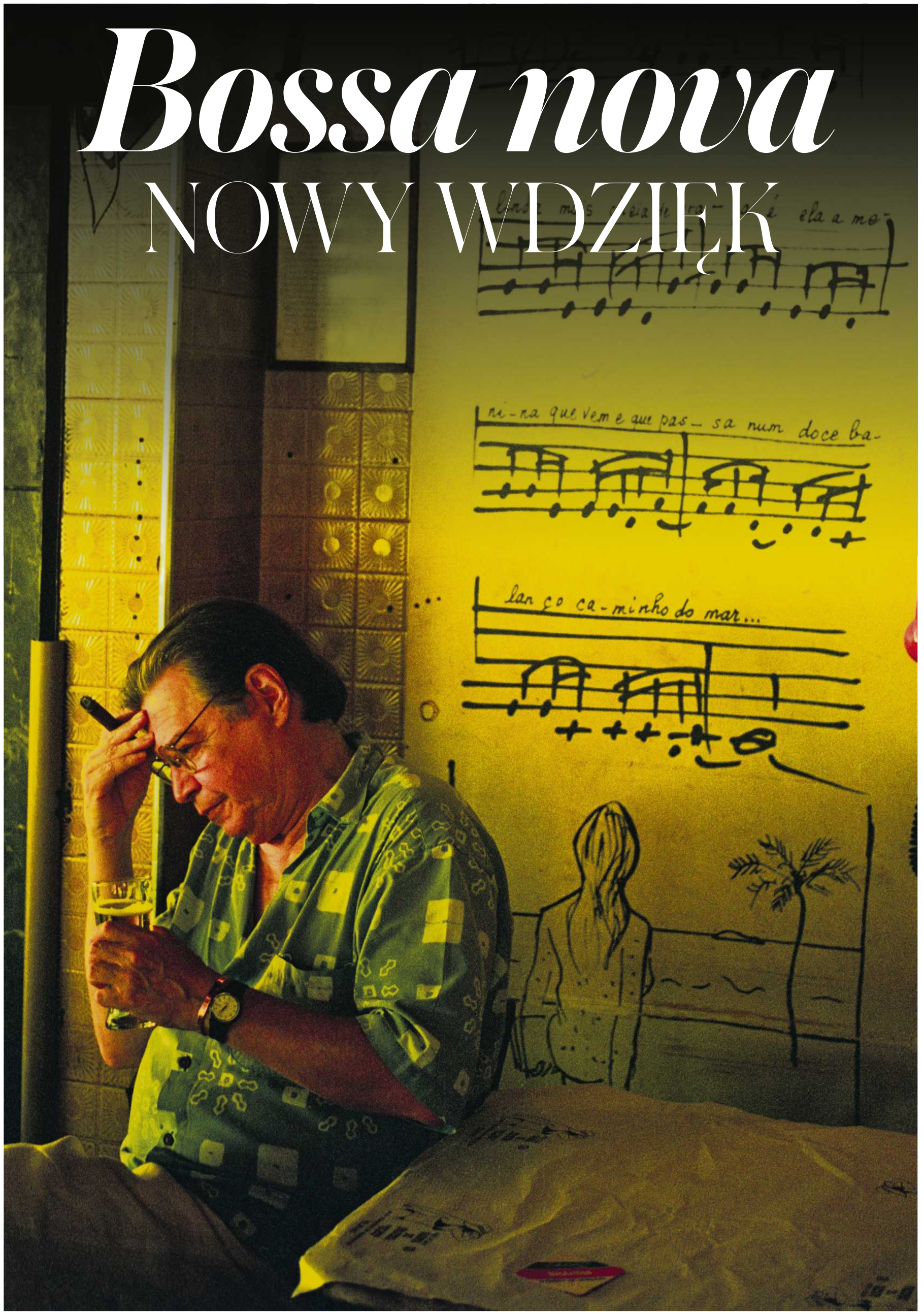

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

Jakiekolwiek macie usposobienie, słuchajcie Brazylii. Brazylia ocala!

Michał Cichy

Pierwszy raz usłyszałem muzykę Antonia Carlosa Jobima w 1997 roku w kinie Muranów na seansie „Zagubionej autostrady” Davida Lyncha. To był pierwszy Lynch w moim życiu i wcale nie taki był plan. Chciałem iść na „Przełamując fale” Larsa von Triera, ale bilety były już wyprzedane i, żeby nie tracić dnia, poszedłem na seans w sąsiedniej sali. Sale w Muranowie nazywają się Zbyszek i Gerard, dla upamiętnienia Zbyszka Cybulskiego i Gérarda Philipe'a.

Ten nieoczekiwany seans był jednym z kilku najsilniejszych przeżyć, których w życiu doznałem w kinie. Opowieść o kalifornijskim saksofoniście freejazzowym Fredzie, który z zazdrości morduje swoją żonę, ale wypiera to, co się zdarzyło, i, siedząc w celi śmierci, zmienia cielesną postać na młodego mechanika samochodowego Pete'a. Po tej niewytłumaczalnej zamianie ciał Pete zostaje wypuszczony i kolejno styka się z postaciami z życia Freda. Jedną z tych osób – diabłem tej historii – jest Mystery Man, mężczyzna o białym obliczu i uszminkowanych ustach, który potrafi znajdować się w dwóch miejscach jednocześnie. Fred poznaje go na przyjęciu i wtedy właśnie gra „Insensatez” Antonia Carlosa Jobima.

Różne więzi zawiązały się pomiędzy mną a światem tamtego dnia. Zachwyciłem się Lynchem, „Zagubiona autostrada” to do dziś mój ulubiony jego film. Zachwyciłem się amerykańskim muzykiem Trentem Reznorem, ledwie o dwa lata ode mnie starszym, który odpowiadał w tamtym filmie za soundtrack (lata później dostanie wraz z Atticusem Rossem Oscary za muzykę do „Social Network” Davida Finchera i do pixarowskiej animacji „Co w duszy gra”). Kupiłem w następnych latach wszystkie nagrania jego mrocznego projektu Nine Inch Nails. No i zachwyciłem się Jobimem.

„Insensatez” („Nonsens” lub „Lekkomyślność”) występowało w filmie w wersji instrumentalnej na fortepian, flet, smyczki, kontrabas i perkusję. Uwielbiam płytę z instrumentalnymi wersjami największych hitów – „Antonio Carlos Jobim, the composer of »Desafinado«, plays”. Odsłuchałem ją dziesiątki razy w moim ulubionym miejscu kosmosu, czyli w kuchni, pisząc, czytając, jedząc. Są w tej muzyce odprężenie, powietrze, lekkość. I wspaniałe melodie.

MELODIA, HARMONIA, RYTM

„Muzyka to przede wszystkim melodia – powiedziałem Mateuszowi. – Harmonia to akwarela, kolor, tło”. „Nie – odpowiedział Mateusz – Muzyka to przede wszystkim harmonia. Melodia jest tylko do zapamiętywania harmonii”.

Mógłbym powiedzieć, że „de gustibus” itd., ale różnica zdań akurat z tym człowiekiem szczególnie daje mi do myślenia. Ponieważ Mateusz, mój kolega i rówieśnik, jest jedynym znanym mi osobiście człowiekiem, o którym mogę bez wątpliwości i bez zazdrości powiedzieć, że jest ode mnie wyraźnie inteligentniejszy. Lepiej też gra ode mnie na gitarze, co nie jest jednak zbyt trudne, bo ja gram słabo. Nie potrafię złapać akordów takich jak nonowe czy undecymowe. Mateusz ma też lekooporną depresję i lekooporne ADHD. Od dawna już wiem, że od pewnego poziomu IQ zaczyna się klątwa. Umysł nie powinien być za szybki. Wiem, bo dwanaście lat dorosłego życia rozerwała mi na strzępy dwubiegunówka.

Regularny kontakt z umysłem Mateusza jest mi niezbędny jak ciału prysznic. Siadamy w moim salonie na zielonych fotelach po obu stronach okrągłego wiklinowego stolika i się różnimy, a mnie to sprawia przyjemność nie do porównania z żadną inną.

Muzyka zasadniczo składa się z melodii, harmonii i rytmu. Przy czym rytm jest trochę czymś innym niż to, o czym potocznie mówimy na przykład, że „walc jest w rytmie na trzy”. To akurat w języku teorii muzyki nazywa się metrum. (Walc: metrum trzy czwarte, czyli trzy ćwierćnuty – jedne czwarte całej nuty – na takt. Największa część muzyki, zarówno klasyki, jak i popu, jest w metrum cztery czwarte). Rytm w teorii muzyki to długość trwania poszczególnych nut w melodii. Cała nuta i jej krótsze wartości: półnuta, ćwierćnuta, ósemka, szesnastka itd.

Ciekawe, że dla niemieckiego muzykologa Carla Dahlhausa to nie melodia ani harmonia były najważniejsze, lecz rytm. „Ruch rytmiczny – pisał Dahlhaus w „Estetyce muzycznej” – określony w systemie rytmiki taktowej przez trwanie, akcent i rodzaj miary, jest niezależny (lub przynajmniej może być niezależny) od ruchu melodycznego, tego ostatniego jednak nie sposób oddzielić od ruchu rytmicznego. To, iż da się pomyśleć rytm bez następstwa dźwięków, natomiast nie da się pomyśleć następstwa dźwięków bez rytmu, świadczy o tym, że rytm stanowi fundamentalny aspekt muzycznego wrażenia ruchu”.

• **Brazylijska piosenkarka Elis Regina (1945-1982), jedna z najwspanialszych wykonawczyń utworów Jobima, podczas występu w paryskiej Olimpii w 1968 roku**
FOT. REPORTERS ASSOCIES / GETTY IMAGES

Żeby melodia nie była nużąca, dobrze, żeby sąsiadujące nuty nie miały jednej długości. Dla zróżnicowania rytmu autor muzyki może też stosować różne dodatkowe zabiegi, jak m.in. synkopa (czyli przesunięcie akcentu z mocnej na słabą część taktu przez przedłużenie dźwięku, czasem przekraczającego granicę między taktami), nuta z kropką (czyli przedłużenie jej trwania o połowę; tworzy to rytm punktowany, o charakterze analogicznym do rytmu galopu) czy grupy niemiarowe, takie jak triola (długość dźwięku, która normalnie przypadłaby na dwie nuty, jest podzielona na trzy; daje to krótkotrwałe zachwianie porządku, jakby chwilową inwazję metrum trójdzielnego na zwykłe cztery czwarte).

Jeżeli nuta jest jak litera, melodia to zdanie lub ewentualnie akapit. Melodia, która dla mnie (ale nie dla Mateusza) jest esencją muzyki, jest niezdarnie definiowana w muzykologii jako „następstwo dźwięków uporządkowanych według określonych zasad tonalnych, metryczno-rytmicznych i formalnych”. Ale nie każde następstwo dźwięków tworzy melodię. Teoria posługuje się niezbyt dobrze zdefiniowanymi terminami, jak temat, motyw (najmniejsza, kilkunutowa komórka melodii) i fraza (czyli następstwo motywów). Ale nie wszystkie zestawienia motywów są melodiami.

ŁASKA MELODII

Co ciekawe, powstały setki książek o harmonii, czyli zasadach tworzenia akordów i współbrzmień, a o melodii pisano zaskakująco mało.

Nie trafiłem jeszcze w książkach o muzyce na próbę sformalizowania, czym jest DOBRA melodia. Dobrą melodię natychmiast rozpoznajemy, ale istota tego rozpoznania wymyka się rozumowi. Melodia jest nieuchwytna. Gdyby można było zdefiniować jej jakość, wszyscy kompozytorzy świata byliby wybitni. A w rzeczywistości z dobrą melodią jest jak ze zbawieniem: jest skutkiem łaski. Przychodzi z góry, czasem we śnie, na wybranych, takich jak Vivaldi, Mozart, Schubert czy Lennon z McCartneyem. Albo Jobim, też genialny tunesmith.

Melodia należy bardziej do dziedziny funkcjonowania ludzkiego umysłu, do neurobiologii niż do samej teorii muzyki. To, że odbieramy ją jako całość mającą początek i koniec. To, że lubimy ją powtarzać, jak w popowej czy rockowej piosence zbudowanej na powtórzeniach zwrotek i refrenu. To, że lubimy ją gwizdać. (Taka jest moja osobista definicja dobrej melodii. Dobra melodia idzie w gwizdek). To, że lubimy do niej tańczyć. „Melodie – pisał brytyjski filozof Roger Scruton – są przykładem na to, jak powtarzalne muzyczne jednostki wyrosły z ludzkiej potrzeby śpiewu i tańca”.

Melodia jest w dźwiękach tym, czym poezja w tekście czytanym – obojętnie – cicho czy głośno, i często w formach wokalnych towarzyszy poezji. Powtarzalność motywów współpracuje z powtarzalnością schematów sylabicznych i akcentowych oraz porządkiem rymów lub asonansów (które ze swej istoty są formą powtórzenia). Melodia – pisze Scruton – „ma ewidentny związek z fenomenem, jaki znamy z naszego doświadczenia języka. Zdania w języku zaczynają się i kończą, a słowa, które znajdują się pośrodku, odbierane są jako zakorzenione w całości”.

Dobra melodia angażuje nas na wszystkich poziomach: ciała, emocji i intelektu. Scruton porównuje ją do ludzkiej twarzy: tak, melodia ma indywidualność. I pozwala nam doświadczyć własnej indywidualności. Nie przypadkiem zachodnia kultura XVIII-XX wieku stworzyła zarówno najpiękniejsze melodie w historii muzyki świata – klasycznej i popularnej – jak i niepowtarzalną ludzką jednostkę, osobę, wolne indywiduum, którego nie znała żadna z wielkich cywilizacji w dziejach.

SEPTYMY I NONY

Bossa nova – czyli w gwarze Rio de Janeiro „nowy wdzięk”, „nowy styl”, stworzony pod koniec lat 50. przez João Gilberto (1931-2019) i Antonia Carlosa Jobima (1927–1994) – jest rodzajem fuzji brazylijskiej samby z amerykańskim jazzem, chociaż Jobim bardzo się złościł, kiedy tak twierdzono. On sam uważał, że podstawy bossa novy to najsłynniejszy brazylijski kompozytor Heitor Villa-Lobos i wielcy francuscy impresjoniści Claude Debussy i Maurice Ravel. Jeżeli już – mówił Jobim – to bossa nova wpłynęła na jazz. Fakt: utwory Jobima były niezmierną liczbę razy grane przez jazzmanów, na przykład „Insensatez” i kilkadziesiąt innych utworów nagrał sławny saksofonista Stan Getz. (A anglojęzyczną parafrazę tej piosenki „How insensitive” zaśpiewali m.in.: Frank Sinatra, Ella Fitzgerald, Sinead O' Connor i Iggy Pop).

Ta muzyka jest krewną harmoniczną jazzu – tu i tam harmonia jest oparta na wielodźwiękowych akordach takich jak septymowe, nonowe czy undecymowe. W muzyce klasycznej uważano je za dysonanse proszące się o rozwiązanie na inne, konsonansowe i stabilne akordy. Jednak w muzyce Debussy'ego i Ravela, a także w jazzie i bossa novie, złożone akordy zostały oswobodzone, nie są rozwiązywane. Całe utwory mogą być oparte na tych nieoczywistych współbrzmieniach.

Styl Jobima jednak fundamentalnie różni się od jazzu tym, że nie jest to muzyka improwizowana. Tu wszystko jest szczegółowo zapisane w nutach trochę tak, jak w wypadku Bacha było z ozdobnikami. W baroku ozdobniki były najczęściej grane ex tempore, po uważaniu muzyków, ale Bach nie dawał wykonawcom licencji na ozdoby: u niego każdy obiegnik czy mordent były wpisane w partyturę. Co było nie tylko komunikatem, gdzie ozdabiać, ale przede wszystkim, gdzie ozdabiać nie należy, gdzie linia melodii ma pozostać czysta, nienaruszona.

W muzyce improwizowanej o tożsamości utworu rzeczywiście decyduje harmonia. Utwór jazzowy to krata zbudowana z konkretnych powtarzalnych progresji akordowych, wypełniona inwencją (od)twórców. Rządzi bas, a reszta głosów tańczy.

W zachodniej muzyce wysokiej („poważnej”, „klasycznej”) system tonalny (dur-moll) sformułowany w drugiej połowie XVII wieku, pod koniec XIX wieku był podważany przez takich kompozytorów, jak Debussy, Ravel czy Wagner, a potem, w okolicach I wojny światowej, został w całości odrzucony przez drugą szkołę wiedeńską (Schönberga, Berga i Weberna) na rzecz muzyki atonalnej. Atonalność stała się obowiązkową formułą XX- i XXI-wiecznej awangardy muzycznej.

Nie jest przypadkiem, jak myślę, że równocześnie z odrzuceniem tonalności przez muzykę wysoką rozpoczęła się w naszej kulturze, w jej „dźwiękosferze”, wielka kariera tonalnej muzyki popularnej, takiej

◄ **Antonio Carlos „Tom” Jobim (1927–1994), brazylijski kompozytor, tekściarz, piosenkarz, gitarzysta, najważniejszy twórca stylu bossa nova. Zdjęcie wykonane w 1991 roku w muzycznej restauracji w Rio de Janeiro, gdzie na ścianie umieszczono nuty jednego z największych przebojów Jobima „Garota de Ipanema” (1964), jednej z najczęściej nagrywanych piosenek wszech czasów**
FOT. BRAZIL PHOTOS / GETTY IMAGES

eprasa.pl 74c5a22a0e

jak blues, jazz czy później rock i pop. Tonalność po prostu nie chciała umrzeć. Jej symfoniczna postać rządzi nadal w muzyce filmowej. Wzbogacona harmonicznie o wielodźwiękowe akordy, takie jak septymy, nony i dalsze rozwinięcia podstawowych trójdźwiękowych współbrzmień, żyje w jazzie czy w bossa novie.

CHOPIN I JOBIM

Melodia i pochód akordów „Insensatez" są zbudowane na wzorze najsławniejszego spośród Chopinowskich preludiów: e-moll op. 28 nr 4. W obu wypadkach uproszczona do granic melodia opiera się na powtarzaniu dwóch dźwięków odległych od siebie o najmniejszy możliwy dystans – półton – podczas gdy zmiana rozgrywa się w akordach, w lewej ręce pianisty. Warto posłuchać obu utworów obok siebie. To idealny przykład muzycznej inspiracji, która nie jest prostym zapożyczeniem.

Tam, gdzie Chopin używa akordów w klasycznej postaci trójdźwięku (trzy nuty: pryma, tercja, kwinta, czyli pierwsza, trzecia i piąta), Jobim od razu zaczyna od czterodźwiękowego akordu z septymą małą, h-moll 7.

„Linia melodyczna »Insensatez« – pisze Peter Freeman – ma bardziej liryczny i nieprzerwany charakter, podczas gdy linia melodyczna Preludium ma charakter bardziej odcinkowy i kontrapunktyczny. (...) Jobim rozwija strukturę harmoniczną akompaniamentu poza formę trójdźwięku dodając nony, undecymy, kwinty zmniejszone itd. A jednak istnieją uderzające podobieństwa pomiędzy oboma utworami. Podobieństwo wstępnej progresji harmonicznej, która (...) rozwija się w pierwszych ośmiu taktach »Insensatez« i pierwszych czterech Preludium. Na słabej części taktu 2 i 3 Preludium występują opóźnienia [są to dźwięki przetrzymane z poprzedzającego akordu, w nowym akordzie mające charakter dysonansu i rozwiązujące się następnie na konsonans]. (...) Także od samego początku obu utworów bas schodzi w dół w odstępach półtonowych".

ELIS & TOM

Jobim był autorem wielu hitowych piosenek, jak choćby „La garota de Ipanema" („Dziewczyna z Ipanemy"; Ipanema to druga obok Copacabany sławna plaża w Rio) czy „Corcovado" (wzgórze górujące nad Rio, na którym stoi posąg Chrystusa Odkupiciela), ale ja najbardziej kocham „Águas de Março", czyli „Deszcze marcowe". Jobim zaśpiewał ją w 1974 roku razem z Elis Reginą. Tom (tak kazał do siebie mówić) miał wtedy 47 lat, Elis – 29.

To jeden z najpiękniejszych duetów miłosnych w historii muzyki. Jest nagranie wideo z tej sesji dostępne na YouTubie. Elis, smagła, z kręcącymi się włosami, ubrana w zieloną bluzkę, stoi z lewej strony. Tom, w koszuli wyłożonej na beżowy sweter – z prawej. Oboje mają na uszach słuchawki. Pomiędzy nimi wisi studyjny mikrofon. Śpiewając, jednocześnie się kołyszą. Tańczą do siebie nawzajem. Elis uśmiecha się do Toma, a w pewnym momencie, ciągle śpiewając, nie może powstrzymać śmiechu.

Jest to porozumienie płci najwyższej próby. Natychmiast zakochałem się w Elis. Gorący sex appeal, uśmiech, swoboda i luz jak na plaży w Rio. Szczęśliwa dziewczyna, myślałem.

Wszystko złudzenie. Osiem lat później 36-letnia Elis śmiertelnie przedawkuje alkohol, kokainę i psychotropy.

• **Pomnik Antonio Carlosa Jobima na plaży Ipanema w Rio de Janeiro, 20 stycznia 2024 roku**
FOT. NURPHOTO / GETTY IMAGES

Nagranie fonograficzne jest jednak naszą współczesną postacią nieśmiertelności. Co zarejestrowano na płycie, nigdy nie umiera. Marcowe deszcze kończące lato w Brazylii położonej po przeciwnej stronie równika będą padać zawsze, a tych dwoje będzie ze sobą tak cudownie szczęśliwych.

É pau, é pedra
É o fim do caminho
É um resto de toco
É um pouco sozinho (śpiewa Elis)
To kijek, a to kamień,
To jest koniec drogi,
To pień ściętego drzewa,
Trochę samotny.

„Kiedy się analizuje tę piosenkę, okazuje się ona bardzo złożona – napisał krytyk Leonard Feather – ale kiedy się jej słucha, jest niezmiernie spontaniczna i naturalna". Tekst napisał sam Jobim i, co więcej, zrobił też autorski angielski przekład. Lata temu zacząłem się uczyć brazylijskiej odmiany języka portugalskiego, żeby zrozumieć tę piosenkę. Mój mistrz, sławny historyk mediewista Marian Małowist (który znał portugalski) mawiał, że student powinien umieć ze słownikiem w ręku przełożyć na polski niedługi tekst z dowolnego języka indoeuropejskiego. Na tych studiach porządnie nauczono mnie łaciny. Języki romańskie stały się wtedy łatwe. Chodziłem na włoski i hiszpański; portugalskiego nigdy się regularnie nie uczyłem, ale wszedłem do jego przedsionka przez piosenki.

São as águas de março
Fechando o verão
É a promessa de vida
No teu coração
To są marcowe deszcze
Na koniec lata.
Obiecują życie
W twoim sercu.

SÃO PAULO W SANTA MONICA

W roku 2000 spędziłem 10 dni w Santa Monica, położonej na brzegu Pacyfiku części aglomeracji Los Angeles. Poleciałem tam zrobić długi wywiad dla „Wysokich Obcasów" z Janem Kottem, sławnym krytykiem i eseistą, autorem „Szekspira współczesnego". Kott miał wtedy 85 lat, był po czwartym zawale i jego żona, pani Lidia, ściśle reglamentowała dostęp do niego. Nie częściej niż co drugi dzień i nie dłużej niż 45 minut.

Starszy pan był wtedy w zmiennej formie. Czasami leżał w łóżku z kaniulami dostarczającymi tlen do nozdrzy, ale któregoś razu wstał, zamówił taksówkę i zabrał mnie do japońskiej restauracji. Pierwszy raz jadłem wtedy sushi.

Poza nim nie znałem tam nikogo. Spałem w tanim hotelu. Okno mojego pokoju wychodziło na ślepą ścianę, na której huczały śmigła czterech klimatyzatorów. Pożyczyłem białego Forda, bo w Kalifornii bez samochodu nie da się zrobić podstawowych zakupów. Po prostu wzdłuż ulic nie ma chodników. Piesi nie są tam w ogóle przewidziani.

Chodziłem na molo, to, na którym dochodzi do finałowej konfrontacji między Robertem Duvallem a Michaelem Douglasem w „Upadku". Któregoś dnia w plenerowej siłowni koło plaży spotkałem Danny'ego Trejo, aktora o niepowtarzalnej fizys, znanego mi z „Desperado" Roberta Rodrigueza. Dźwigał ciężary, leżąc na ławce. Sama plaża jest brudna, pełna czarnych paprochów. Nie nadaje się do tego, żeby się na niej położyć.

Z samotności dostałem w tej słonecznej Kalifornii depresji. Na szczęście na deptaku niedaleko był sklep płytowy.

I tam pewnego dnia usłyszałem muzykę tak przedziwną, o tak eksplozywnej energii, że natychmiast kupiłem tę płytę. Była to płyta „Karnak" nagrana w 1995 roku przez brazylijski zespół z São Paulo o tej samej nazwie. Zespół Karnak był właściwie ponaddwudziestoosobową orkiestrą pod wodzą wokalisty i multiinstrumentalisty nazwiskiem André Abujamra. Nazwisko sugeruje arabskie pochodzenie. I w istocie, rodzina ojca libańska, rodzina matki żydowska. W tej Brazylii, tak samo jak w tej Kalifornii i w innych krainach Nowego Świata, prawie każdy pochodzi nie stąd, a amalgamat jest normą.

Z płytą orkiestry Karnak kręcącą się w discmanie dało się już ten kalifornijski spleen wytrzymać. Muzyka fantazyjna jak brazylijska piłka nożna. Dzikie połączenie rocka, opery i sampli z muzyki ludowej (nawet jest tam tuwiński śpiew gardłowy!) z rytmami samby.

Alma não tem cor
Porque eu sou branco
Alma não tem cor
Porque eu sou negro
Dusza nie ma koloru
Ponieważ jestem biały
Dusza nie ma koloru
Ponieważ jestem czarny.

„Karnak" mnie wtedy uratował. Ale moje przygody z depresją dopiero się w roku 2000 zaczynały. Rok później musiałem zrezygnować z ukochanej pracy w redakcji „Gazety". Do 2013 roku był to nawracający kryzys, ale od tamtej pory jestem już wolny i stoję na pewnym gruncie.

Jakiekolwiek macie usposobienie, słuchajcie Brazylii. Brazylia ocala. ●

◀ **Literatura:**
Peter Freeman: „The Music of Antonio Carlos Jobim", Roger Scruton: „Muzyka jest ważna", przeł. Katarzyna Marczak, Carl Dahlhaus: „Estetyka muzyki", przeł. Zbigniew Skowron

TO MÓ Z POLS

Opowieść Alexa Storożyńskiego o jego rodzinie to lekcja polskości w najlepszym wydaniu.

Andrzej Brzeziecki

Saga rodu Storożyńskich jest doprawdy niesamowita – tyle wątków, tyle zwrotów akcji... A najbardziej niesamowite jest to, że jest tak bardzo polska i w wielu aspektach typowa. Nie każdy jednak ma taki dar snucia opowieści jak Alex Storożynski.

Ot, młody Amerykanin polskiego pochodzenia (pierwszy z rodziny urodzony już na amerykańskiej ziemi) trafia w połowie lat 80. XX wieku na studia do Polski. Ciekawi go kraj, w którym urodzili się jego rodzice: Dionizy i Irena z domu Krzyżanowska, choć ziemie, na których się rodzili, nie należą już do Polski. W swych fascynacjach idzie też w ślady swego starszego brata George'a, który od dłuższego czasu ma związki z Polską – jak się okaże – wywiadowcze. Tak się zaczyna wielka przygoda.

ZNAJOMYCH MAM WSZĘDZIE

Za żelazną kurtyną dla Alexa wszystko jest inne. Jest młody, ale nie naiwny. Dość szybko uczy się reguł życia w kraju, w którym standardową odpowiedzią w sklepie jest: „nie ma". Na szczęście Polak potrafi, więc gdy ma się odpowiednich znajomych i trochę dolarów w kieszeni, można niemal wszystko. Alex poznaje środowisko drobnych przemytników i cinkciarzy, potem studentów, inteligencję, artystów, ludzi władzy i opozycji. To niesamowite – i już dziś niewyobrażalne – jak bardzo amerykański paszport czynił młodego chłopaka atrakcyjnym – nie tylko dla dziewczyn.

Alex w krótkim czasie poznaje: Korę Jackowską, Stanisława Sojkę, Andrzeja Mleczkę, Krzysztofa Kieślowskiego, ale też Jerzego Urbana, z którym zaczyna się spotykać, rozmawiać i chce pisać o nim swą pracę doktorską.

Poznaje ludzi opozycji, jak Lech Wałęsa i Adam Michnik, zagranicznych korespondentów, jak Krzysztof Bobiński czy Michael T. Kaufman. To oczywiście przykuwa uwagę SB, która zaczyna się interesować młodym ciekawskim chłopakiem, nadając mu kryptonim „Rocky", a gdy ten odmawia dalszych kontaktów, uniemożliwia mu studiowanie. Była to jedna z ostatnich decyzji komunistycznej bezpieki, podjęta niemal za pięć dwunasta przed upadkiem reżimu – a kto ją autoryzował, można się dowiedzieć z kart książki...

W tym samym czasie starszy brat Alexa George zdążył zawrzeć znajomości może mniej spektakularne, ale nie mniej ważne. Obracając się w sferach bankowych i służb specjalnych, zaprzyjaźnił się w okresie przełomu choćby z Gromosławem Czempińskim i Sławomirem Petelickim. Wcześniej, być może, wywiózł pułkownika Ryszarda Kuklińskiego z Polski – to wersja, która przeczy oficjalnej wersji CIA powtarzanej choćby w licznych publikacjach, ale Alex Storożynski jest o tym przekonany i zdobył na jej potwierdzenie poważne argumenty.

W nowej Polsce George Storożynski robi interesy bankowe, Alex zaś rozwija karierę dziennikarską na Wschodnim Wybrzeżu USA, ale też nie traci z radaru kraju przodków. W Nowym Jorku jako wpływowy dziennikarz i redaktor

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

J BRAT WYWIÓZŁ KI KUKLIŃSKIEGO

Alex Storożyński w programie „Dzień dobry TVN” opowiada o pracy nad książką „Kościuszko. Książę chłopów”
FOT. BARTOSZ KRUPA/ EAST NEWS

poznaje Donalda Trumpa. Nie tylko jest aktywny publicznie, ale też udziela się na kierowniczych stanowiskach w polskich organizacjach, jak choćby Fundacji Kościuszkowskiej.

POLONUS NIETYPOWY

Śmierć matki oraz wspomnianego brata George’a inspirują Alexa do badań nad przeszłością rodziny. Niby wcześniej wiedział wiele, bo dziadek i rodzice opowiadali to i owo, ale też sporo przemilczeli, zwłaszcza jeśli chodzi o okrucieństwa, z jakimi zetknęli się przed osiedleniem w USA. Mamy tu więc klasyczną opowieść o Polakach z Kresów ściśniętych między dwa totalitaryzmy i etniczne walki. Mamy inwazję Hitlera na Polskę, zaraz potem napaść ZSRR, okupację, zsyłki, wywózki, więzienia, obozy, a jeszcze na dodatek Wołyń.

Potem walka u boku Andersa, jak w przypadku dziadka, czy służba zwiadowcza, jak w przypadku ojca lądującego w Normandii. Aż wreszcie rozczarowanie po Jałcie i budowanie – z sukcesem – swej pozycji na Zachodzie.

Rodzina nie od razu znalazła się w Stanach Zjednoczonych – wcześniej, do 1957 roku, mieszkała w Argentynie. Tam otarła się (albo wówczas jeszcze raczej to o nią się otarł) o wegetującego pisarza Witolda Gombrowicza. W Polsce pozostał jeden z wujków, którego dzieje stanowią kolejną warstwę książki.

Trzeba przyznać, że Alex – choć wychowany w polskiej tradycji i dumny z niej – nigdy nie stał się polonusem, jakich wielu na Greenpoincie: zasłuchanym w Jana Pietrzaka i czytającym Waldemara Łysiaka. Rodzina nie sączyła w Alexa ani antysemityzmu, ani antyukrainizmu. Matka, która o mało co nie zginęła z rąk UPA, zawdzięczała ocalenie innym Ukraińcom. Miała też przyjaciółkę Żydówkę.

Od prawej: Dionizy Storożyński, ojciec Alexa, dziadek Grzegorz i wuj Jerzy, Lwów 1930 rok
FOT. ARCHIWUM ALEXA STOROŻYŃSKIEGO

Dlatego opowieść Storożyńskiego to także wspaniała lekcja polskości w najlepszym jej wydaniu – wiernej tradycji wielonarodowej Rzeczpospolitej i otwartej na inne kultury. To lekcja współczesnej polskości pragmatycznej i stąpającej twardo po ziemi.

Bo choć wyprawiającego się do komunistycznej Polski młodego Alexa matka żegnała, jakby jechał wprost na Syberię, w rodzinie Storożyńskich nie było przekonania, że to, co działo się wówczas nad Wisłą, jest niewiele warte.

Także antykomunizm rodziny nie był nieprzemakalny. To sprawiło, że Alex nie podchodził ani do PRL-u, ani do transformacji w Polsce jak pies do jeża. Rozumiał, że wśród członków PZPR bywają ludzie racjonalni, tak jak w kręgach opozycji nie brak niebezpiecznych radykałów.

Najlepszy przykład, że gdy jeszcze w czasach PRL jeden ze znanych księży duszpasterzy opozycji, przyjaciel zamordowanego księdza Jerzego Popiełuszki, całe zło Jerzego Urbana upatrywał w jego żydowskim pochodzeniu, Storożyński natychmiast uciął rozmowę i uznał, że z takim duchownym mu nie po drodze.

Dla niego transformacja Polski po 1989 roku była sukcesem, a nie zdradą. Storożyński – wierny poniekąd polskiej tradycji romantycznej – prezentuje też racjonalizm, jakiego czasem nad Wisłą brakuje. Znów przykład – kampania w sprawie przekonania amerykańskich mediów do zaprzestania pisania o „polskich obozach koncentracyjnych”. Kolejni dyplomaci, politycy i publicyści prężyli muskuły i się oburzali, ale bez skutku, tymczasem należało przekonać agencję Associated Press do zmiany stylebooka, czyli wytycznych pomagających pisać depesze.

UWAŻAJ NA KUMPLI BRATA

Dziadek od strony matki, ojciec i brat Alexa od czasu II RP byli jakoś związani czy to z konspiracją w Polsce, czy FBI i CIA. Wokół rodziny zawsze kręcili się jacyś „oni”, którzy wypytują, węszą, obiecują i grożą. To nie tylko sprowadzało na nich kłopoty, ale też było źródłem dumy. Dziadek Władysław Krzyżanowski i ojciec Dionizy byli twardymi facetami golącymi się brzytwą i wspominającymi, jak to podrzynali gardła Niemcom. Brat George współpracował z amerykańskimi specsłużbami i brał życie pełnymi garściami, aż stracił zdrowie po kraksie pilotowanego przez siebie samolotu. Z wypadku wyszedł żywy, ale jego organizm nie dał potem rady w walce z nowotworem.

Alex, pierwszy urodzony w Ameryce, miał być „nowym początkiem”. „Tata i Dziadek chcieli, by George był twardy, ale poszli za daleko i złamali go. Zabawy z nożami i biciem dzieciaków w szkole za wyzywanie od »Polaczków« to nie są normalne rzeczy. Gniew, jaki wynieśli z II wojny światowej, wyładował się na wychowaniu mojego brata”.

W przypadku Alexa dziadek obiecał, że nie będzie mu opowiadał o zabijaniu. Pozostaje pytanie, czy samemu Alexowi Storożyńskiemu udało się spełnić prośby matki, by uważał na „kolegów” swego brata? Czyli: jak bardzo szpiedzy z tytułu jego książki krążą w krwi autora?

Storożyński umiejętnie przeplata swoje przygody w Polsce lat 80. XX wieku i później z przeszłością rodziny – tworzy fascynującą opowieść, która ponad pokoleniami opisuje to, co w naszej historii fascynujące. Ojczyste korzenie, a zarazem pewien dystans wynikły z racji amerykańskiej tożsamości pozwalają nam przyjrzeć się dawnej i dzisiejszej Polsce. Rozdziały poświęcone ostatniej dekadzie PRL to niesamowita podróż w czasie – niby każdy z nas to pamięta, kojarzy, zna z opowieści i filmów, a jednak… I jakże ta Polska się zmieniła od czasów, gdy luksusem był zapach kosmetyków marki Fa. Także sylwetki osób znanych powszechnie – jak wspomniani Urban i Petelicki czy Sławomir Cenckiewicz – są świetnie ukazane. Storożyński ma zmysł obserwacji i nie waha się go użyć.

Ostatecznie Nagród Pulitzera, a Storożyński dostał ją w 1999 roku, nie przyznaje się za piękne, nawet polskie, oczy. ●

Alex Storozynski

Spies in my Blood. Secrets of a Polish Family’s Fight Against Nazis & Communists. A true Story
Columbia SC, 2025

eprasa.pl 74c5a22a0e

• **„Dzieciobójczyni", obraz XIX-wiecznego belgijskiego malarza Antoine'a Josepha Wiertza** FOT. KRÓLEWSKIE MUZEA SZTUK PIĘKNYCH W BRUKSELI

ŚCIGANE ZA DZIECIOBÓJSTWO

Powszechnie uważano, że zabijanie noworodków pozbawia je nie tylko życia, ale i chrztu, a więc także nadziei na zbawienie.

Anna Brzezińska

W 1590 r. augsburski kronikarz Georg Kölderer odnotował, że młode kobiety stały się lubieżne i zaczęły krzywdzić własne dzieci, z których wiele potem odnajdowano uduszonych i martwych. Takie mamy barbarzyńskie matki w naszych czasach! – konstatował, przekonany, że dzieciobójstwo stało się dotkliwym problemem i symptomem upadku moralności, skoro rozwiązłe i niezamężne kobiety posuwają się do tak potwornej zbrodni, by ukryć swoje grzechy i uniknąć ich konsekwencji. Wielu współczesnych podzielało te obawy. Sądzili, że władze odkrywają jedynie nieznaczną część tych przestępstw, a sprawczynie pozostają bezkarne, mimo że noworodki jako najbardziej niewinne i bezbronne z ofiar powinny być szczególnie chronione i przez własne matki, i przez prawo.

Dzieciobójstwo było jednym z wielkich strachów epoki wczesnonowożytnej. Uważano je za typową kobiecą zbrodnią i w większości przypadków ścigano jedynie matki, ojciec pozostawał nieznany lub wymykał się wymiarowi sprawiedliwości. Niektórzy historycy – James A. Sharpe czy Merry E. Wiesner – uważają, że więcej kobiet skazano na śmierć z powodu dzieciobójstwa niż czarów, choć trzeba zaznaczyć, że przestępstwa dzieciobójczyń – w przeciwieństwie do występków przypisywanych czarownicom – były popełniane realnie.

DZIECI NA POŻARCIE PSOM

Bezwzględne prawo do życia jest stosunkowo nowym wynalazkiem. Rodzice porzucali lub zabijali dzieci na długo przed Georgiem Köldererem, lecz ocena tych praktyk zmieniała się wraz z upływem czasu. W antycznym Rzymie los nowo narodzonych zależał od ojca; prawo nie dawało matce wpływu na jego decyzje. Słabe, zdeformowane albo po prostu niechciane noworodki porzucano lub topiono.

Już pierwsze pokolenia chrześcijan potępiały te pogańskie zwyczaje, podkreślając wyższość własnych norm moralnych i zakazując wyznawcom zarówno aborcji, jak i zabijania noworodków. Na przykład Tertulian, chrześcijański teolog, pod koniec II w. n.e. żarliwie krytykował Rzymian, którzy zabijają własne potomstwo w najokrutniejszy sposób, topiąc je, wystawiając na śmierć z głodu bądź zimna albo rzucając na pożarcie psom.

Od czasów Trajana cesarze podejmowali próby ograniczenia tego zjawiska, lecz zdecydowane działania podjął dopiero Konstantyn Wielki. Za jego panowania dzieciobójstwo zostało uznane za przestępstwo, przy czym zgodnie z regulacjami z 319 r. n.e. zabójcom noworodków wymierzano straszliwą i hańbiącą karę skórzanego worka, którą od czasów republikańskich przeznaczono dla ojco- i matkobójców. Winowajcę zaszywano w worku wraz ze zwierzętami, zwykle wężem, małpą, psem i kogutem, a następnie wrzucano do wody i topiono.

Historycy wprawdzie nie są zgodni, jak dalece przepisy te wprowadzono w życie, lecz jako część prawnego dziedzictwa antycznego Rzymu wpływały na późniejsze poglądy oraz regulacje, podobnie zresztą jak rzymska doktryna patria potestas, władzy ojcowskiej.

We wczesnym średniowieczu zabicie czy porzucenie noworodka pozostawało kwestią rodzinną. Praktykowało je wiele barbarzyńskich ludów, które wraz ze swoimi obyczajami wkroczyły w europejską historię. Ojcowie nadal posiadali władzę nad członkami swoich rodzin, a prawo do życia wiązano z nadaniem dziecku imienia lub odstawieniem od piersi i przejściem dziecka na pokarmy stałe. Karano natomiast zabójstwo dziecka, także nowo narodzonego, dokonane przez kogoś spoza rodziny.

By ograniczać waśnie plemienne, ówczesne prawa wyznaczały za przestępstwa kary w naturze, potem pieniężne. W prawie salickim z początków VI w. za zabicie dziecka w łonie matki lub zanim zostanie mu nadane imię, wyznaczono rekompensatę w wysokości 100 solidów, czyli połowę kary za zabójstwo dorosłego Franka.

W miarę postępów chrystianizacji Kościół usiłował dzieciobójstwo ograniczać, nawet jeśli było popełniane przez rodziców. Właśnie jako zbrodnię rodzinną potępiał je św. Ambroży z Mediolanu, który w IV w. pisał o biednych, którzy porzucają dzieci i nie przyznają się do nich, kiedy zostają znalezione, oraz bogatych, którzy są jeszcze gorsi i zabijają dzieci już w łonach za pomocą poronnych dekoktów.

ŚREDNIOWIECZNA ŻONA DOSKONAŁA

Stopniowo poglądy autorytetów moralnych kształtowały ustawodawstwo. Widać to wyraźnie w prawie wizygockim spisanym za panowania Chindaswinta w VII w., gdzie nałożono karę śmierci lub oślepienia na matkę, która zabiłaby nowo narodzone dziecko, bez względu na to, czy pochodziło z prawowitego łoża czy też nie. Co znamienne, już wówczas pojawiały się głosy, że dzieciobójstwo jest konsekwencją grzesznej seksualności i odpowiadają za nie kobiety.

Z perspektywy chrześcijaństwa zabijanie noworodków pozbawiało je nie tylko życia, ale i chrztu, a więc – odkąd przeważył pogląd, że nieochrzczone dzieci nie zmartwychwstaną – także nadziei na zbawienie. Choć Kościół był zainteresowany głównie życiem wiecznym, w konsekwencji chronił życie doczesne najmłodszych. Średniowieczne teksty kościelne w równym stopniu potępiały każde doprowadzenie do śmierci dziecka, bez względu na to, czy doszło do niej przypadkowo czy celowo, przez zaniedbanie, przyduszenie, niedopilnowanie. Ukazywały je jako straszliwy grzech, który jednak może zostać wybaczony, jeśli grzesznik okaże skruchę i odbędzie pokutę. Wedle postanowień soboru w Elwirze w 300 r. pokuta owa powinna trwać całe życie, ale już sobór w Ancyrze 14 lat później ograniczył ją do 10 lat. Niekiedy pokutę różnicowano w zależności od sytuacji kobiety. Na przykład penitencjał – tekst zawierający wskazówki dla spowiedników – Teodora z Cantenbury (przełom VII i VIII w.) wyznaczał piętnastoletnią pokutę dla matki, która zabije dziecko, lecz jeśli będzie uboga, obniżał ją do lat siedmiu.

Niemniej zwyczaj porzucania słabych noworodków przetrwał jeszcze długo po przyjęciu chrześcijaństwa. Wątek porzuconych

eprasa.pl 74c5a22a0e

– i cudownie ocalonych – noworodków przewijający się przez wiele średniowiecznych tekstów świadczy o tym, że nadal postrzegano je jako własność rodziców. Przykładem jest niezmiernie popularna w średniowieczu opowieść o cierpliwej Gryzeldzie, której mąż, chcąc przetestować posłuszeństwo małżonki, odbierał kolejne noworodki i twierdził, że porzuca je na pewną śmierć, choć w tajemnicy oddawał je na wychowanie. Nie wiedząc o tym, Gryzelda cierpiała, ale jako modelowa średniowieczna żona rozumiała, że jej obowiązki wobec męża są istotniejsze niż wobec dzieci. Przyjmowała więc decyzje męża bez sprzeciwu, respektując jego władzę nad życiem członków rodziny.

Prawdziwi rodzice potrafili traktować własne dzieci z taką samą bezwzględnością, jaką udawał mąż Gryzeldy. W 1353 r. sąd w Brnie rozpatrywał sprawę matki, która utopiła noworodka. Znaczna część sędziów uważała, że skoro urodziła dziecko, legalnie je posiadała i miała prawo je zabić zgodnie ze swoją wolą oraz starożytnym zwyczajem – a zatem należy ją bezzwłocznie uwolnić.

Historycy formułują krańcowo odmienne sądy co do skali dzieciobójstwa w średniowieczu. Niektórzy, jak Richard H. Helmholza czy Catherine Damme, uważają, że było częste. Natomiast Barbara Hanawalt twierdzi, że praktycznie nie występuje wśród analizowanych przez nią tysięcy przypadków badanych przez koronerów, a zatem albo było krańcowo rzadkie, albo tak powszechne i akceptowane, że nie zwracano na nie uwagi. Z pewnością śmiertelność niemowląt pozostawała wówczas ogromna.

Warunki życia były bardzo trudne i bez kłopotu dało się pozbyć niechcianego noworodka choćby przez zaniedbanie, sfingowany nieszczęśliwy wypadek czy odmowę karmienia piersią. Ponadto pomimo ponawianych napomnień i zakazów władz kościelnych rodzice dzielili z dziećmi posłania. Wielu z nich zapewne nie mogło sobie pozwolić na oddzielne łóżka dla członków rodziny. Możliwe jednak, że przyduszenie stanowiło utajoną formę kontroli narodzin.

HAŃBA ZAMIAST STOSU

Już w średniowieczu pojawiały się głosy teologów i prawników, że dzieciobójstwo należy traktować jak zabójstwo i równie surowo karać. W praktyce aż do późnego średniowiecza sądy świeckie rzadko ścigały winnych śmierci dziecka, pozostawiając tę sprawę w gestii sądów kościelnych. Natomiast sądy kościelne nie skazywały winnych za przestępstwa, tylko zgodnie z prawem kanonicznym nakładały pokuty za grzechy. Miewały one różne formy, od roku o chlebie i wodzie, przez dwa lata bez mięsa i wina, aż po pielgrzymkę pokutną do Jerozolimy.

Z zasady karano matkę, zgodnie z przekonaniem, że to ona odpowiada za opiekę nad maluchami. Dopiero w późnym średniowieczu zaczęły się pojawiać kary hańbiące. Na przykład w 1470 r. niejaka Joan Rose została skazana za zabicie syna na noszenie szaty pokutnej i przez trzy niedziele przechodzenie przed procesją w swojej parafii, a także dwukrotnie wokół rynków Cantenbury, Faversham i Ashford ze świecą w prawej dłoni oraz nożem, którym zabiła dziecko, w lewej dłoni.

Aż do reformacji pokutę najczęściej uważano za wystarczającą karę za dzieciobójstwo. We Francji Sara McDougall, badająca kierowane do króla prośby o łaskę, doliczyła się od XII do XV w. zaledwie 20 wyroków śmierci. Jej zdaniem władze starały się unikać jej wymierzania. Bardziej typowe były kary wygnania lub pokuty. Niemniej nawet po skazaniu na śmierć francuskie dzieciobójczynie odwoływały się do króla, okazując skruchę i podkreślając okoliczności łagodzące, czyli młody wiek, strach, wstyd, samotność. Na przykład w 1382 r. o królewską łaskę zabiegała Annette de Boussen, która zaszła w ciążę z własnym bratem. Potem ukryła ciążę „z wielkiego wstydu i strachu przed rodzicami” i „za podszeptem diabła” zakopała córkę w ogrodzie sąsiadów, ale w kilka dni później ciało dziecka odnaleziono. Mimo to ją ułaskawiono, podobnie jak wiele innych kobiet.

W sądach kościelnych oszczędzano życie winowajców, by mogli odpokutować grzech i ocalić duszę. Liczne opowieści o nawróconych dzieciobójczyniach albo o cudownych interwencjach Maryi ratującej matki skazane za śmierć dziecka przekonywały, że każdy, nawet morderczyni własnego dziecka, może się nawrócić. O popularności tego motywu zaświadcza apokryficzna legenda o matce papieża Grzegorza, która zabiła swoje nieślubne dziecko. Nie wyznawszy tego straszliwego grzechu na spowiedzi, po śmierci trafiała do piekła. Cierpiała tam potworne męki, więc nawiedziła we śnie syna – papieża, by prosić o odprawienie w jej intencji trzech mszy podczas największych świąt kościelnych, by uzyskać wybaczenie. Kiedy tak uczyniono, aniołowie zabrali ją do nieba.

SUROWA *CAROLINA*

Podobne opowieści wiązały dzieciobójstwo z zakazaną, grzeszną seksualnością, taką jak cudzołóstwo albo kazirodztwo, ale dopiero u schyłku średniowiecza ten związek stał się ściślejszy. Od XV w. zaczęto je postrzegać nie jako grzech, lecz zbrodnię najgorszego rodzaju, bez względu na okoliczności oraz motywy zasługującą na karę śmierci. Kluczowym elementem tej zmiany stała się *Constitutio Criminalis Carolina*. Była to przyjęta w 1532 r. z inspiracji cesarza wielka kodyfikacja prawa, która w kwestii dzieciobójstwa powtarzała zapisy nieco wcześniejszej ordynacji karnej biskupstwa bamberskiego z 1507 r. Definiowała dzieciobójstwo jako zabicie żywo urodzonego dziecka dokonane przez kobietę, która ukrywała ciążę, by zaraz po porodzie zabić noworodka lub rozmyślnie pozwolić mu umrzeć, tym samym ukrywając dowód swojego wstydu i hańby.

Z zasady karano matkę, zgodnie z przekonaniem, że to ona odpowiada za opiekę nad maluchami. Dopiero w późnym średniowieczu zaczęły się pojawiać kary hańbiące

Zapisy *Caroliny* wywarły ogromny wpływ na europejskie prawodawstwo i sprawiły, że stopniowo sądy świeckie przejęły rozpatrywanie spraw o dzieciobójstwo. Wzorowane na niej zapisy wprowadzano w wielu krajach, w tym: Francji, Anglii, Szwecji, Danii czy Szkocji. Polskie tłumaczenie Bartłomieja Groickiego w złagodzonej wersji zostało opublikowane w 1559 r. jako „Postępek sądów około karania na gardle”. Regulacje te doprowadziły zarówno w krajach katolickich, jak i protestanckich do uznania dzieciobójstwa za zbrodnię potworniejszą niż zwyczajne morderstwo.

Na podstawie nowych przepisów dzieciobójczynie skazywano na okrutne kary mające odzwierciedlać grozę popełnionej zbrodni: śmierć przez zakopanie żywcem po wcześniejszym przebiciu palem czy utopienie poprzedzone szarpaniem rozpalonymi kleszczami. Władze wręcz prześcigały się w makabrycznej pomysłowości. W Holandii dzieciobójczynie garotowano, w Namur palono, w Lipsku zaś zainspirowano się antykiem i zaszywano je wraz z psem, kogutem, wężem i kotem – zamiast trudno dostępnej małpy – w worku i topiono. Oczywiście w praktyce sądowej nie wszystkie procesy kończyły się egzekucją, zwłaszcza gdy nie wykazano, że matka celowo doprowadziła do śmierci dziecka. Niemniej także z wyroków w procesach polskich dzieciobójczyń analizowanych przez Marcina Kamlera i Małgorzatę Delimatę-Proch wynika, że bez względu na okoliczności ferowano bardzo surowe wyroki, a karę ścięcia mieczem uważano dla dzieciobójczyń za łaskę i niejednokrotnie poprzedzała ją interwencja wpływowych osób.

KOBIETY POD PARAGRAFEM

Regulacje dotyczące dzieciobójstwa wpisywały się w ogólny trend nowożytnych kodyfikacji prawa karnego, które odchodziło od średniowiecznych tradycji, np. kompensacji finansowej za przestępstwo. Postępowanie skargowe zastępowano postępowaniem inkwizycyjnym wszczynanym przez władze, prowadzonym z zastosowaniem tortur i zwieńczonym znacznie surowszymi niż wcześniej wyrokami. Najbardziej istotne jest jednak, że zawężono kategorię winnych do zdeprawowanych matek, które nikczemnie, dobrowolnie i w sekrecie mordują dzieci, by ukryć swą bezwstydne lubieżność. Nie było już mowy o przyduszeniu w małżeńskich łożach. Przepisy wymierzono przeciwko kobietom niezamężnym bądź niewiernym – bo przyzwoite mężatki nie miały wszak powodów, by ukrywać ciąże – co należy wiązać z wielką społeczną zmianą u progu nowożytności.

W większości europejskich krajów dzieciobójstwo zaczęto bardziej energicznie ścigać po 1550 r., a szczyt egzekucji przypadł na przełom XVI i XVII w. W tym samym czasie kryminalizacji poddano wiele zachowań, które wcześniej uchodziły za grzech, ale nie za przestępstwo. Władze świeckie usiłowały bowiem coraz ściślej kontrolować seksualność obywateli i zgodnie z nauczaniem kościelnym ograniczyć ją do małżeństwa, potępiając i penalizując prostytucję, zdradę małżeńską czy cudzołóstwo. Trend był uniwersalny: i protestanci, i katolicy starali się wzmacniać instytucję małżeństwa. Gloryfikowano macierzyństwo, oczywiście w rodzinie, i otaczano je szacunkiem, a zarazem w miłości macierzyńskiej widziano podstawową powinność kobiety. Oczekiwano, że – wedle słów Marcina Lutra – matka raczej umrze, niż pozwoli swojemu dziecku umrzeć.

Jednocześnie to samo społeczeństwo spychało na margines społeczeństwa dzieci nieślubne oraz ich matki. Samotne kobiety stawiano pod pręgierzem nie tylko za ich jakoby rozbuchaną i rozsadzającą porządek społeczny seksualność, ale i z powodów finansowych, bo władze starały się uniknąć kosztów utrzymania biednych położnic i ich potomstwa. Poza tym matki nieślubnych dzieci traktowano jako ladacznice wymagające kary i moralnej korekty. Zdarzało się, że skazywano je na chłostę, wysyłano do domów poprawczych lub wyświęcano z miast. Także dzieci nieślubne coraz mocniej stygmatyzowano i izolowano.

FIGURY GROZY

Wydaje się, że wskutek tych wszystkich działań w epoce wczesnonowożytnej rodziło się ich znacząco mniej niż średniowieczu. Barbara Hanawalt jest zdania, że w średniowiecznej Anglii nieślubne dzieci stanowiły od 8 do 11 proc. narodzin, natomiast Nicholas Orme szacuje ten odsetek dla okresu wczesnonowożytnego na 4,5 proc., a Keith Wrightson na 4 proc. Nie musi to oznaczać, że Anglicy raptem sporządnieli i ubyło dzieci poczętych poza małżeńskimi łożami. Możliwe, że jedynie mniej ich przeżywało. Innymi słowy, niektórzy badacze twierdzą, że poziom dzieciobójstwa był niższy tam, gdzie z większą tolerancją podchodzono do dzieci nieślubnych i dawano im oraz ich matkom szansę na integrację ze społeczeństwem.

Chęć zwiększenia kontroli nad ciałami kobiet dobitnie widać w edykcie francuskiego króla Henryka II z 1556 r., który nakazywał wszystkim niezamężnym kobietom, by zgłaszały władzom, jeśli zajdą w ciążę. W wielu europejskich miastach zobowiązywano położne, by informowały władze nie tylko o podejrzanych porodach, ale też o ciążach służących. Niekiedy stosowano dodatkowe zachęty finansowe, jak na przykład w Norymberdze, gdzie w 1598 oferowano 50 guldenów za zgłoszenie dzieciobójczyni. W szwajcarskich dolinach wprowadzono zwyczaj prevardazione, czyli okresowego badania przez położne w obecności urzędników wszystkich kobiet niezamężnych lub tych, których mężowie przebywali daleko.

W oczach elit dzieciobójczyni stawała się figurą grozy, zaprzeczeniem świętych powinności matki i wcieleniem monstrualnej kobiecości. Była to niezmiernie istotna zmiana. W średniowieczu w prawdziwych dzieciobójczyniach widziano potencjalnie nawrócone i zbawione grzesznice. W epoce wczesnonowożytnej w niezamężnych młodych kobietach widziano potencjalne dzieciobójczynie. Te przekonania i obawy władz przerażonych moralnym zepsuciem niezamężnych kobiet kształtowały praktykę sądową równie mocno jak fizyczne dowody zbrodni, przepisy i procedury. Niekiedy wystarczyły plotki, by niezamężna kobieta z plebsu stała się podejrzaną.

ZACNE OBYWATELKI I MARGARETHE

Symptomatyczna jest sprawa młodziutkiej służącej Margarethe Schmidt aresztowanej w lipcu 1661 r. w Brunszwiku na podstawie zeznań zacnych obywatelek miasta przekonanych, że urodziła. Nie znaleziono ciała dziecka, nie było żadnych dowodów, by Margarethe Schmidt – wówczas około 14-15-letnia – kiedykolwiek była w ciąży. Przeciwnie, wszystkie badające ją położne stwierdziły pod przysięgą, że nigdy nie rodziła i nigdy nie była w ciąży. Mimo to same zeznania niechętnych Margarethe świadków wystarczyły, by ją wydano na tortury. Przyznała się do zabicia dziecka, choć wobec brawurowej obrony prowadzonej przez kompetentnego i doświadczonego prawnika, który podważał prawidłowość postępowania i kompetencje sądu, skazano ją nie na śmierć, ale jedynie na chłostę i wygnanie.

Na tym przykładzie widać, że sędziowie usiłowali doprowadzić do przyznania się do winy, niejednokrotnie wymuszając je na torturach. Jeśli go zabrakło, kluczowe stawały się status społeczny, reputacja i wiarygodność kobiety, bo zazwyczaj nie było świadków samego przestępstwa.

Niezamężne matki starały się rodzić w ukryciu, kiedy inni domownicy spali, w ogrodzie, stajni lub ustępie. W 1557 r. pewna Katarzyna, sądzona w Krakowie i ostatecznie skazana na utopienie w Wiśle, zeznała, że „gdy beł czas porodzenia, sła na ogród, tam ze miała dzieciątko, a skoro je porodziła, wnet mu usta zatkała i udusiła je, i zagrzebała je w zagonie, aż trzeciego dnia [je] znaleziono”.

Lecz nawet jeśli poród i zabicie noworodka udawało się zataić, zazwyczaj ktoś coś widział, słyszał albo się domyślał, bo ukrycie ciąży, a potem porodu i zwłok noworodka nie było łatwe. Reakcja świadków przesądzała o losie kobiety. Skrywane przestępstwa – takie jak kazirodztwo, dzieciobójstwo czy trucicielstwo – trudno było udowodnić bez współpracy ze społecznością. Biedne służące, takie jak Margarethe Schmidt, często pochodziły spoza miejsca, w którym pracowały. Osamotnione, pozbawione pomocy rodziny i wyrwane ze swojego środowiska nie mogły liczyć na życzliwość domowników i pracodawców wobec pozamałżeńskiej ciąży ani tym bardziej na ich pomoc w ukrywaniu przestępstwa.

UDOWODNIJ, ŻE NIE ZABIŁAŚ

Stopniowo na znaczeniu zyskiwały też dowody fizyczne, czyli ciało dziecka i ciało kobiety. Nie istniały jednak jednolite

eprasa.pl 74c5a22a0e

zasady postępowania. Na przykład w Genewie, gdzie najbardziej krwawe wyroki za dzieciobójstwo zapadały w XVII w., za kluczowe uważano dowody medyczne wskazujące, że śmierć dziecka nastąpiła wskutek urazu. Z kolei w Wenecji sędziowie przykładali największą wagę do opinii lokalnej społeczności, sąsiadów i położnych oraz lekarzy. Natomiast w północnej Europie już samo ukrywanie ciąży dla wielu sędziów stanowiło wystarczającą przesłankę winy, nawet jeśli nie znaleziono ciała noworodka.

Kobiety oskarżane o dzieciobójstwo z zasady broniły się, twierdząc, że dziecko urodziło się martwe lub zmarło zaraz po narodzinach z przyczyn naturalnych. W XVII i szczególnie XVIII w. wzrosła więc procesowa rola ekspertów, głównie lekarzy, ale też położnych, balwierzy czy aptekarzy. Żywych narodzin trudno było dowieść za pomocą sekcji, toteż uciekano się do metody wymyślonej przez medyków z Padwy. Pobierano wycinek z płuc dziecka: jeśli unosił się na wodzie, uznawano, że oddychało powietrzem, a zatem urodziło się żywe i zostało zamordowane.

Sytuacja procesowa kobiet oskarżonych o dzieciobójstwo była trudna, a możliwości obrony i wskazania okoliczności łagodzących – ograniczone. Przedstawiciele elit argumentowali – wedle słów angielskiego aktu o dzieciobójstwie z 1624 r. – że wiele lubieżnych kobiet wydaje na świat bękarty i żeby ukryć hańbę oraz uniknąć kary, w sekrecie grzebie je i ukrywa ich śmierć, mówiąc, że dziecko urodziło się martwe. Oczekiwano, że w każdym takim wypadku matka zostanie skazana na śmierć, chyba że jest w stanie wskazać co najmniej jednego świadka, który potwierdzi, że dziecko urodziło się martwe. W Anglii ciężar dowodu przerzucano więc na matkę, a samo ukrycie ciąży albo brak przygotowań do porodu postrzegano jako przesłankę obciążającą.

FACETÓW TO NIE DOTYCZY

Nie bez powodu ojcowie wydają się nieomal nieobecni i w przepisach, i w procesach. Dzieciobójczynie stanowią lwią część kobiet skazanych na śmierć w epoce wczesnonowożytnej. Na przykład Richard van Dülmen, który analizował procesy dzieciobójczyń w kilku niemieckojęzycznych rejonach w XVI i XVII w., szacuje, że wyroki za dzieciobójstwo stanowiły zaledwie 7,8 proc. orzeczonych kar śmierci, ale dzieciobójczynie to aż 46 proc. wszystkich straconych kobiet. Zdarzało się, że mężczyzn sądzono za współudział, lecz wymiar sprawiedliwości w znacznym stopniu zdejmował z nich odpowiedzialność za poczęte przez nich dzieci, widząc w kobietach kusicielki niepotrafiące kontrolować własnej lubieżności.

Trudno po wiekach spekulować, czy zaszczute kobiety, dla których narodziny nieślubnego dziecka oznaczały hańbę, utratę pracy i biedę, a niekiedy wygnanie z miasta i brak środków do życia, i które ze strachu decydowały się zabić własne dziecko, budziły jedynie wstręt i grozę. Joanne M. Ferraro badająca procesy weneckich dzieciobójczyń jest zdania, że zwyczajni ludzie mieli poczucie, że ojciec jest współodpowiedzialny za zbrodnię popełnioną przez uwiedzione, przymuszone, zgwałcone czy oszukane kobiety i byli skłonni im pomagać w ucieczce z Wenecji. Inna kwestia, że we Włoszech w XVII i XVIII w. kary za dzieciobójstwo stopniowo się zmniejszały i chociaż prawo przewidywało za nie wygnanie lub karę śmierci, tę ostatnią – odmiennie niż na północy – rzadko zasądzano.

• **Karanie dzieciobójczyni w średniowiecznych Niemczech, rycina z 1882 roku z cyklu „Germania"**
FOT. EAST NEWS

Dzieciobójstwo było przestępstwem wyjątkowym z jeszcze jednego powodu: status społeczny i stan cywilny matki często przesądzał o kwalifikacji czynu. Większość nowożytnych dzieciobójczyń stanowiły niezamężne kobiety z warstw nieuprzywilejowanych. Typowymi skazanymi były ubogie prządki czy służące, które często nie wychodziły za mąż i żyły niejako poza strukturami rodzinnymi, poza władzą ojców i mężów, swobodnie zmieniając pryncypałów. Z badań wynika, że najczęściej zachodziły w ciążę z mężczyznami podobnego stanu, którzy nie mogąc lub nie chcąc wspierać matki i dziecka, w obliczu niechcianej ciąży wybierali najłatwiejszą opcję, czyli ucieczkę. Z kolei zamożni ojcowie, chroniąc swoją reputację, podważali ojcostwo, którego przy ówczesnym stanie wiedzy nie dało się dowieść, i twierdzili, że matka dla zysku podsuwa im na utrzymanie cudzego bękarta. Do dzieciobójstwa prowadziła więc nie tyle pozamałżeńska ciąża, ile niemożność poślubienia ojca dziecka.

SPOSÓB NA DZIECIOBÓJSTWO

Elity konstruowały dzieciobójczynie jako wcielenie nienaturalnej kobiecości, a dzieciobójstwo jako istotny problem społeczny, ale zarazem wypychały go poza własną sferę. Mężatkom z zacnych i zasobnych rodzin łatwiej było przekonać sędziów, że dziecko urodziło się martwe lub doszło do nieszczęśliwego wypadku. Jeśli dowiedziono im dzieciobójstwo, łatwiej obdarzano je współczuciem i uznawano za szalone.

O dzieciobójstwo obwiniano przede wszystkim rozpustne służące, ale też heretyczki, żebraczki, ubogie wyrobniczki i wreszcie czarownice, które, jak wierzono, przyprowadzają na tajne sabaty własne dzieci, żeby je składać w ofierze diabłu i mordować.

Wielkie polowanie na niezamężne służące w ciąży trwało aż do XVIII w. Wtedy lekarze zaczęli powoli wskazywać na czasowe ograniczenie poczytalności u rodzących. Prawnicy debatowali, czy ściganie cudzołóstwa, stygmatyzacja nieślubnych dzieci i kary śmierci dla dzieciobójczyń naprawdę są najlepszym sposobem na poprawienie moralność obywateli i zwiększają szanse nowo narodzonych. Donośniej zaczęły wybrzmiewać głosy, że niezamężne kobiety padają ofiarą bezwstydnych uwodzicieli.

Na dodatek dzieciobójczyniami wcale nie zostają te niemoralne, bo one nie mają reputacji wartej chronienia, tylko te skromne, które ze wstydu ukrywają ciążę. Symbolem zmiany i kiełkującego współczucia stała się postać Małgorzaty z „Fausta" Goethego, która umiera, pokutując i żałując za grzech.

W ślad za postawami zmieniało się prawo. Fryderyk Wielki argumentował, że zbrodnia „tych nowych Medei" jest wprawdzie niewybaczalna, ale trudno nie dostrzegać, że wynika z trudności, w jakie popada kobieta, kiedy musi wybierać pomiędzy utratą honoru lub usunięciem owoców nagannej miłości. W konsekwencji zniósł kary za urodzenie nieślubnego dziecka oraz zastąpił wcześniejsze potworne egzekucje ścięciem. Podobne argumenty na drugim krańcu Europy podnosił włoski prawnik Cesare Beccaria, który pisał, że najlepszym sposobem zapobiegania dzieciobójstwu byłoby chronienie słabych, czyli kobiet, przeciwko przemocy. Lecz zmiana nie następowała szybko. Wielu nadal uważało niezamężne matki w ciąży za potencjalne dzieciobójczynie. Jeszcze w XIX w. zdarzało się, że angielskie sądy skazywały kobiety, którym nie dowiedziono dzieciobójstwa, na ciężkie roboty lub więzienie za samo ukrywanie ciąży. ●

ROWE

Młody francuski esperantysta wyruszył w świat, żeby zrozumieć, dlaczego wybuchają wojny.

Pascal Dubourg Glatigny

Esperantyści od momentu powstania języka pod koniec XIX wieku byli pionierami podróżowania i odkrywania. Tworzyli sieci na całym świecie, budując wspólnotę, która przekraczała granice państw, języków i kultur.

W 1928 roku dziesięć lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej 22-letni cieśla-esperantysta Lucien Péraire wyruszył w trwającą cztery lata podróż rowerową przez Europę, Związek Radziecki, Mandżurię, Japonię, Chiny i Indochiny, aż do Indonezji. Do granic Ukrainy towarzyszył mu Niemiec Paul Posern, robotnik, również esperantysta.

Péraire miał ambitny cel: zrozumieć, dlaczego wybuchają wojny i skąd się bierze wrogość między narodami. W odwiedzanych krajach zamierzał poznać warunki polityczne, społeczne i religijne. Za najważniejsze uważał jednak środowisko naturalne – jak przyroda splata się z realiami życia. Swoją podróż Péraire traktował też jako uzupełnienie edukacji, szkołę opuścił bowiem już w wieku jedenastu lat.

Obcowanie z naturą uważał za coś wyjątkowego, a jednocześnie jako źródło wiedzy. W Mandżurii niedługo po przekroczeniu radzieckiej granicy zapisał: „Ponure niebo, góry, doliny, zieleń, warstwowe przekroje wzgórz przecięte przez tory kolejowe. Często zatrzymuję się w tych wielkich rowach, by podziwiać piękne żyły skał odsłonięte przez roboty ziemne. Żałuję, że nie jestem geologiem, tak jak wcześniej żałowałem, że nie jestem botanikiem czy zoologiem. Obserwacja przyrody, jakakolwiek by była, zawsze mnie fascynuje, pociesza, przynosi ukojenie i… uświadamia mi nicość albo przynajmniej drobność natury ludzkiej i mojej własnej niewiedzy".

DWA LATA W ZSRR

Esperanto, które stworzył w 1887 roku w Polsce Ludwik Zamenhof, w międzywojniu szybko rozprzestrzeniało się na wszystkich kontynentach. Péraire odkrył ten język podczas wizyty na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu w 1925 roku. Uczył się go niemal w tajemnicy w wojsku. Uczestniczył podczas służby w wielu patriotycznych wycieczkach, między innymi do budowanego w tamtym czasie w Douaumont monumentalnego ossuarium, do którego przenoszono szczątki żołnierzy poległych pod Verdun.

W relacjach dla „Sennaciulo", głównego organu ruchu robotniczego esperantystów, opisywał swoje przerażenie „krajobrazem pozbawionym życia", pełnym resztek wszelkiego rodzaju broni. Nie interesował go sam ceremoniał towarzyszący pielgrzymce, ale przede wszystkim robotnicy, których tam zobaczył. Zbierali złom, głównie miedź, pracowali w niebezpiecznych warunkach, „większość była obcokrajowcami – Hiszpanami, Włochami, Chińczykami, Polakami – żyli w nędzy razem z rodzinami, ukryci przed wzrokiem odwiedzających".

Péraire zgromadził ogromną kolekcję pocztówek dokumentujących zniszczenia wojenne. Swoisty odpowiednik tego, co na nich można było zobaczyć, odnalazł potem w Japonii dotkniętej w 1923 roku trzęsieniem ziemi. Tokio i Jokohama „zostały zniszczone równie mocno, jak każde miasto na froncie wojennym", notował. Ale dostrzegł też różnice, bo o ile w Europie ślady zniszczeń pozostawały wciąż widoczne, o tyle w Japonii szybko

eprasa.pl 74c5a22a0e

REM Z EUROPY DO AZJI

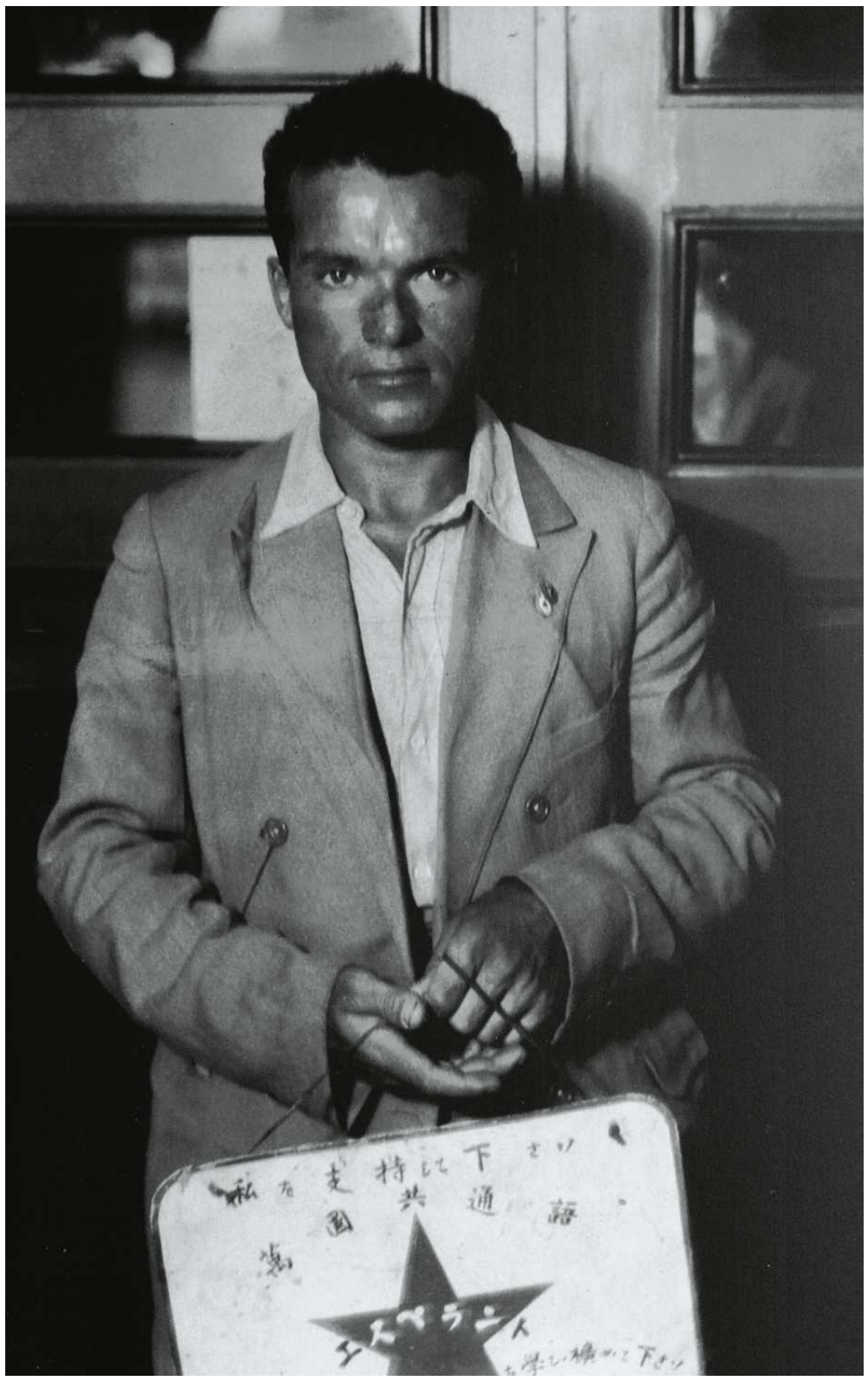

• **Proporzec, który wiózł ze sobą podróżnik-esperantysta**
FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Lucien Péraire (1906-1997) w Japonii w 1930 roku, poniżej jego paszport**
▲ REPRODUKCJA DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL; ▼ FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

odbudowano miasta, starając się zatrzeć skutki katastrofy naturalnej. Człowiek szybciej ukrywa zniszczenia spowodowane przez naturę niż te wywołane wojną, konkludował.

Podczas dwuletniej podróży przez ZSRR pracował w fabrykach. Widział tam nierówności, korupcję, brak produktywności, poczucie rezygnacji. Zrozumiał, że bolszewicka rewolucja nie zakończyła się powodzeniem. „Czy rewolucje i wojny, ze wszystkimi ich smutnymi konsekwencjami, są lepsze od ewolucji, edukacji i kształcenia mas ludzkich?” – pytał.

CUD ESPERANTA

Dysponując spisami esperantystów, Péraire nawiązywał w poszczególnych krajach z nimi kontakty. Nierzadko kierowali go oni później do swoich znajomych. Choć grupy esperantystów były niewielkie, otrzymywał pomoc. Wyłoniła się wspólnota ponad granicami zjednoczona przez język.

„Żadna granica naturalna – morze, góry, rzeka – nie jest tak skuteczna jak sztuczne bariery, które ludzie stawiają między sobą, równe jedynie chaosowi języków” – pisał Péraire. Esperanto pozwalało przekraczać te bariery bez względu na różnice polityczne czy społeczne.

Po opuszczeniu Ukrainy „drogi nadające się do ruchu kołowego znikają. [...] Odnaleźć je ponownie udało mi się dopiero w Japonii. Oczywiście, jeśli nie ma dróg, nie ma oznakowania” – notował Péraire. Ale niezrażony pokonywał kolejne przeszkody.

W dotarciu do Tonkinu, historycznej krainy w Wietnamie, pomogli mu katoliccy misjonarze, którzy sporządzili „cyklistyczną” mapę, na której odległości między etapami odpowiadały dystansom możliwym do pokonania na rowerze.

Z kolei chińscy esperantyści przygotowali dla niego słowniki praktycznych wyrażeń, co jednak na niewiele się zdało w wioskach, w których nikt nie potrafił czytać znaków.

Po opuszczeniu Odessy, jadąc wzdłuż Morza Czarnego w kierunku delty Dniepru, Péraire spotkał kilkuosobową grupę dziewcząt i chłopców, początkujących esperantystów i cyklistów. „Na horyzoncie nic; po prawej morze, naprawdę niebieskie i spokojne; w innych miejscach step monotoniczny i nieprzyjazny – opisywał. – A w centrum tego krajobrazu wspólnota, która później świętowała przyjaźń w gospodzie, zanim się rozdzielili”.

Krajobraz często wskazywał drogę – jak podczas nocnego przyjazdu do Kashiwazaki na wyspie Honsiu: „Stopniowo krajobraz rozjaśnił się bladym, rozproszonym światłem, tworząc słaby, lecz ogromny cień. Powierzchnia morza zaczęła migotać tysiącami świetlików, a szczyt góry lekko odcinał się od błękitu nieba [...]. Trudności zjazdu po drodze uszkodzonej przez koleiny wzrosły w niespodziewanych proporcjach. Na szczęście dostrzegłem światła dużego miasteczka [...]. Pytałem kilka osób o drogę. Student od razu narysował mi szkic, bym odnalazł się w tym labiryncie ulic... i dotarł do esperantysty, który został uprzedzony o moim przyjeździe”.

Podczas swojej podróży Péraire stopniowo zyskiwał przekonanie, że kolejna wojna jest nieuchronna. Pod koniec wyprawy, przerwanej w Indonezji z powodu braku pieniędzy na wizę do Australii, podsumował: „Uważam, że nadchodząca wiosna przyniesie wojnę lub rewolucję na świecie. Co powinienem zrobić? Wrócić do Francji? Kontynuować podróż? Wrócić do Rosji? Te trzy pytania dręczą mnie nieustannie”.

TYSIĄCE NOTATEK I DOKUMENTÓW

Dokumentacja podróży Luciena Péraire’a jest ogromna: tysiące dokumentów, notatniki, świadectwa, korespondencja, pocztówki, fotografie, proporczyki. Kilka dekad po wyprawie Péraire przepisał swój dziennik podróży po francusku i w języku esperanto i opatrzył go komentarzami. Jego teksty nigdy nie były publikowane ani badane. Dokumentacja przechowywana w trudnych warunkach w wilgotnej piwnicy paryskiego stowarzyszenia esperantystów jest unikatowa dla historii tego ruchu.

W 2023 roku Biblioteka Narodowa przejęła od Rotterdamu kolekcję Uniwersalnego Stowarzyszenia Esperanta (UEA) z 1912 roku, jeden z najważniejszych na świecie zbiorów dotyczących esperanta – obecnie katalogowany i włączany do zbiorów biblioteki. Na blisko siedmioipółtonowy zasób składają się książki, czasopisma, fotografie, materiały audio-wideo i inne dokumenty.

„Rozważamy wpisanie tej kolekcji – i zawartego w niej doświadczenia intelektualnego – do Rejestru Światowego Dziedzictwa UNESCO, aby zagwarantować jej uznanie za światowe dziedzictwo dokumentalne i zapewnić ochronę dla przyszłych pokoleń” – zapowiedział Tomasz Makowski, dyrektor Biblioteki Narodowej. Po przejęciu archiwum warszawska instytucja stała się jednym z głównych centrów badań nad esperanto.

Wystawa w Bibliotece Narodowej pokazuje kolekcję Péraire’a, a także wiele dokumentów ze zbiorów warszawskiej instytucji. ●

Wystawę „VOJAGO. Rowerem do Azji z esperanto (1928-1932)” można oglądać w Bibliotece Narodowej w Warszawie do końca marca 2026 roku. Jej kuratorami są Gabriela Skonieczna i Pascal Dubourg Glatigny, historyk i esperantysta.

1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

weekendówka 191

W RYTMIE REGGAE

Urodził się 6 lutego 1945 roku w wiosce Nine Mile na Jamajce, choć w akcie urodzenia widnieje data 6 kwietnia. Zresztą, ten 6 lutego też nie do końca jest pewny. Jego matka zwlekała z rejestracją syna, m.in. dlatego, że jego ojcem był biały mężczyzna, niejaki Norval Sinclair Marley. Nazywany „kapitanem", ale w armii brytyjskiej służył zaledwie jako szeregowy.

„Kapitan" Marley odwiedził syna raptem dwukrotnie. Wcześniej, na wieść że Cedella Malcolm jest z nim w ciąży (dzieliło ich 41 lat), przyrzekł jej małżeństwo. Z tej obietnicy się wywiązał, ale potem porzucił młodą matkę z dzieckiem. Zmarł na zawał serca, kiedy Bob miał raptem 12 lat.

Początkowo też Bob wcale oficjalnie Bobem nie był – choć mówią o tym niektóre przekazy. Cedella nazwała go Nesta Robert Marley i dopiero jeden z urzędników zmienił kolejność imion, z uwagi na to, że Nesta za bardzo wyglądało na imię żeńskie.

Jako kilkulatek był obiecującym wróżbitą, bo dość sprawnie i trafnie przychodziło mu czytanie z ludzkich dłoni, ale ostatecznie zdecydował się na muzykę. Zresztą, za sprawą babki, Omariah, był trochę na muzykowanie skazany.

Pierwszy utwór nagrał jako 17-latek. „Judge Not", nawiązujące do słów Jezusa „Judge not, that ye be not judged" – „nie sądźcie, byście nie byli sądzeni" wygłoszonych podczas Kazania na Górze (Ewangelia wg św. Mateusza 7,1-5), furory nie zrobił, ale wkrótce później Marley wraz ze szkolnym kolegą, niejakim Nevillem Livingstonem, później znanym światu jako Bunny Weiler, oraz kolejną reggae'ową sławą, Peterem Toshem (wówczas jeszcze Winstonem McIntoshem) powołali do życia grupę Teenagers. Ta przekształciła się następnie w Wailing Rudeboys, potem Wailing Wailers, by ostatecznie ochrzcić się Wailers.

6 lutego to dziś Dzień Boba Marleya, oficjalne święto państwowe na Jamajce. Celebruje się je, jakżeby inaczej, masą koncertów muzyki reggae w całym kraju, Szczególne uroczystości odbywają się w mauzoleum Marleya w rodzinnym Nine Mile, gdzie artysta jest pochowany (zmarł w wieku 36 lat na nowotwór).

Ale Dzień Boba Marleya, choć poza Jamajką święto ma charakter nieformalny (z wyjątkami, jak choćby Toronto, które wielokrotnie ogłaszało je oficjalnie, po raz pierwszy za sprawą burmistrza Arta Eggletona w 1991 roku), obchodzone jest na całym świecie.

Ale za sprawą „Weekendówki" jeszcze nie było, dlatego nadrabiamy zaległości i, choć de facto to dzień po Dniu Marleya, dzisiejszą krzyżówkę poświęcamy reggae! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

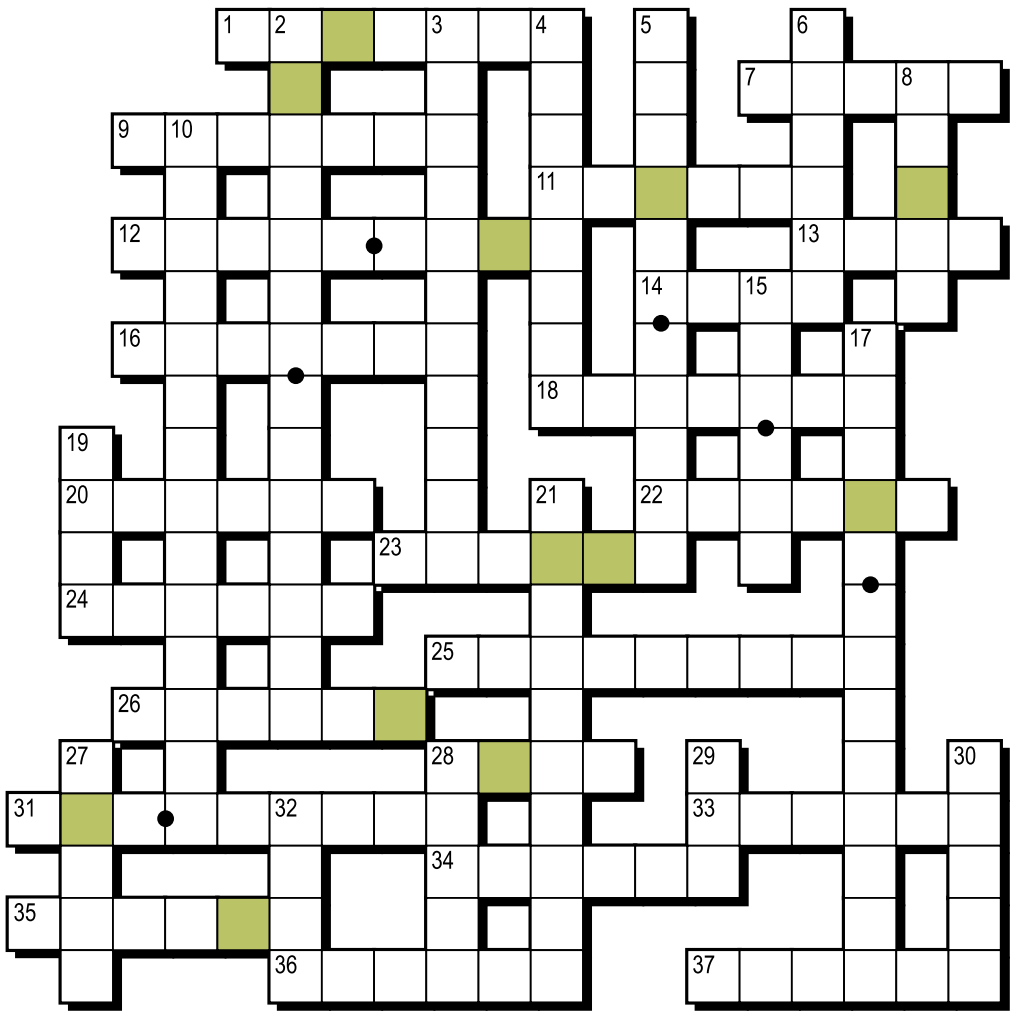

JAMAJKA I REGGAE
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) ojczyzna Hajle Sellasjego – cesarza bliskiego dla wyznawców 10 pionowo
7) panuje w wielu rejonach Jamajki
9) np. dredy
11) „biblijny" tytuł albumu Boba Marleya
12) Jamajczyk najszybszy na świecie
13) zespół taki jak The Heptones („Book of Rules")
14) reggae – muzyka szybko wpadająca w ...
16) Hawana – Kubanki, Kingston – ?
18) ... Środkowa, z Jamajką
20) kontynent z 1 poziomo
22) żaglowiec szkoleniowy „Fryderyk ...", pojawi się na Jamajce z hasłem promocyjnym „... in Jamaica, Marley in Poland"
23) Post, amerykański raper, nagrał piosenki z Damianem Marleyem
24) Indios ..., polska grupa reggae z Piotrem Banachem i Gutkiem
25) ... muzyki reggae, np. Summerjam, Reggae Sumfest, Reggae na Piaskach
26) Jamajczyk Marlon James (laureat Nagrody Bookera)
28) Nine Mile bliska 31 poziomo
31) legenda muzyki reggae, wykonawca piosenek „I Shot the Sheriff", „Could You Be Love"
33) bananów – rozpowszechniona na Jamajce
34) jamajski Sound ..., grupa producentów i didżejów zaangażowana w reggae, ska, dancehall
35) uzdolnienie, iskra boża
36) reggae
37) coś, co nas zachwyca (np. rajskie krajobrazy Jamajki)

Pionowo:
2) uprawiana na Jamajce, surowiec do produkcji 29 pionowo
3) rozłożyła kocyk nad Morzem Karaibskim
4) lekka ..., domena wielu jamajskich sportowców
5) największy przebój zespołu 19 pionowo
6) Kingston, Portmore lub Montego Bay
8) kraj, z którego pochodzi zespół Laid Back znany z piosenki „Sunshine Reggae"
10) ruch społeczno-religijny powstały w latach 60. na Jamajce
15) hit Jimiego Hendrixa w repertuarze jamajskiej grupy reggae Black Uhuru
17) nagrał piosenki „Każdego dnia", „Szukając szczęścia"
19) grupa znana z utworów „Fala ludzkich serc", „Moje paranoje"
21) sportowiec kojarzący się z filmem „Reggae na lodzie"
27) „No ..., No Cry"
28) Kuba, Jamajka, Haiti...
29) trunek kojarzący się z Jamajką
30) ... Reggae Rockers, projekt muzyczny Dariusza Malejonka
32) kołyszący ... muzyki reggae

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 190 z 31.01:

Poziomo:
4) pamiętniki 8) Łowiczanka 9) sprzączka 10) Wiadomości 12) Amerykanie 15) karate 17) Adidas 19) miecz 22) mierzeje 24) zima 25) nosze 26) zęby 27) tygrysy 29) czerń 31) paskarka 36) strzemiona 38) paskówki 40) żagiel 41) piżama 42) orbita 43) rymarz.

Pionowo:
1) nogi 2) biodra 3) rzemienie 4) pasiaki 5) morze 6) nazwa 7) krawiec 11) świadectwa 13) ryska 14) kimono 15) klamra 16) rycerze 18) dziurka 20) ekspresówka 21) zieleń 23) zebra 28) spinanie 30) pasaż 32) samolot 33) krawaty 34) pręgi 35) wiersz 37) osoba 39) kwasy.

Hasło: PAS ORIONA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 74c5a22a0e

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

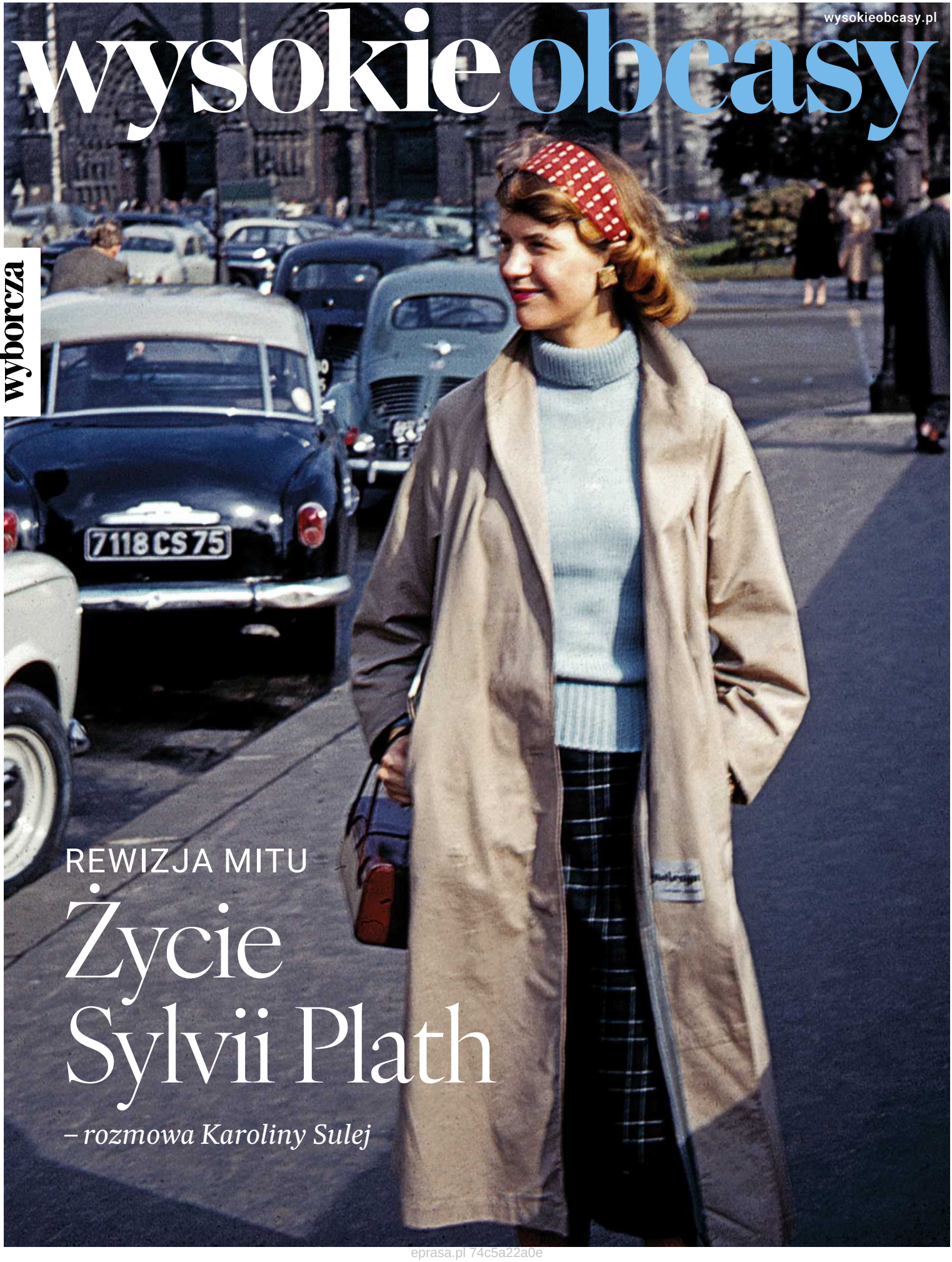

REWIZJA MITU

Życie Sylvii Plath

– rozmowa Karoliny Sulej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 6 (1377) SOBOTA – CZWARTEK, 7-12 LUTEGO 2026

eprasa.pl 74c5a22a0e

Pod nadzorem

PAULINA REITER

Kochanie, czy mogę cię śledzić?". Oczywiście, nikt tak nie zada tego pytania. Zapyta raczej: „Miła, czy udostępnisz mi swoją lokalizację?". Współczesna technologia pozwala, by smartfon drugiej osoby wysyłał sygnał, który będziemy mogły/mogli odczytać i sprawdzić, gdzie ta osoba jest. Ponieważ od samego tego pytania dostaję ciarek zgrozy, zaczynam zastanawiać się, kiedy to może mieć sens.

Zapewne, kiedy sprawa dotyczy dziecka, choć i to budzi moje wątpliwości – małe dziecko jest przecież pod opieką kogoś dorosłego, więc po co je śledzić? Może kiedy zaczyna samo wracać ze szkoły i chcemy mieć pewność, że dotarło bez szwanku do domu. Dodam, że miałam już opór na poziomie internetowych dostępów do dzienników szkolnych typu Librus – co za koszmar dla dziecka i dla rodzica, być wiecznie pod kontrolą, być wiecznie nadzorcą. A duże dziecko ma chyba prawo do jakiejś swobody.

Może kiedy osoba starsza zaczyna mieć demencję, chorobę Alzheimera? Tak, to ma sens. A kiedy parter wyrusza samotnie w jakąś podróż? To również wydaje się sensowe, jeśli sam poprosi o to, dla własnego poczucia bezpieczeństwa.

Rozmawiam z moimi znajomymi i słyszę, że to wygodne. Można sprawdzić, kiedy mąż/żona będzie w domu, i wstawić obiad. Ale czy nie można po prostu zadzwonić albo wysłać wiadomość: „Kochanie, będę za 10 minut". Dla wygody dać się tak inwigilować?

W tym numerze przeczytacie rozmowę Pauli Szewczyk z psycholożką, terapeutką par Violettą Miętką o ludziach, którzy chcą obserwować partnera bądź partnerkę. Analizuje ona motywy, jakie mogą stać za taką potrzebą. Jeśli jest to poczucie bezpieczeństwa, to zapytajmy siebie, co sprawia, że mi go brakuje. A może chodzi o brak zaufania? Tym gorzej, prawda?

Moja znajoma mówi mi, że jest wręcz przeciwnie – że jest to wyraz zaufania. Ona sama udostępnia swoją lokalizację przyjaciółce. Zaczęło się od potrzeby poczucia bezpieczeństwa – jeśli szła na randkę, chciała, by ktoś wiedział, gdzie jest. Ale teraz jest im po prostu wygodniej – gdy się spotykają, mogą sprawdzić, kiedy druga będzie na miejscu.

Być może reaguję na to wszystko tak źle, bo wychowałam się w latach 80., bez nadzoru. Mówiliśmy z bratem, że wychodzimy, i znikaliśmy na całe godziny, włócząc się po okolicznych podwórkach całą bandą.

Gdyby partner zaproponował mi śledzenie, byłoby to dla mnie podejrzane – pomyślałabym, że chce mnie kontrolować. Przestrzenie wolności i intymności, które nam zostały, są i tak coraz mniejsze.

Cóż, dziś mówię tak, a jutro być może będę śpiewać inaczej. Gdyby ktoś dwadzieścia lat temu powiedział mi, że będę publicznie udostępniać swoje zdjęcia z wakacji, zdjęcia piesków, zachwyty nad jakimś daniem w restauracji, czy wyznawać miłość ukochanemu, to bym w to nie uwierzyła. A jednak robię to, i to nie pod przymusem, lecz dobrowolnie. ▲

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Monica Bellucci i jej włoskie widzenie świata ■ **TEMAT NUMERU: Miłość po latach** • Jak utrzymać wieloletni związek? • Co zrobić, by uczucie nie słabło? • Czy odrobina łagodnego samooszukiwania może nam wyjść na korzyść? • O swoich związkach opowiadają nam: Joanna Przetakiewicz, Paulina i Maciej Orłosiowie, Alżbeta Lenska i Robert Biedroń ■ **Psychologia:** Toksyczne matki też kochają ■ **Twarze:** Olga Bołądź, Margot Robbie i Barbara Walters ■ **„Wysokie Obcasy Extra"** już w sprzedaży z prezentem – Bioliq BHL Barierowy krem ochronny do twarzy lub dwiema wybielającymi pastami do zębów Himalaya

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Paulina Reiter

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska
INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Katarzyna Seiler
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFOWA PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronie 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 6 (1377)
NA OKŁADCE:
SYLVIA PLATH
FOT. GORDON LAMEYER

NA OKŁADCE: SYLVIA PLATH W PARYŻU, WIOSNA 1956; DZIĘKI UPRZEJMOŚCI LILLY LIBRARY I ELIZABETH LAMEYER GILMORE

eprasa.pl 74c5a22a0e

Wybierz bohaterkę 2025 roku – zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka, uzasadnij swój wybór i wygraj nagrodę!

14 historii, 15 wyjątkowych kobiet

Przeczytajcie o nominowanych na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka i zagłosujcie w plebiscycie „Wysokich Obcasów". To bohaterki, które spotkaliście na naszych łamach w zeszłym roku. Kobiety, które swoim życiem, postawą, wartościami rozpaliły waszą i naszą wyobraźnię. Które swoją śmiałością, swoją wizją zmieniają świat. Zarażają energią, siłą i niezłomnością. Potrafią przezwyciężać zarówno osobiste bariery, jak i społeczne czy polityczne ograniczenia. Czasami to osoby znane ze sceny, świata nauki, biznesu. Czasami rozpoznawane jedynie lokalnie czy tylko w swoim środowisku. Głosując na nasze Superbohaterki, możecie wygrać nagrody. Regulamin akcji jest dostępny na *www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka*

NOMINOWANE W PLEBISCYCIE:

KATARZYNA BUTOWTT
URSZULA DUDZIAK
GIZELA JAGIELSKA
JULIA KAMIŃSKA
JOANNA KOWALCZUK
KLARA KOWALCZYK
WERONIKA MLICZEWSKA
SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ
ANNA PRZEDPEŁSKA-TRZECIAKOWSKA
MAGDALENA RÓŻCZKA
NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC
KATARZYNA SŁOMIŃSKA
ZUZANNA STAŃSKA
JOANNA TALEWICZ

5× Naszyjnik z mosiądzu pozłacanego kolekcja BeLoved od YES

5× Apaszka SOLAR x Wysokie Obcasy i Voucher o wartości 300 zł do wydania w sklepach stacjonarnych SOLAR

5× Zestaw fizjoterapeutyczny od GEDEON RICHTER

5× Kolekcja do pielęgnacji paznokci od NEONAIL

5× Zestaw kosmetyków NEO MAKE UP do makijażu

5× Zestaw 3 kosmetyków Anti-Âge Global od Yves Rocher

SPONSOR STRATEGICZNY YES
SPONSOR GŁÓWNY SOLAR
SPONSORZY YVES ROCHER FRANCE NÉONAIL NÉO MAKE UP GEDEON RICHTER

eprasa.pl 74c5a22a0e

Superbohaterka 2025

Wybierz bohaterkę 2025 roku, zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka

Świat jest pełen wspaniałych kobiet, Polska jest pełna wspaniałych kobiet. W każdym numerze przedstawiamy wam osoby, które robią rewolucję w świecie i zmieniają go na lepsze.
Co roku spośród naszych bohaterek wybieramy Superbohaterkę „Wysokich Obcasów”. Doceniamy odwagę, empatię, wrażliwość, wiarę w to, że można żyć inaczej. Bo Superbohaterka ma w sobie nieustępliwość, determinację, wyobraźnię. I potrzebę działania.
Superbohaterka inspiruje. Czasem wychodzi z siostrami na ulicę, innym razem walczy z systemem samotnie, w domowym zaciszu. Czasem musi wykrzyczeć swoją złość, innym razem wystarczy szczera opowieść, przełamanie tabu, by dokonać zmiany.
Przedstawiamy wam 14 historii i 15 kobiet nominowanych do tytułu Superbohaterki 2025 roku. Są wśród nich kobiety, które inspirują tym, co mówią, tworzą, śpiewają. Są kobiety, które pomagają innym i nie zostawiają nikogo bez wsparcia. Są podróżniczki, działaczki społeczne, sportowczynie.
O tych bohaterkach mogłyście i mogliście przeczytać w zeszłym roku w „Wysokich Obcasach”. To one mają odwagę, by działać, naprawiać, przeciwstawiać się przemocy i językowi nienawiści.
Wybierzcie swoją Superbohaterkę. Czekamy na wasze głosy. ▲

JULIA KAMIŃSKA

aktorka, aktywistka
– za bezkompromisowość i odwagę w działaniu na rzecz praw kobiet w Polsce

URSZULA DUDZIAK

artystka, światowa ikona jazzu
– za śmiałość twórczą i inspirowanie kobiet, by miały odwagę żyć pełniej, radośniej

ANNA PRZEDPEŁSKA -TRZECIAKOWSKA-

powstanka
– za to, że nigdy nie milczy, gdy dzieje się krzywda

MAGDALENA RÓŻCZKA

aktorka
– za Fundację Ukochani, za walkę na rzecz rodzicielstwa zastępczego w Polsce

GIZELA JAGIELSKA

lekarka
– za to, że idzie jasną ścieżką w niejasnym prawie

eprasa.pl 74c5a22a0e

NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC

aktywistki, autorki książki „Grubancypacja. O grubości bez przepraszania”
– za wyciąganie grubości ze sfery wstydu

ZUZANNA STAŃSKA

historyczka sztuki
– za aplikację Dailyart i jej międzynarodowy sukces

JOANNA KOWALCZUK

podróżniczka
– za zdobycie sześciu z siedmiu najwyższych wulkanów świata

JOANNA TALEWICZ

prezeska Fundacji W Stronę Dialogu
– za to, co robi na rzecz Romek w Polsce

KATARZYNA BUTOWTT

modelka, ikona polskich wybiegów
– za odważną opowieść o rodzinie i przełamanie tabu

KATARZYNA SŁOMIŃSKA

modelka, psycholożka, pacjentka onkologiczna
– za opowieść o tym, że kobiecość nie znika z usuniętymi piersiami

WERONIKA MLICZEWSKA

reżyserka filmu „Dziecko z pyłu”
– za wybitny film dokumentalny, świadectwo wielkiej wrażliwości i nietuzinkowego talentu

KLARA KOWALCZYK

pierwsza Polka w programie kartingowym F1 Academy
– za śmiałość ściganiu się na torze wyścigowym

SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ

założycielka Fundacji „Zapisane w mózgu”
– za książkę „Niewidzialna”, za upominanie się o osoby z alzeimerem

FOT. RAFAŁ MASŁOW, WOJCIECH OLKUŚNIK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS, WERONIKA ŁAWNICZAK/NETFLIX, HUBERT KOMERSKI, MACIEJ JĘDRZEJEWSKI, KAROLINA JACKOWSKA, KAROL GRYGORUK, DAWID GRZELAK, ŁUKASZ GIZA/AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE (4), VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 74c5a22a0e

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI LILLY LIBRARY I ELIZABETH LAMEYER GILMORE, FOT. GORDON LAMEYER

eprasa.pl 74c5a22a0e

HEATHER CLARK

Pogromczyni mitu

O Sylvii Plath wciąż opowiada się w kontekście jej złamanego serca, depresji i samobójstwa. A to nie oddaje ani prawdy jej życia, ani poezji.

eprasa.pl 74c5a22a0e

Z **HEATHER CLARK***
ROZMAWIA **KAROLINA SULEJ**

n

Nad biografią Sylvii Plath pracowałaś przez dekadę. Ma ponad 1000 stron, jest literaturoznawcza, szczegółowa, skupiona na analizie poezji – a mimo to trafiła na listy bestsellerów, była finalistką Nagrody Pulitzera, została laureatką Truman Capote Prize for Literary Critisism. Niedawno ukazała się w Polsce. Nie jest to pierwsza biografia Plath na rynku. Książki zajmujące się jej twórczością, życiem miłosnym i małżeńskim, zdrowiem psychicznym, próbą samobójczą i samobójstwem zajmują całe półki w księgarniach. Dlaczego zdecydowałaś, że ten zbiór potrzebuje jeszcze rozszerzenia?

– Większość literatury o Plath jest pełna uproszczeń, romantyzowania jej wyborów. Większość czyni z jej samobójstwa punkt wyjścia do zrozumienia jej życia. To seksistowskie i zwyczajnie niesłuszne.

Śmierć Plath się jednocześnie fetyszyzuje i z niej żartuje. Czy życie Ernesta Hemingwaya zostało tak zdefiniowane przez jego samobójczą śmierć od strzału pistoletu? A Davida Fostera Wallece'a, który się powiesił? Plath została zaklęta w scenografię swojej śmieci. Jakiemuś dziennikarzowi przyszło kiedyś do głowy, że zabawnym będzie umieszczenie piekarnika na stronie magazynu kobiecego, w tekście o inspiracjach stylem Sylvii Plath. Śmieszne, prawda?

Zabicie się poprzez przez zatrucie czadem z piekarnika było wtedy jednym z najpopularniejszych rodzajów samobójstwa. W 1963 roku wszyscy mieli takie piecyki. Wkładasz głowę, odkręcasz gaz i zasypiasz. Wkrótce zabroniono zresztą używania węgla, na rzecz gazu, tyle było samobójstw.

Nieźle cię to irytuje.

– Każdą kobietę powinno! Nie byłam czytelniczką Plath. Przyszła do mnie późno, niejako rodzaj pracy domowej. Wykładam poezję na uniwersytecie i Sylvia Plath to był temat w programie studiów. Pamiętam, koledzy mówili mi – na luzie to potraktuj, to przecież tylko Sylvia, nic poważnego. A ja zaczęłam czytać jej wiersze i myślę sobie: to przecież takie dobre! Czemu nikt mi o tym nie powiedział? Czemu ciągle tylko słyszę o jej wizerunku? Zrozumiałam, że przyswoiłam sobie powszechne przekonanie, że Plath to pasywna, krucha, neurotyczna poetka z mrocznym przeznaczeniem. Taka, która nadaje się co najwyżej dla pretensjonalnych nastolatek, które noszą czarne golfy.

Tylko to nie miało nic wspólnego z tym, co czytałam.

A czytałam wiersze tak mocne, tak potężne, genialne – zmiotło mnie po prostu. Wkurzyłam się. Jak możliwa jest tak powszechna niewiedza na temat dorobku Plath przy tak powszechnej kulturowej fascynacji jej osobą? Była jedną z największych artystów XX wieku, a jednak większość ludzi, którzy usłyszą jej nazwisko, stwierdzi: „A, to ta wariatka, która włożyła głowę do piekarnika".

Owszem, w obrębie akademii, mówię teraz o Stanach, istnieje kilkoro plathologów, pisze się ciekawe teksty analityczne, ale czyta je może kilkaset osób. Moją pracę doktorską o lirycznym dialogu pomiędzy wierszami Plath i poezją jej męża, Teda Hughesa, Oxford Press wydał w nakładzie 700 egzemplarzy. Kiedy trzymałam w rękach tę książkę, zrozumiałam, że to dla mnie dopiero początek.

Postanowiłam, że wezmę zebrany materiał badawczy i przetłumaczę go na bardziej dostępny język, dla masowego czytelnika – na biografię. Na szczególną biografię – bildungsroman o stawaniu się pisarką.

Od początku wiedziałaś, jak epicki to będzie materiał?

– Pisałam tak szczegółowo, jak to wydawało mi się konieczne. Miałam szczęście, bo wydawca dał mi czas i wolną rękę. I miałam szczęście, bo na czele fundacji zarządzającej schedą po Plath stanęła wtedy jej córka, Frida Hughes, która okazała się bardzo współpracująca. Mogłam korzystać bezpośrednio ze źródeł. Kibicowała książce, w której będzie mogła zobaczyć matkę jako artystkę. Znalazłam wiele nowych materiałów. Uwzględniłam wszystkie ocalałe listy Plath, w tym czternaście niedawno odkrytych z lat 1960-63, z korespondencji z jej psychiatrą. Oparłam się na świadectwach i archiwach ponad pięćdziesięciu współczesnych poetce osób. Mogłam skorzystać, jako pierwsza biografka, z archiwum Harriet Rosenstein z Emory University. To ważne, bo Harriet przymierzała się do biografii Plath w latach siedemdziesiątych, nigdy jej nie ukończyła, ale przeprowadziła wywiady z dziesiątkami osób. Do tego oczywiście doszło całe archiwum Teda Hughesa, wszystko, co już zostało wydane, akta sądowe, akta policyjne, szpitalne oraz ocalały, ale wcześniej zagubiony fragment nieukończonej powieści Plath „Falcon Yard" oraz inne nieopublikowane utwory, dzienniki, kalendarze. Puzzle z tysiąca kawałków.

Nie widziała rodziny jako uciemiężenia. Ale chciała móc robić to samo co mężczyzna – mieć karierę i życie domowe

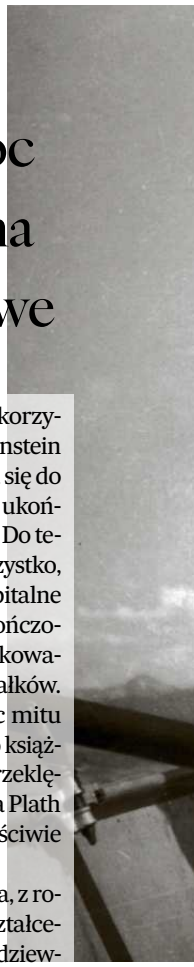

Chciałam stworzyć opowieść alternatywną wobec mitu Plath, chciałam rozsadzić melodramatyczną retorykę. To książka o profesjonalnej, zawodowej pisarce, a nie żadnej przeklętej heroinie. Chciałam się dowiedzieć nie dlaczego Sylvia Plath się zabiła, ale jakim cudem udało jej się stworzyć, właściwie z niczego, tak obfite w genialną poezję życie.

Wiesz, to była zwykła dziewczyna z małego miasteczka, z rodziny imigrantów z Austrii i Niemiec, z dobrym wykształceniem, niezbyt dobrze sytuowana. O, nic specjalnego. I ta dziew-

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ROSE LIBRARY, EMORY UNIVERSITY COPYRIGHT SIV ARB, MORTIMER RARE BOOK COLLECTION; DZIĘKI UPRZEJMOŚCI SMITH COLLEGE SPECIAL COLLECTIONS, COPYRIGHT ELINOR FRIEDMAN KLEIN, MORTIMER RARE BOOK COLLECTION; DZIĘKI UPRZEJMOŚCI SMITH COLLEGE SPECIAL COLLECTIONS, COPYRIGHT ESTATE OF TED HUGHES, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI LILLY LIBRARY, COPYRIGHT WP HEATHER CLARK, COPYRIGHT BEOWULF SHEEHAN

eprasa.pl 74c5a22a0e

Z dziećmi w Court Green, Wielka Brytania, 1962; na łodzi w Yellowstone, lato 1959; Hughes i Plath w podróży poślubnej w Paryżu w 1956; na poprzedniej stronie: Cape Cod, USA, lipiec, 1954

eprasa.pl 74c5a22a0e

czyna, w ciągu zaledwie kilkunastu lat życia, wbrew swojej epoce i jej seksizmowi, zbudowała dziedzictwo, z którym nawet dziś trudno się mierzyć.

Zaczynasz książkę od opisania szczególnego momentu. Jest początek grudnia 1962 roku, Londyn. Są z Tedem w separacji, on podróżuje po Europie ze swoją nową wybranką, a Sylvia wprowadza się do kamienicy przy londyńskiej Fitzroy Road 23. Dorastał tam Yeats, jeden z jej ukochanych poetów.

– Chciałam pokazać, że zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią Plath wydawała się sposobić do rozpoczęcia nowego rozdziału, była pełna nadziei. Nic nie było przesądzone. Zaś w tym, że udało jej się wynająć mieszkanie w miejscu, w którym mieszkał jeden z jej ulubionych artystów, widziała dobry omen.

Chciała stworzyć swój salon literacki, prowadzić bujne życie towarzyskie, mieć koleżanki, posłać dzieci do szkół i skupić się na pracy. Była zorientowana na przyszłość. Wszystkie osoby, których świadectwa znalazły się w tej książce, powtarzają to samo – w mowie czy w piśmie: Sylvia była zabawna, inteligentna, wiecznie czymś zaciekawiona, głodna przygody.

FOT. BEOWULF SHEEHAN

HEATHER CLARK

literaturoznawczyni, autorka książki „Czerwona kometa. Krótkie życie i nieśmiertelna sztuka Sylvii Plath"

A jednak w połowie lutego 1963 roku zabiła się w kuchni swojego wymarzonego mieszkania przy Fitzroy.

– Powtórzmy więc oczywiste. Plath miała depresję, leczyła się na nią, była w terapii. Swoją pierwszą próbę samobójczą przeszła w wieku 20 lat. Wypróbowywano na niej różnorakie metody lecznicze epoki, między innymi elektrowstrząsy. Choroba, traumy szpitalne, nieporadność terapeutów – to był ciężar, który niosła. Definiowało ją jednak tworzenie, a nie chorowanie, i chciała pisać, pracując również na tych trudnych doświadczeniach.

Dotychczas poruszanie w poezji amerykańskiej tematów cielesności, choroby psychicznej, seksualności było nie to przyjęcia. Pierwszym, który przełamał tabu, był Robert Lowell, poeta w ciągu swojego życia wielokrotnie hospitalizowany z powodu depresji.

Plath była uczestniczką jego kursu twórczego pisania na Boston University w 1959 roku. Tam poznała się z Anne Sexton, również genialną poetką, która pewnego dnia wybierze śmierć, podobnie jak Plath. Ale póki co wszystko jest jeszcze dla nich możliwe. W ciągu kilku miesięcy zajęć uczą się od Lowella i od siebie nawzajem odwagi w poszukiwaniach, walczą z lękiem przed łamaniem reguł metrum i decorum.

Wcześniej Sylvia pisała perfekcyjnie wygładzone wiersze, teraz jej styl się rozluźnił. Lowell dodał jej otuchy, żeby pisać o tematach, które ludzie ukrywają, których się wstydzą. Nauczył ją, że żadne doświadczenie nie leży poza poezją.

Ten nurt nazwano poezją konfesji.

– Nie znoszę tego sformułowania, nie znosili go Lowell i Sexton, a gdyby Plath je poznała, też by je pewnie nienawidziła. Konfesyjna, czyli jakby „z konfesjonału", gdzie masz wyznać swoje grzechy. A to była – jeśli musimy już znaleźć na to jakiś termin – poezja świadectwa. Po prostu mówienie prawdy. Pisała o depresji, o śmierci, o rodzinie, o macierzyństwie, o polityce. Tak, była mocno zanurzona w społecznej rzeczywistości swoich czasów. Za życia nikomu nie udało się jej zaszufladkować.

A pośmiertnie już tak?

– O prawo własności do interpretowania schedy biły się dwie frakcje. Jedna to, powiedzmy, patriarchowie, jak wielcy amerykańscy krytycy Harold Bloom czy Irving Howe – w ich oczach poezja Plath to eksces: wisceralna, emocjonalna, histeryczna. No, taka baba. Druga frakcja to feministki, które szukały w jej wierszach śladów nadchodzącej rewolucji. Kiedy pisała: „Daddy, Daddy you bastard I am through" [„Tatusiu, ty parszywcu, teraz już skończyłam" – tłum. Jan Rostworowski], interpretowały to jako zamach na patriarchat. Jasne – ale przecież to nie jest cała prawda tego wiersza. Podobnie – zgodzę się, poezja Plath jest emocjonalna i z bebe-

eprasa.pl 74c5a22a0e

chów, ale to nie znaczy, że nie ma tam „męskiej” struktury, elokwencji i kontroli. Chciała po prostu pisać jak najlepsze wiersze, po swojemu.

Wiele wysiłku przeznaczała też na pomaganie swojemu mężowi w karierze.

– W tym aspekcie była jedną z amerykańskich żon swojej epoki. Gotowała, sprzątała, zajmowała się dziećmi i domem, a poza tym byłą sekretarką, agentką, przepisywała jego teksty na maszynie. Co ciekawe – wydaje mi się, że ją to uszczęśliwiało. Nie widziała rodziny jako uciemiężenia. Ale chciała móc robić to samo co mężczyzna – mieć karierę i życie domowe.

Chciała też żyć ciekawie. Mogła wyjść za lekarza, Dicka Nortona, pierwowzór Buddy'ego Willarda ze „Szklanego klosza” – dobrze sytuowany, aprobowany przez rodzinę, miałaby spokojne życie, mogłaby sobie pisać w przerwach między zajmowaniem się dziećmi.

Ale ona chciała trudniej – walczyła o stypendia, najpierw żeby wyrwać się z domu, a potem jeszcze dalej – z kraju. Była zdeterminowana, że nie ograniczy jej ani płeć, ani choroba, ani stan konta. Musiała od początku ciężko pracować, bo rodziny nie było stać na takie kaprysy. Kiedy już doszła na wyżyny uniwersyteckie, nie zdecydowała się zostać na macierzystej uczelni – Smith College, żeby pracować jako wykładowczyni, bo obawiała się, że odbierze jej to czas na pisanie. Wolała finansową niepewność. Sztuka była dla niej najważniejsza.

W dziennikach często pisze do siebie połajanki, że zbyt mało pracuje.

– Uwielbiała też dyscyplinę, pracę, trudne zagadki do rozwiązania. Wiesz – ona nie pisała takich tam sobie wierszyków, konstrukcja jej wierszy jest bardzo przemyślana. Pisała kunsztowne villanelle i sestyny. Jej poezja to rezultat precyzyjnego rozbioru klasyki, przebudowanej według jej wrażliwości. Każdy środek wyrazu, który lubiła: wykrzyknienia, średniki, szczególna rytmizacja wersów, to wszystko ma uzasadnienie nie tylko w emocji, ale w matematyce wiersza. To nie są „wolne wiersze”, tam jest zaklęta cała jej edukacja, od Szekspira po Eliota, i negocjacje z nią.

W biografii zamieściłam też poezję młodzieńczą Plath, tak zwane juwenilia, których nikt do tej pory nie analizował. Dlaczego mam je ignorować, skoro interesuje mnie proces jej dojrzewania, tajemnica jej geniuszu? To wszystko widać w tych pierwszych próbach. Ciekawe jest też przyglądanie się temu, jak tym genialnym dzieciakiem zajmuje się rodzina. Ojciec z Niemiec, matka Austriaczka, oboje akademicy, była tam germańska etyka pracy. Wytrwałość, dyscyplina – to się liczyło. Nikt jednak nie podważał marzeń młodej dziewczyny – ale jeśli chciała być pisarką, musiała się przyłożyć. Matka była najczęściej pierwszą widownią Plath. Z ich bliskiej relacji nie wynikały oczywiście tylko pozytywy, ale na pewno w pierwszych latach bez tego wsparcia Plath nie wyrobiłaby w sobie samozaparcia i pewności siebie.

OGŁOSZENIE

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

codziennie w sprzedaży
w sieci

LIDL

teraz już także
na nowych regałach prasowych

eprasa.pl 74c5a22a0e

Pisarka Maggie Nelson w swoim eseju „The Slicks" porównuje Sylvię Plath do Taylor Swift. Pisze, że dla obu z nich pisanie było sposobem na przeżywanie emocji, podkreśla też ich wytrwałość od najmłodszych lat.
– Maggie podkreśla też, że – każda dla swojej epoki – jest wyrazem pewnego szczególnego rodzaju amerykańskiej kobiecości. Maggie widzi te dwie artystki jako podobnie interesujące ekrany społecznych projekcji, ale też analizuje, jak musiały się przebijać w męskim świecie, jednocześnie nie chcąc porzucać wrażliwości, życzliwości i pewnego rodzaju „swojskości".

Ja jednak byłabym ostrożna w porównywaniu poetki do piosenkarki. Pisanie wierszy to nie jest pisanie tekstów. Taylor to elokwentna artystka, brakuje jej jednak oczytania Plath, jej akademickiego podglebia. Mam też wrażenie, że różnią się w radykalności swojego gestu. Poezja Plath była o wiele większym naruszeniem tabu, niż jakakolwiek piosenka Taylor do tej pory.

Jeśli już miałabym porównać to, co miała czelność powiedzieć publicznie Sylvia, to bliżej mi do języka punk rocka, do kawałków, które pisała i wyśpiewywała Courtney Love i dziewczyny z rockowej rewolucji girl power z lat 90. Plath jest dla mnie o wiele bardziej punkowa niż popowa.

Była samotna, kiedy Ted odszedł, nie tylko jako kobieta, *ale partnerka w twórczości*

Czy była feministką?
– Na łamach swojego dziennika wielokrotnie frustrowała się, dlaczego mężczyźni mogą sypiać z kim popadnie, a dziewczyna ma pilnować cnoty. Wkurzała się też, że musi udowadniać kolegom po piórze, że ma coś do powiedzenia.

Ted nazywał ją często laurentystką, od nazwiska jednego z jej ulubionych pisarzy D.H. Lawrence'a. Lawrence malował swobodny krajobraz obyczajowy, a Plath była bliska logika seksualnego wyzwolenia. Nie wiem jednak, czy podpisałaby się pod wszystkimi ówczesnymi postulatami feminizmu. Podkreślała wielokrotnie, że ona nie jest z tych „kobiet sukcesu", że dla niej rodzina jest najważniejsza. Miewała zjadliwe komentarze na temat kobiet, które dokonały aborcji. O kochance swojego męża, Assii Wevill – która nie mogła mieć dzieci, mówiła, że jest „barren" – jałowa. Rodzenie dzieci to był dla niej wyraz twórczej, boskiej siły, podobnej do tworzenia sztuki. To było też doświadczenie, które mogła wykorzystać w poezji – niedostępne drugiemu poecie w domu, Tedowi, i innym mężczyznom.

Bywała jednak szalenie feministyczna. W 1960 roku na antenie BBC przeczytała wiersz o poronieniu „Stillborn", to był skandal w tym czasie. Do tomiku „Ariel" stworzyła „Trzy Kobiety", wiersz, który trudno określić inaczej niż siostrzeński. Trzy kobiety na porodówce – jedna rodzi zdrowego syna, druga roni, trzecia oddaje swoje dziecko. Choć tak odmienne, łączy je wspólny los kobiet, które definiuje reprodukcja, których doświadczenie nie jest brane pod uwagę, są jedynie „inkubatorami" dla swoich dzieci.

Mężczyźni w tym wierszu są potworni. Zresztą podobnie w „Szklanym kloszu", który opowiada historię wrażliwej, ambitnej dziewczyny „pod kloszem" epoki. Jedyna powieść Plath to powieść feministyczna.

Rozwiń, proszę.
– Zauważ, że zaczyna się od szczególnego zaznaczenia czasu i miejsca akcji. To Nowy Jork, lato 1953 – lato, w którym zamordowano Rozenbergów na krześle elektrycznym. Czyli wiesz od początku, że będzie to opowieść o nowoczesnym, „rajskim" społeczeństwie, w którym jednak za nieposłuszeństwo spotyka cię najwyższy wymiar kary. Jak w dobrym filmie – skoro pojawia się pistolet, to w pewnym momencie musi wypalić. Elektryczna tortura powróci więc jako niby niewinny zabieg medyczny.

Poruszamy się z Esther, port parole autorki, po nowojorskich salonach, spędzamy czas w biurach stylowego magazynu mody, gdzie znajduje się na stażu. Wszystko jest oszałamiające, eleganckie, ale czuć wiszącą w powietrzu przemoc. Esther, tak jak Sylvia Plath na swoim stażu w czasopiśmie |"Mademoisselle", nie może tworzyć poważnych reportaży czy wywiadów. Ma pisać o szminkach i szukać męża, tak jak wszystkie inne inteligentne studentki. Nazywało się to uzyskiwaniem „mrs degree" („tytułu żony").

Ani Esther, ani Sylvia nie chciały jednak byle kogo i miały większe zawodowe ambicje. Żaden mężczyzna przed Tedem nie traktował Plath poważnie jako artystki. Ich relacja twórcza jest tutaj kluczowa. Byli siebie warci. Dwójka geniuszy, spragnionych sławy, pełnych pasji – to było chyba najbardziej dla Sylvii podniecające.

Ale przecież wiemy, że Ted był zazdrosny o jej sukcesy, wiemy że spalił jej dzienniki z czasu najmroczniejszej depresji, wiemy że samobójstwo popełniła też partnerka, dla której zostawił Sylvię – Assia. Nie jest on portretowany w literaturze o Plath jako książę na białym koniu.
– Tak, rozumiem te antypatie i myślę, że Ted zrobił wiele, żeby uzasadniać takie przekonania na swój temat. Ale też pamiętajmy, że Sylvia cierpiała na depresję na długo przed tym, zanim poznała Hughesa. Nie można wszystkiego zrzucać na jedną osobę. Ted zachował się okropnie. Zostawił żonę i dziecko dla innej kobiety. A jeszcze trafiłam na poszlaki, że ten związek mógł być przemocowy. Plath pisze o tym w liście do swojej psychiatry. Wspomina, że przyłapał ją na tym, jak w szale zazdrości drze jego notatki, nie wytrzymał i popchnął ją, przewrócił. Tydzień później poroniła.

Takich sytuacji mogło być więcej. Oboje byli temperamentni. To był jednak skomplikowany związek i wiele też dobra dla siebie zrobili. Żadne z nich nie rozwinęłoby się tak bez drugiego.

Była samotna, kiedy Ted odszedł, nie tylko jako kobieta, ale partnerka w twórczości.

Podkreślała, że niczego nie obawia się bardziej, niż być postrzeganą jako „ta porzucona".
– Była bardzo dumna, a tu nagle stała się tematem plotek i obiektem litości. Trzeba pamiętać, że wtedy samotne matki były szalenie stygmatyzowane, może z dwa procent spo-

eprasa.pl 74c5a22a0e

łeczeństwa stanowiły takie kobiety. Była duża presja, żeby utrzymać rodzinę. Plath, taka niby utalentowana, zaradna, a nie potrafi dowieźć tej najbardziej podstawowej rzeczy, którą robią wszystkie kobiety. Tak mówiły złe języki. Faceta nie umie utrzymać, patrzcie ją! Jestem pewna, że to bardzo przeżywała, była perfekcjonistką, najlepsza we wszystkim. A tu taka porażka. I jeszcze dochodziły do niej plotki o tym, co tam porabia Ted z Assią, to był przecież mały świat.

Myślała, że romans podniesie ją na duchu. Poznała krytyka literackiego Ala Alvareza, którzy kibicował jej też bardzo, kiedy pisała „Ariela". Czuła, że rodzi się z tej znajomości coś nowego, dobrego. W wierszu inspirowanym tym romansem, „List w listopadzie", pisze wprost, że jest „stupidly happy".

Ale kiedy stanęła przed jego drzwiami w Wigilię, powiedział, że nie ma czasu, ma inne plany. Zrozumiała, że dla niego to była tylko przelotna znajomość. Odtrącił ją. Tak jak Ted wcześniej. I jeszcze wydawca amerykański odrzucił wtedy „Szklany klosz". Wiele odrzuceń w tym samym czasie.

To była zimna zima, najzimniejsza od stu lat. Taki wilgotny chłód, którego się nie da ogrzać, nie było gorącej wody, bo popękały rury. Frida była starsza, ale mały Nicolas miał dopiero roczek. Wydaje się, że Sylvia mogła cierpieć do tego wszystkiego na depresję poporodową. Dzieciaki w tym zimnie chorowały. Pieniądze się kończyły. Jeszcze pisanie „Ariela" trzymało ją w pionie, ale wydawało się, że ta samotna zima nie będzie mieć końca. Już raz próbowała się zabić, wiedziała, że jest w stanie to zrobić. Myślę, że nie zdecydowałaby się na to jednak, przetrwałaby, gdyby nie jeden, ogromny lęk. Bała się, że traci rozum. Bała się, że jeśli postrada zmysły, nie będzie już mogła pisać. Bała się, że zamkną ją w szpitalu znów, a tam znów będą ją traktować elektrowstrząsami, a może nawet poddadzą lobotomii. Wiedziała, że nie ma znajomości ani środków, żeby postarać się o szpital dla uprzywilejowanych, że trafi do nory, w której pozbawią ją godności. Niczego się tak nie obawiała jak takiego upokorzenia. Nie była w stanie zaakceptować, że może znów spotkać ją taka przemoc. Chciała być pamiętana jako poetka, a nie wariatka. Nie chciała, żeby dzieciaki i Ted się za nią wstydzili. Wyobrażam sobie, że mogła zdecydować się na ten krok nie ze słabości, ale wykonać go w geście zachowania godności.

HEATHER CLARK „Czerwona kometa. Krótkie życie i nieśmiertelna sztuka Sylvii Plath", przekład Jarosław Mikos, wyd. Marginesy

Zadośćuczyńmy jej pragnieniom i zapamiętajmy ją jako poetkę. Masz swoje ulubione wiersze?

– Mam swoje ulubione wersety. Ten z wiersza „Księżyc i cis": „to jest światło umysłu, zimne i planetarne". I ten z „Owiec we mgle": „sieroce, bezgwiezdne niebo" [tłum. Teresa Truszkowska]. To przenikliwy opis depresji. Bez romantyzowania. To alchemia poezji, która przerabia doświadczenie. Kiedy moja książka trafiła do księgarń, wiele osób pisało mi, że dziękują za to, jak przyglądam się depresji u Sylvii, jak rezonują z nimi jej wiersze. Jak cieszą się, że depresja nie jest w tej biografii przedstawiona jako wyrok, ale że zanim Sylvia poddała się chorobie, potrafiła być tak szczęśliwa, tak żywa, odważna, radosna. Wiele było w tym nadziei, według wielu czytelników, i ich to wzmocniło.

Zresztą nie można zapominać, że zaledwie na chwilę przed śmiercią skończyła arcydzieło literatury światowej, tomik „Ariel". Ostatni wiersz tego zbioru, „Krawędź", to chyba mój ulubiony jej wiersz w ogóle. Ponieważ jest ostatni, wiele osób interpretuje go jako pożegnalny, ale ja czytam go inaczej. To raczej ironiczny komentarz społeczny, pisany z miejsca mocy.

Opowiada gorzko, że społeczeństwo nie da kobiecie spokoju, nigdy nie uzna za wystarczającą. Dopiero, kiedy umrze, „osiąga doskonałość" [tłum. Teresa Truszkowska] – jest taka jak trzeba. Milcząca, bierna. Ten wiersz to oskarżenie wobec świata, którego standardy wobec kobiet są zabójcze, ale jego deklaracje – wzniosłe. Taki sarkazm na odchodnym. Nie gest poddania, ale zwycięstwa. ▲

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGŁOSZENIE

W SPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: MIŁOŚĆ PO LATACH. JAK UTRZYMAĆ WIELOLETNI ZWIĄZEK?

MONICA BELLUCCI: Jak być piękną i nie zwariować

KULISY SCENOGRAFII Heweliusza

KOBIETY, które chcą żyć solo

wysokieobcasy extra

Prezent do wyboru:
Bioliq BHL Barierowy krem ochronny do twarzy lub Himalaya pasty do zębów

eprasa.pl 74c5a22a0e

Iranki razem, choć *osobno*

Jednoczy nas wspólny cel: obalenie ajatollahów. I na tym koniec, bo wizje Iranu po upadku władzy mocno się rozjeżdżają. A opozycji nie ma.

eprasa.pl 74c5a22a0e

TEKST **ARTUR ZABORSKI**

Iranki z różnych warstw społecznych i różnych przekonań kroczą ulicami irańskich miast razem, ale nie dlatego, że chcą, tylko dlatego że nie mają innego wyjścia – słyszę od kobiet z Iranu. Niektóre moje rozmówczynie nadają z ogarniętego protestami kraju (a przynajmniej próbują, bo kontakt przez aplikacje typu WhatsApp odbywa się raz na kilka dni), inne analizują sytuację w ojczyźnie z dystansu. Położenie geograficzne nie ma jednak znaczenia – wszystkie zgadzają się co do tego, że choć zjednoczenie Iranek jest pozorne, to doprowadziło ich kraj do przełomowego momentu.

– Jednoczy nas wspólny cel: obalenie ajatollahów. I na tym koniec, bo wizje Iranu po upadku władzy mocno się rozjeżdżają. A opozycji, która byłaby skupiona wokół jakiegoś programu, w kraju nie ma. Jest tylko doraźny cel: zmienić rządzących. Jednak w odpowiedzi na pytanie, co potem, społecznego consensusu nie ma, bo Iranki są zbyt zróżnicowane – przekonuje mnie niespełna 40-letnia Miriam z Teheranu, po ekonomii.

Zjednoczenie kobiet ponad podziałami zaczęło się w Iranie po śmierci Mahsy Amini. 22-letnia Kurdyjka zmarła 16 września 2022 roku w stołecznym szpitalu Kasra. Poniosła śmierć w wyniku obrażeń odniesionych w wyniku zatrzymania przez policję obyczajową. Pretekstem była zbyt swobodnie nałożona na głowę chusta.

– Obowiązkowe zasłanianie włosów doprowadza do napięć między kobietami a władzą od 1979 roku, kiedy w wyniku rewolucji islamskiej przestrzeganie zasady hidżabu stało się obowiązkowe. Jednak gdy media obiegła informacja, że w Iranie, żeby ściągnąć na siebie śmierć, nie trzeba biegać z odkrytą głową i prowokować strażników, tylko wystarczy odsłonić pukle włosów, przelała się szala goryczy – tłumaczy mi Miriam. – To wtedy na ulice wyszły razem kobiety zamożne i biedne, wykształcone za granicą, jak i te, które nigdy nie wyściubiły nosa poza Iran, z różnych pokoleń, a nawet te konserwatywne, które nie wyobrażają sobie, żeby wyjść z domu bez chusty. I to one walczą o zmianę u swojego boku do dziś – dodaje.

PONAD PODZIAŁAMI

Internet zalewają kręcone komórkami filmiki, na których widać, jak dwudziestoparolatki idą ręką w rękę z matkami, a nawet babkami. Wspólnie skandują hasło: „Zan, Zendegi, Azadi" („Kobieta, życie, wolność").

To wyjątkowa sytuacja, bo choć Iranki wychodzą na ulice regularnie, to do tej pory wystąpieniom charakter nadawała określona część społeczeństwa. Jak w czasie Zielonej Rewolucji, która poprzedziła falę Arabskiej Wiosny w sąsiednich krajach. Wtedy, w 2009 roku, pretekstem do wyjścia na ulicę były nieścisłości przy liczeniu głosów w wyborach prezydenckich, co doprowadziło do przekonania, że zwycięstwo konserwatywnego Ahmadineżada nad obiecującym reformy Mousavim dokonało się w wyniku fałszerstwa wyborczego.

Na ulice jednak wyszła głównie inteligencja i ludzie zamożni. Protesty były widoczne w największych miastach, a ich twarzą stali się Teherańczycy, którzy nadali im miejski, aktywistyczny wygląd. Zależna od państwowych subsydiów prowincja częściej milczała.

– Kobiety z niższych warstw społecznych nie czuły, że protestujące mieszczki upominają się o te same prawa – tłumaczy Miriam. – Te pierwsze upominały się przede wszystkim o swobody obywatelskie: rozluźnienie cenzury, wolności zgromadzeń, zaprzestanie brutalnych działań policji czy prawa do krytyki władzy bez represji. Dla kobiet z prowincji to nigdy nie była stawka – nie czuły, że wybory stanowią dla nich realne narzędzie wpływu, system był „gdzieś daleko", zaś ich codzienny byt był uzależniony ekonomicznie od państwa, a społecznie od środowiska, w którym funkcjonowały: rodziny, sąsiedztwa, meczetu. Ryzyko wykluczenia było zbyt duże, żeby walczyć o postulaty, które nie rozwiązywały problemów i nie niwelowały zagrożeń od ręki – dodaje.

Strach przed reperkusjami jest w Iranie realny, bo spektakularne karanie kobiet przez władze stało się skutecznym narzędziem dyscyplinującym. Jeśli tylko Iranka dopuściła się niezgodnego z ich systemem wartości czynu, urządzano pokazówkę, która miała skutecznie wpływać na samodyscyplinę kobiet. Przekonała się o tym Zar Amir Ebrahimi, która na początku XXI wieku była w Iranie prawdziwą gwiazdą za sprawą serialu „Nargess" (2006), który pełnił tam podobną funkcję kulturową jak „Klan" w Polsce: był obyczajowym tasiemcem oglądanym masowo, na chwilę stał się wspólnym doświadczeniem społecznym. Ebrahimi kojarzył każdy Irańczyk. Była uwielbiana w całym kraju, dopóki do sieci nie wyciekło nagranie, na którym jest w intymnej sytuacji ze swoim chłopakiem.

Zar Amir Ebrahimi

Mina Kavani

UPADEK GWIAZDY

Młodziutka Ebrahimi (rocznik 1981) w przeciągu kilku dni z uwielbianej gwiazdy stała się wrogiem publicznym numer jeden.

– Z popularnej, pozdrawianej przez ludzi na ulicach aktorki stałam się kimś, kogo wyzywano i komu życzono jak najgorzej – opowiadała mi Ebrahimi. – Przyjaciele odwracali się jeden po drugim, nie mogłam liczyć na ich wsparcie. Próbowano winą za powstanie i dystrybucję filmiku obarczyć mnie, a to by oznaczało, że osobom, które pozostają w kręgu moich sojuszników, też może coś grozić. Z całej grupy ludzi, na którą – jak mi się wydawało – mogłam liczyć, zostały pojedyncze osoby. Wtedy poczułam, że żyję w totalitarnym, patriarchalnym kraju – dodaje. Aktorka uciekła z Iranu do Francji w przeddzień procesu w 2008 roku. Dziś jest międzynarodową gwiazdą za sprawą

FOT. JULIEN DE ROSA/AFP/EAST NEWS, WALID FAROUK/WIKIMEDIA COMMONS, STEFANIA D'ALESSANDRO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 74c5a22a0e

nagradzanych filmów „Holy Spider", „Tatami" czy „Czytając »Lolitę« w Teheranie".

Miriam: – Skoro władza nie zawahała się, żeby ukarać tak uwielbianą przez Irańczyków postać, jak Zar Amir Ebrahimi, to czego mogła się spodziewać przeciętna kobieta z prowincji?

Kiedy inna aktorka, Mina Kavani, dostała od reżyserki Sepideh Farsi propozycję roli w filmie „Czerwona róża" (2014), który podsumowywał Zieloną Rewolucję, wiedziała, że rola w tym filmie oznacza, że nie będzie dla niej więcej miejsca w Iranie.

– Nie miałam wątpliwości, że chcę wziąć tę rolę, bo marzyłam o graniu prawdziwych bohaterek, czyli takich, które nie zasypiają w łóżku w chuście i nie budzą się w niej. Sepideh mieszka we Francji od trzydziestu lat. Była już na emigracji. Miała zakaz powrotu do swojego kraju. Jest kobietą zaangażowaną, aktywistką. Chciała opowiedzieć historię młodej, dwudziestopięcioletniej dziewczyny – wojowniczej, dokładnie takiej, jak dzisiejsze młode Iranki: walecznej, dzikiej, pozbawionej strachu. Zakochałam się w tej postaci, bo w tamtym czasie irańskie kino zawsze pokazywało kobiety jako grzeczne dziewczyny, bardzo klasyczne. A po raz pierwszy czytałam scenariusz, w którym pojawiała się irańska kobieta nowoczesna, taka jak kobiety w Iranie dziś. I to pokochałam – tłumaczy aktorka.

Po premierze władza oskarżyła ją o promowanie prostytucji, bo wystąpiła bez hidżabu. Jej media społecznościowe codziennie zalewała fala hejtu.

– Nadawcami byli głównie konserwatywni mężczyźni, ale wiesz co? Gówno mnie to obchodzi, co dzieje się w wirtualnej przestrzeni. Dla mnie znaczenie ma to, co dzieje się z widzami moich filmów i moich przedstawień – zapewnia mnie aktorka. I podkreśla, że dzięki VPN-om Irańczycy oglądali nielegalnie film Farsi, widząc na ekranie kogoś, kto był im bliski i znany z rzeczywistości.

KONIEC ILUZJI

Internet to zresztą najważniejsze narzędzie, które zmieniło Iran od 2009 roku. Choć sieć jest w kraju cenzurowana, Irańczycy używają VPN-ów do przeglądania zakazanych stron.

– Moje pokolenie było straumatyzowane rewolucją islamską i wyniszczającą wojną z Irakiem, która ciągnęła się przez niemal cała dekadę lat 80. Pierwsze piętnaście lat w nowym systemie to było zupełnie inne doświadczenie niż życie w Islamskiej Republice Iranu teraz. Młodzi dziś, dzieci osób z mojej generacji, mają znacznie więcej swobody i możliwości. Mają przede wszystkim dostęp do internetu i wiedzą, jak wygląda życie w innych częściach świata. Kiedy ja byłam młoda, nie mieliśmy możliwości, żeby zweryfikować, czy codzienność w Paryżu czy Los Angeles to piekło na ziemi, jak przekonywała nas władza. Nie było w Iranie turystów, więc nie było kogo o to zapytać. Internet wszystko zmienił i nie da się już utrzymywać społeczeństwa w iluzji, że Ameryka jest zła, a wszędzie poza Iranem żyje się beznadziejnie. Taka propaganda na młodych już nie działa. Oni chcą normalnego życia – tłumaczy Zar Amir Ebrahimi. I dodaje: – Doszło do przeciążenia. Wcześniej Irańczycy domagali się reform, wierzyli, że ten system da się jeszcze jakoś zmienić. A teraz widzą, że jest przegnity i nienaprawialny, i że trzeba go zbudować od nowa. Kończą się ustępstwa, kończy się współpraca z władzą pełną zabójców.

Saba, 20-letnia Iranka, która przyjechała do Warszawy na studia, twierdzi, że konsolidacja pokoleń była możliwa, bo starsze pokolenia, widząc, że młoda generacja radykalnie upomina się o swoje prawa, domagają się zadośćuczynienia za ból wywołany cierpieniem ich dzieci.

> – Nie po to giniemy na ulicach, *żeby jedną opresję zamieniać na inną* – grzmi Miriam

– Moja własna matka nie zdjęła hidżabu w przestrzeni publicznej i odczuwa większy lęk przed władzą. Ona i matki moich przyjaciół proszą swoje dzieci, by nie wychodziły na ulice, by milczały, żeby nie zostały zabite. Uderzające jest jednak to, że matki, które tracą swoje dzieci w wyniku przemocy ze strony państwa na ulicach, często przechodzą nagłą przemianę. Stają się odważnymi kobietami, dołączają do młodszego pokolenia na ulicach, zdejmują hidżab i domagają się sprawiedliwości. I nie są to przypadki odosobnione. Jakby śmierć ich dzieci była momentem, który wreszcie je przebudził – mówi dziewczyna. – Trzy lata temu zostałam zatrzymana, przesłuchiwana i torturowana przez 48 godzin. W tym czasie poddawano mnie przemocy fizycznej oraz ciągłemu upokarzaniu słownemu. Przez 48 godzin wielokrotnie nazywano mnie prostytutką tylko dlatego, że krzyczałam na ulicach, domagając się swoich praw. Nawet dziś, gdy siedzę na zajęciach w Warszawie, wszystkie te obrazy wracają mi przed oczami – opowiada mi. – Poza moim własnym doświadczeniem niemal każda kobieta w Iranie została przynajmniej raz zatrzymana przez policję w związku z egzekwowaniem obowiązku noszenia hidżabu. Nawet ochrona uniwersytecka nie pozwalała nam wejść na kampus bez „odpowiedniego" hidżabu; bywało, że odmawiano nam wstępu tylko z powodu pomalowanych paznokci. Nawet teraz wciąż zapominam, że żyję w wolnym kraju – przychodząc na uczelnię, instynktownie odczuwam lęk, że ochrona upokorzy mnie z powodu mojego wyglądu – zwierza się.

OCENIANE I POGARDZANE

– Iranki cały czas podlegają osądom i opiniom. Są krytykowane, wytyka im się, co robią nie tak. Jeśli tylko masz źle nałożoną chustę, policja obyczajowa może cię zatrzymać, a ludzie mogą cię zwyzywać. A jeśli pofarbujesz sobie włosy, to możesz zostać nazwana dziwką, chociaż nikt nie ma bladego pojęcia, co robisz w życiu, jak ono wygląda. Wszystkie jesteśmy oceniane i pogardzane – uzupełnia Zar Amir Ebrahimi.

Ulica w 2009 roku mówiła językiem prawa, konstytucji, procedur. Ulica po 2022 roku mówi zaś językiem ciała i godności, co zjednoczyło kobiety niezależnie od klas społecznych oraz orientacji religijnej i politycznej, bo bezpieczeństwo okazało się stać ponad nimi. Tylko że, jeśli chodzi o przyszłość Iranu, to nie ma aktualnie osób, które zaproponowałyby wspólną i zrzeszającą tłum wizję kraju w przyszłości. Protestujący nie jednoczą się wokół kogoś, kto stanowi realną alternatywę dla władzy ajatollahów. Część społeczeństwa upatruje nadziei w Rezie Pahlawim, synu ostatniego szacha, który od rewolucji żyje na emigracji w USA, skąd apeluje o świecki, demokratyczny Iran. Nie jest jednak reprezentantem kobiet, które nie mają ochoty powracać do patriarchalnego charakteru monarchii. Zwłaszcza te, które pamiętają rozczarowanie tzw. Białą Rewolucją, jak nazywa się pakiet reform z lat 1963-1979. W jej wyniku Iranki dostały prawa wy-

eprasa.pl 74c5a22a0e

Protest pod ambasadą Iranu w Londynie, 14 stycznia. Poniżej protest w Brukseli

borcze (wcześniej niż choćby w Szwajcarii) czy dostęp do pracy i edukacji, ale mimo to nie miały żadnej politycznej sprawczości.

Dodatkowo, na co zwracają uwagę moje rozmówczynie, jest jeszcze niepokój związany z rozgrywaniem Irańczyków przez supermocarstwa. Donald Trump już zapowiada ingerencję, jeśli władza Iranu nie przestanie strzelać do protestujących (niezależne dane wskazują, że zginęło już ponad 5 tys. ludzi). Groźby USA wywołują mieszane reakcje: z jednej strony radości, bo społeczeństwo wierzy, że amerykański arsenał powstrzyma ajatollahów przed dalszą rzezią, ale z drugiej niepokoi ludzi, że jeśli dojdzie do zmiany władzy, to nowi rządzący będą chodzić na pasku Amerykanów, czyli dokładnie tak, jak szach przed 1979 rokiem. A na powtórkę z historii irański naród jest zbyt dumny.

– Nie po to giniemy na ulicach, żeby jedną opresję zamieniać na inną – grzmi Miriam. Trzeba oddać, że podejrzliwość Irańczyków względem innych krajów jest w Iranie bardzo silna. Irańczycy chętnie snują teorie spiskowe zwłaszcza na temat Brytyjczyków – widzą w nich sprawców każdego nieszczęścia, na podobieństwo tego, jak w Polsce funkcjonują mity na temat Rosjan lub Żydów.

Mieszkająca w Europie Saba z kolei irytuje się, że Zachód chce się mieszać, a nie rozumie irańskiej rzeczywistości i jedynie nakłada na nią stereotypy.

– Wiele osób na Zachodzie zakłada, iż irańskie społeczeństwo odzwierciedla zamknięty, religijny charakter władzy, a ludzie żyją z dala od technologii i nowoczesności. To po prostu nieprawda. Duże irańskie miasta, takie jak Teheran, Isfahan, Sziraz i inne, są bardzo nowoczesne, a codzienne życie toczy się tam w sposób bardzo podobny do europejskiego. Zachodnia publiczność często zakłada też, że Iranki nie mają sprawczości – że to rodziny podejmują za nie decyzje dotyczące hidżabu, podróży, a nawet relacji seksualnych. Wyobrażają sobie nas jako odcięte od tych doświadczeń. O ile taki obraz mógł być bliższy rzeczywistości piętnaście lat temu, dziś nie oddaje już sytuacji młodszego pokolenia. Dziś żyjemy tak jak inne nowoczesne kobiety. Nie ma w naszym życiu nic zasadniczo odmiennego – komentuje dziewczyna.

ZMIANA PERSPEKTYWY

– Myślę, że ruch „Kobieta, życie, wolność" trochę zmienił perspektywę Zachodu. Dzięki niemu ludzie odkryli, że Iranki są niezwykle nowoczesne. Dowiedzieli się też, że Teheran jest bardzo nowoczesnym miastem, a Teherańczycy są bardzo nowoczesnymi ludźmi. Dla mnie – także w moich wyborach artystycznych – to było zawsze bardzo ważne. Nigdy nie chciałam grać dobrej, grzecznej perskiej kobiety. Chciałam pokazywać nowoczesną, twardą i silną Irankę, bo takie kobiety znam z rzeczywistości – uzupełnia Mina Kavani.

Pytam moje rozmówczynie, jak zapatrują się na przyszłość swojej ojczyzny.

– Piękne jest to, że w protesty włączają się ludzie w różnym wieku, z różnych klas społecznych. Katayoun Riahi, wybitna, 60-letnia aktorka, zdjęła chustę, nagrała filmik i poszła na protest. Wiedziała, na co się naraża, i nie pomyliła się, bo ją też aresztowano. Ale to pokazuje, że ta rewolucja to punkt zwrotny w historii Iranu. Nie ma już odwrotu – mówi Zar Amir Ebrahimi. – Wiesz, co jest rewolucyjnego w tym, co aktualnie dzieje się w Iranie? – pyta. – To, że w obronie praw kobiet na ulice wyszli mężczyźni. Do tej pory protestowali przeciwko podwyżkom albo w imię swobód obywatelskich. A teraz chodzi o prawa kobiet. Szok. Po 44 latach społeczeństwo zrozumiało, że nie chodzi o prawa kobiet, tylko o prawa człowieka. To zasługa młodego pokolenia – odpowiada sama sobie.

Saba podsumowuje: – Chcę widzieć wolne kobiety, które żyją z wyboru, z pełną sprawczością, silne kobiety na wpływowych stanowiskach, także w polityce, kinie oraz na najwyższych szczeblach życia społecznego. To jedyna właściwa przyszłość dla Iranu. ▲

FOT. DAN KITWOOD/GETTY IMAGES, THIERRY MONASSE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 74c5a22a0e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rihanna, Ritz Hotel, Paryż, 2022.
© Annie Leibovitz

KSIĄŻKA

Takie teraz są kobiety

Mężczyzn zawsze się widzi, kobiety się ogląda" – napisała we wstępie do opublikowanego w 1999 roku albumu Annie Leibovitz Susan Sontag, zauważając, że obawy w kwestii osobistej atrakcyjności nigdy nie były uważane w przypadku mężczyzn za definiujące, w odróżnieniu od kobiet.

To był pomysł Sontag, by zdjęcia Leibovitz –najsłynniejszej na świecie portrecistki, a prywatnie jej partnerki – złożyć w książkę, która stanie się swoistym zbiorowym portretem amerykańskich kobiet. Leibovitz miała obawy – wszak nic tych kobiet ze sobą nie łączyło. Album otwiera zdjęcie matki Annie – Marilyn Leivovitz – i od razu widzimy, że tej portrecistce nie zależy na jakimś kokieteryjnym oddaniu urody i wdzięku kobiecego, lecz na oddaniu charakteru. 25 lat później dostajemy publikację składającą się z dwóch albumów, uzupełnioną o portrety, które Leibovitz zrobiła po 1999, z tekstami feministycznych ikon – Glorii Steinem i Chimamandy Ngozi Adichie.

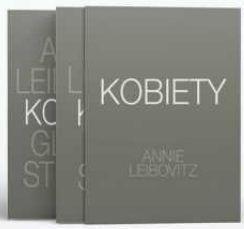

ANNIE LEIBOVITZ
„Kobiety", wyd. Rebis

Żołnierka stoi tu obok sportsmenki, asystentki chiropraktyka, raperki, tancerki cyrkowej, nauczycielki w szkole w Bronxie, dowódczyni wahadłowca kosmicznego. Pielęgniarka stoi obok gwiazdy kina, kelnerka obok kierowczyni wyścigowego bolida, słynna malarka obok polityczki, pokojówka obok feministycznej pisarki, kandydatka na prezydenta obok kobiety, która doświadczyła przemocy domowej, baletnicy i szwaczki. „Każde z tych zdjęć musi być samodzielnym obrazem, ale ich zespół mówi: takie są teraz kobiety – tak różne, tak różnorodne, tak bohaterskie, tak opuszczone, tak konwencjonalne, tak niekonwencjonalne jak te" – pisała Sontag.

Są tu zdjęcia kultowe, ikoniczne. Portret Michelle Obamy z rozpuszczonymi włosami, w dżinsach, Sereny Williams, Sally Mann, Mayi Angelou, Courtney Love, Louise Bourgeois, Madleine Albright, Joan Didion, Rihanny w ciąży. Hillary Clinton w Białym Domu, Anna Wintour w swoim gabinecie, Chimamanda Ngozi Adi-

eprasa.pl 74c5a22a0e

chie w bibliotece, Tina Fay pod zagraconym biurkiem, przy którym siedzi jej maleńki synek, naga Lady Gaga. Do niektórych bohaterek Leibovitz wraca – Cindy Sherman, Patti Smith, Alice Walters. Pierwszy album zamyka portret Susan Sontag z krótkimi, siwymi włosami, drugi otwiera jej portret w pełni sił, z kruczoczarnymi długimi włosami.

Nieuchronnie album „Kobiety" staje się wypowiedzią feministyczną, świadectwem emancypacji kobiet i źródłem dumy z bycia kobietą. Jego bohaterki emanują prawdą doświadczenia życiowego, widzimy, ile znaczy dla nich praca, pasja. Czy emanują pięknem? Tak, również, ale nie rozumianym tylko jako ładna uroda. Są i obiektami, i podmiotami.

„Efekt naszego albumu, czyli fotografie – współczesne wizerunki kobiet – oglądane w jednym miejscu, zaskoczył nas wszystkich: był kształcący" – pisze w posłowiu Leivovitz i przywołuje anegdotę. Karen Finley, performerka z pierwszego tomu, pokazała książkę ośmioletniej córce Violet. Po jej przejrzeniu Violet powiedziała: „Mamo, kiedy dorosnę, chcę być kobietą". ▲ **(Paulina Reiter)**

Annie Leibovitz, Brooklyn, Nowy Jork, 2017. © Annie Leibovitz

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

na klawiaturze
rozmyte kształty liter
jeszcze żałoba

ELŻBIETA TABAKOWSKA - filozofka, pisarka. Wiersz pochodzi z tomu „Chwiejna stabilność. Haiku" (wyd. Austeria)

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE

WYSTAWA

Soft power tkaniny

„Tkanina jutra narodziła się w Polsce" – głosił tytuł artykułu w „Gazette de Lausanne" z kwietnia 1963 r., gdy prace absolwentek i absolwenta warszawskiej Akademii zadebiutowały na Międzynarodowym Biennale Tkaniny w Lozannie. Wystawa „Soft power" przypomina, że początek rewolucji miał miejsce właśnie na warszawskiej ASO. Przywołuje postaci wielkich profesorów, m.in. Eleonory Plutyńskiej, jak i ich absolwentów, do grona których należeli m.in. Magdalena Abakanowicz, Jolanta Owidzka, Wojciech Sadley. Prezentując najnowsze dokonania środowiska artystycznego skupionego wokół czterech pracowni warszawskiej ASP, stawia pytanie o związki z historycznym rodowodem. Prezentowane na wystawie prace budują narrację o związkach tkaniny ze światem natury, o powrocie do archetypów oraz pierwotnych relacji między materią i ciałem. Sama tkanina ze swej natury związana jest z porządkiem organicznym – wywodzi się z włókien roślinnych i zwierzęcych, z procesów wzrostu, przekształcania i rozpadu. Jest to materia bliska ciału, podatna na zużycie i rozpad, a jednocześnie silnie zakorzeniona w sferze duchowej. Tkanina jest również medium politycznym, często wykorzystywana w działaniach aktywistycznych. Wystawa organizowana przez ASP w Warszawie we współpracy z Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi będzie prezentowana w przestrzeniach galeryjnych Pałacu Czapskich. ▲ **(Mat. prasowe)**

SOFT POWER, od 6.02.2026, kuratorki Marta Kowalewska, Eliza Proszczuk, Elwira Sztetner

MIĘKKIE OBIEKTY IRMINA STAŚ

eprasa.pl 74c5a22a0e

Jak Tina *Turner*

„On tak ma”? Nie, to przemoc. Dziś już umiemy ją rozpoznać i nazwać.

Z **ALINĄ MOŚ**
ROZMAWIA **MARTA GRUSZECKA**

Artyści chętnie opowiadają na deskach teatru biografie gwiazd. Byłam na spektaklu o Freddiem Mercurym, Korze czy Amy Winehouse. W Teatrze Polskim w Bielsku-Białej można oglądać spektakl o Tinie Turner. Dlaczego Tina?

– Znam ją od lat i to dobrze – dorastałam w takim momencie popkultury, w którym artystka, nazywana wówczas „babcią Tiną” (była wtedy zaledwie po czterdziestce!), świętowała powrót na scenę po przerwie. Przerwa ta była spowodowana traumą, której doświadczyła ze strony swojego wieloletniego partnera, Ike'a Turnera. Tina przez lata związku była przez niego bita, gwałcona, poniżana, ośmieszana.

Kiedy zaczęłam nasłuchiwać świata wokół mnie, zauważałam coraz więcej aktów przemocy, podobnych do tych, których doświadczała Tina, ale nie tylko – bo przemocowe zachowania odbywają się również na linii rodzice–dziecko, rodzeństwo, pracodawca–pracownik czy nauczyciel–uczeń. W przeciwieństwie do pokolenia mojej babci czy mamy umiałam je już nazwać. Dawniej normalizowało się pewne zachowania, o przemocy w związku mówiąc na przykład: „Nie wchodź mu w drogę, kiedy ma zły humor” albo „Przecież wiesz, jaki on jest”. Dzięki dostępowi do fachowej literatury, sieci i pomocy w formie terapii, po którą już nie wstydzimy się sięgać, dziś z pełną świadomością potrafimy powiedzieć, że określone zachowanie to przemoc psychiczna albo fizyczna, a nie, że „on tak ma”. Nazywanie rzeczy pomaga w ich oswajaniu, zrozumieniu i przeciwstawieniu się im.

Alina Moś, autorka i reżyserka spektaklu muzycznego „Tina”

Dlatego aktorki występujące w spektaklu „Tina” wymieniają konkretne pojęcia zaczerpnięte z psychologii i tłumaczą widzom, co oznaczają.

– Historię Tiny mierzę swoją miarą, bo kilka rzeczy mnie z nią łączy. Kiedy brałam ślub, miałam dokładnie tyle samo lat co ona. Rozwód obie wzięłyśmy jako 37-latki. W finale spektaklu bohaterka mówi nawet takie zdanie: „W wieku 37 lat zaczęłam wszystko od nowa”. Jestem autorką tekstu tej sztuki, wiedziałam, co napisałam, ale dopiero gdy usłyszałam ten fragment ze sceny z ust innej kobiety, poczułam, jak bardzo on ze mną rezonuje. Tak, jak zrobiła to autobiografia Tiny „My Love Story”, która wpadła mi w ręce przez przypadek. A może nie ma przypadków?

Czytałam tę książkę – pełną reporterskich faktów z życia Tiny, ale też jej niesamowitej siły i wiary w to, że będzie dobrze, wtedy, kiedy wszystko było absolutnie źle. Historia artystki mną wstrząsnęła. Naładowana jej energią pomyślałam, że skoro Tina była w jeszcze większym dole niż ja i dała sobie radę, dlaczego mnie miałoby się nie udać? „Będę jak Tina!” – postanowiłam i zaczęłam szukać języka, którym opowiem jej biografię na teatralnej scenie.

W spektaklu „Tina” przedstawiają ją cztery aktorki ubrane w piękne sukienki ze srebrnych cekinów. Nic nie zapowiada, że będzie to spektakl o przemocy, że pod cekinami kryją się siniaki. Widzowie, którzy nie znają tej historii, są przekonani, że przyszli na musical z piosenkami Tiny Turner...

– Taki miałam zamiar. Choć w „Tinie” grają fenomenalnie śpiewające aktorki: Marta Gzowska-Sawicka, Wiktoria Lichosyt-Węgrzyn, Ewa Dobrucka i Flaunnette Mafa, sa-

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW (2), JEREMI ASTASZOW

eprasa.pl 74c5a22a0e

Marta Gzowska-Sawicka, Witkoria Lichosyt-Węgrzyn, Ewa Dobrucka i Flaunette Mafa

mo wykonanie hitów artystki, bez opowiedzenia o jej historii, nie byłoby dla mnie satysfakcjonujące.

W twoim spektaklu żadna z Tin nie chce podzielić się swoją historią. „Opowiem o koleżance, ale nie o sobie" – słyszymy ze sceny.

– Opowiadanie o czymś, co nas trapi, boli czy stresuje, wykorzystując osobę trzecią, rzeczywiście jest łatwiejsze. Widzę to nawet po moich znajomych, którzy czasem „pytają dla koleżanki", a ja doskonale wiem, że dana sprawa dotyczy ich.

Moje Tiny zbierają się na odwagę i zaczynają mówić – nie tylko w imieniu Tiny Turner, ale wszystkich tych kobiet, które doświadczyły przemocy ze strony partnera. Tekst pisałam na podstawie własnych obserwacji, tego, co usłyszałam od innych lub czego doświadczyłam. Schematy są przerażająco powtarzalne. „Nie poradzisz sobie beze mnie", „Na pewno ci się nie uda" – skąd w mężczyznach taka wyższość i pewność siebie?!

Jedną z najbardziej przerażających historii przytoczonych na bielskiej scenie jest ta, w której kilka godzin po wyczerpującym porodzie Ike Turner zmusił Tinę, by pojechała z nim na drugi koniec świata, do Meksyku, wziąć ślub w jakiejś przypadkowej norze.

– Obolała, ze szwami w ciele, anemią i siniakami, poleciała do Meksyku, żeby przeżyć „najszczęśliwszy dzień swojego życia". Pojawiają się też inne, bardziej uniwersalne, ale nie mniej okrutne historie. Na ich podstawie widzowie mogą sami ocenić, jakie mechanizmy może stosować oprawca, a jak będzie zachowywać się poddana mu ofiara. W jaki sposób rozpoznać przemoc, której bardzo często na pierwszy rzut oka w ogóle nie widać. Nie pojawia się ona bowiem tylko w rodzinach patologicznych – oprawcami mogą być partnerzy czy mężowie z tzw. dobrej rodziny, na wysokich stanowiskach, o nienagannej opinii wśród pracowników i znajomych. Tacy, o których nikt by nie pomyślał.

„Ależ jej musi być dobrze w życiu – wspaniały mąż, dzieci, sława, pieniądze" – komentują podczas spektaklu koleżanki Tiny. Te same, które kiedy już wiedzą o przemocy, jakiej doświadczyła artystka, zarzucają potem: dlaczego nic nie powiedziała?! Ile kobiet zgłasza przemoc domową?

– Obiektywnie wiele, choć te dane są mocno niedoszacowane – to znaczy gnębionych kobiet jest z pewnością dużo więcej. Przekonałam się o tym podczas spotkania z pracownicami Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Bielsku-Białej, które odbyło się w trakcie przygotowań do spektaklu z inicjatywy Ewy Dobruckiej, jednej z aktorek grających w „Tinie". Jedna z zaproszonych kobiet przez wiele lat pracowała w Ośrodku Interwencji Kryzysowej. Opowiadała o tym, jak działa system i, przede wszystkim, co w nim nie działa, wspominała też słowa, które usłyszała od kobiet potrzebujących pomocy. Przerażające, a zarazem budujące – jak silną i odważną kobietą trzeba być, by na przykład spakować rzeczy do jednej torby, zabrać dziecko na ręce i wyjść z domu donikąd, byleby tylko uciec od oprawcy.

Statystyki mówią, że kobiety odchodzą z przemocowych związków osiem razy. Dopiero za dziewiątym razem się udaje. Ale to tylko średnia – są też takie, które uciekają od toksycznego partnera aż 50 razy, a i tak potem wracają. Niektóre, na szczęście, odchodzą tylko raz, ale skutecznie.

W teatrze panuje ostatnio moda na dosłowność. „Tina" przeciwnie – nie epatuje dosłowną przemocą, a mimo to – spektakl wbija w fotel. Gratulacje!

– Najciekawsze w teatrze jest dla mnie posługiwanie się językiem teatralnym, czyli symbolicznym, umownym, nie odwzorowywanie rzeczywistości jeden do jednego. Bardzo zależało mi na tym, by nie opowiadać o przemocy wprost. By nie było ani jednej sceny, w której ktoś kogoś bije, kopie, robi mu krzywdę. Po co? Teatr jest metaforą życia – niech nie będzie dosłowny. ▲

Spektakl „TINA" możemy oglądać 10-12, 14-15 lutego w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej.
Wiecej informacji: teatr.bielsko.pl

eprasa.pl 74c5a22a0e

eprasa.pl 74c5a22a0e

Pod elektroniczną *obserwacją*

Naciskanie na udostępnianie lokalizacji może wywołać w drugiej stronie obawy, że będzie ona służyć głównie jako narzędzie kontroli.

Z PSYCHOLOŻKĄ **VIOLETTĄ MIĘTKĄ**
ROZMAWIA **PAULA SZEWCZYK**
RYSUNEK **JOANNA GNIADY**

Popularne aplikacje lokalizujące położenie mogą być powodem konfliktu w związku. Bo co, gdy jedna strona na jej zainstalowanie nalega, a dla drugiej udostępnianie swojego bieżącego położenia nie wchodzi w grę?
Aplikacja do śledzenia położenia jest pewnym narzędziem, które możemy wykorzystać w relacji i mieć z niej obustronną korzyść. Ale jak to często z tego typu narzędziami bywa, mogą one nam również relację skomplikować. Ważne, z jaką motywacją podchodzimy do instalowania aplikacji lokalizującej wzajemne położenie i z jaką motywacją z narzędzia tego będziemy chciały skorzystać.

Świat tak szybko dziś rozwijającej się technologii z pozoru pomaga kontrolować rzeczywistość, a to u części z nas obniża poczucie lęku – choć zwykle tylko na chwilę. Skąd bierze się ten lęk i od czego wiedza o lokalizacji partnera miałaby nas ochronić? Powiem brutalnie, ale zainstalowanie jakiejkolwiek aplikacji, od tego, co może się stać, np. w przypadku zdrady, ani jednej, ani drugiej strony nie uchroni. Poczucie, że dzięki niej uwolnimy się od niebezpiecznych sytuacji, które mogą nas spotkać, to iluzja.

Załóżmy, że lubię tę iluzję i namawiam do niej partnera. On mówi „nie" i się o to spieramy.
Aplikacja ma swoje ograniczenia, choć może oczywiście ułatwić pewne drobne sprawy. Natomiast jeżeli mówimy o udostępnianiu wzajemnej lokalizacji w relacji, gdy jedna osoba tego chce, a druga odmawia, warto przyjrzeć się zarówno przyczynom odmowy, jak i powodom, dla których jednej stronie tak na takiej wiedzy zależy.

Często się martwię, czy z partnerem wszystko w porządku, i chcę wiedzieć, czy bezpiecznie dojechał tam, gdzie planował. Nie rozumiem, dlaczego to może wywoływać sprzeciw?
Bo nie każda osoba będzie miała swoje granice w tym samym miejscu co pani. Może być tak, że się z drugą stroną w tym samym punkcie po prostu nie spotkamy. I nie chodzi wcale o to, że ktoś odmową będzie starał się ukryć jakieś swoje niecne zamiary. Przecież przyczyny odmowy mogą być bardzo różne, włączając w to także traumatyczne doświadczenie z poprzedniej relacji, w której jedna strona była np. kontrolowana przez partnerkę bądź partnera. Dla tej osoby propozycja śledzenia wzajemnie swojej lokalizacji może być przeżywana jako ponowna próba jej kontroli i ograniczania.

> Jeśli odmowa zainstalowania aplikacji wzbudza lęk, to może oznaczać, *że w relacji brakuje poczucia bezpieczeństwa*

Partner czy partnerka mogą mieć za sobą dom, w którym rodzice byli kontrolujący i nie wolno im było po szkole nigdzie pójść, zatem wraz z tą propozycją instalowania aplikacji wrócą dawne lęki. Naciskanie na to może wywołać w drugiej stronie obawy, że będzie ona służyć głównie jako narzędzie do kontroli, zostanie wykorzystywane do kompulsywnego sprawdzania trasy, a w konsekwencji pytań, dlaczego ktoś jechał tędy zamiast tamtędy, po co wstąpił tam i tam. Pytania o to, dokąd poszedł, na ile i po co, mogą być przekroczeniem granicy wolności, którą druga osoba pragnie dla siebie w relacji zachować.

To może być nie fair wobec partnerki, która przecież nie miała złych intencji.
Zależy, czy obie strony wyjaśniły sobie swoje motywacje i potrzeby. Jeśli mam w swojej historii życiowej doświadczenie nadużycia nade mną czyjejś władzy, to taka propozycja może wywołać silny protest, natomiast trzeba drugiej stronie o tym wprost powiedzieć. Wiele z nieporozumień w relacjach jest kwestią braku wytłumaczenia swoich punktów widzenia. Warto drugiej stronie wyjaśnić nasze obawy, nie odmawiać bez podania przyczyn. Bez odpowiedniej komunikacji partner nie będzie ani świadomy tego, co przeszłyśmy w przeszłości, ani dlaczego dzisiaj odmawiamy. Równie ważne jest jednak, żeby tej odmowy nie odebrać od razu jako zagrożenia dla relacji.

Najłatwiej pomyśleć: „Nie chcesz udostępniać mi swojej lokalizacji, bo pewnie masz coś do ukrycia"?
Jeśli taka jest nasza pierwsza myśl, warto zastanowić się, skąd się wzięła. Jeżeli odmowa zainstalowania aplikacji w pierwszej kolejności wzbudza lęk, może oznaczać, że w tej relacji brakuje mi poczucia bezpieczeństwa. Jeżeli tak reaguję, bo bywam zazdrosna, nie ufam partnerowi, to z pewnością nie aplikacja jest tutaj problemem. To też kwestia mojej motywacji do instalowania apki lokalizującej drugą osobę.

Obawy o bezpieczeństwo drugiej strony mogą być tylko pretekstem?

eprasa.pl 74c5a22a0e

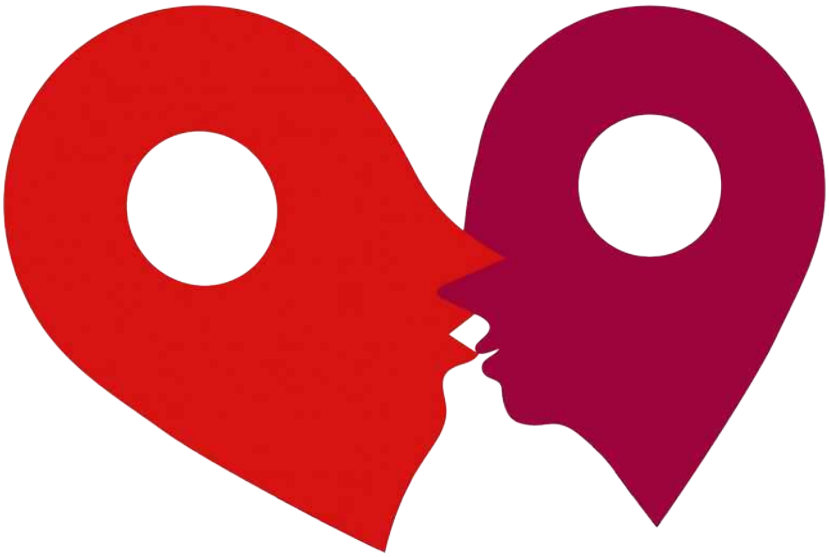

Pytanie, na ile faktycznie myślę o tego typu narzędziu, bo chcę mieć pewność, że partner jest bezpieczny, a na ile robię to z myślą o sobie, bo ja potrzebuję więcej poczucia bezpieczeństwa lub poczucia kontroli. Naciskanie na udostępnianie lokalizacji – mimo sprzeciwu drugiej strony – jest w jakimś stopniu egoistyczne. A jeżeli jestem osobą lękową albo bardzo zazdrosną, tego typu aplikacja może potęgować te zachowania.

Mówienie, że chodzi o bezpieczeństwo, może być jedynie jakiegoś rodzaju pretekstem, wykorzystywanym do wywoływania poczucia winy. Szczególnie w sytuacji, gdy faktycznie coś się stanie, będę mogła powiedzieć: „Widzisz, gdybyś udostępnił mi swoją lokalizację, do tego by nie doszło". To nie jest specjalnie zaskakujące, że jako ludzie stosujemy w związku manipulacje różnego rodzaju, choć często powoduje to, że nasza relacja cierpi. A druga strona powinna mieć prawo, by zachować pewną dozę prywatności.

A jeśli rzeczywiście mam pewne obawy co do tego, gdzie druga strona się udaje?
Jeśli z jakiegoś powodu swojemu partnerowi nie ufam albo jego zachowanie wzbudza we mnie lęk, warto się zastanowić, dlaczego. Czy rzeczywiście czuję, że się ode mnie oddala, więcej czasu niż zwykle spędza poza domem, obserwuję u niego zachowania, których wcześniej nie było? Te lęki i obawy warto jednak wyartykułować i o nich porozmawiać wprost, instalowanie aplikacji do śledzenia lokalizacji nie jest żadnym rozwiązaniem.

Poza tym, jeśli chcę podobnego narzędzia w związku, bo faktycznie podejrzewam drugą stronę o zdradę, to znowu, aplikacja jest tylko narzędziem, które nie da żadnej gwarancji, że tę zdradę będę mogła wykluczyć albo udowodnić. Przecież telefon zawsze można gdzieś zostawić, przekazać koledze, przy sobie mieć drugi, dodatkowy. Jak człowiek ma zamiar skłamać, oszukać czy zdradzić, żadne lokalizacje go przed tym nie powstrzymają.

Zakładam, że są pary, w których to narzędzie się sprawdzi.
Oczywiście, że są. Można sprawdzić, za ile druga strona będzie w domu, przyszykować kolację. Partnerzy miewają przecież prace, w których nie w każdym momencie mogą odebrać telefon czy odpowiedzieć na wiadomość, więc zamiast pisać partnerce, czy już wyszła z pracy, mogę to szybko sprawdzić. Jeśli partner jest kierowcą, wyruszył w długą trasę, będę spokojniejsza, widząc, jak jedzie, a nie będę musiała niepokoić go telefonami.

Nie zawsze jednak musi chodzić o wielkie rzeczy. Mogę chcieć sobie sprawić przyjemność nową koszulą, a nie chcę, by partner mówił mi później, że za dużo wydaję na ubrania.
Tylko czy jeśli kupuję coś do ubrania i wolę o tym nie mówić partnerowi, bo wiem, że będzie to negatywnie komentował, mogę mówić o bezpieczeństwie w relacji? Jeśli nie chcę mu o czym mówić, nie rozmawiamy o pewnych rzeczach i nie jesteśmy wobec siebie do końca szczerzy, może świadczyć to o zaburzonym poczuciu bezpieczeństwa w związku.

Idealnym rozwiązaniem nie będzie w tej sytuacji unikanie instalowania aplikacji, tylko rozmowa między dwiema stronami, dlaczego boję się jego krytyki czy oceny. Wiem z doświadczenia w gabinecie, że to często trudne. Obserwuję, jak jedna strona walczy o swoje i jak trudno jej popatrzeć na drugą stronę i zrozumieć jej położenie czy punkt widzenia. Czasem czyjeś argumenty po prostu do nas nie trafiają i mamy impas. Jak w przypadku, gdy partner nalega na śledzenie lokalizacji, a partnerka jest jej przeciwna. Magicznym słowem jest kompromis, ale czasem są sytuacje, w których się po prostu nie dogadamy. Relacja, w której realizowane są potrzeby jednej strony, a druga przez to cierpi, na dłuższą metę może być trudna do utrzymania.

A jak porozumieć się w kwestii śledzenia lokalizacji z nastolatkiem? Rodzic mówi: „Zainstaluję ci", dziecko – „Nie ma mowy".
Nastolatek ma prawo odmówić, ale jak by nie było, do 18. roku życia pozostaje pod opieką rodziców. To oni do tego czasu wyznaczają granice tego, co dopuszczalne, a co nie. Myślę, że w kwestiach bezpieczeństwa mam prawo naciskać i podjąć tę decyzję mimo sprzeciwu dziecka. Także dlatego, że odpowiedzialność za tego młodego człowieka spoczywa na rodzicu i to jego zadaniem jest uchronić go od potencjalnie niebezpiecznych sytuacji. Śledzenie lokalizacji nie rozwiąże każdego problemu, a opiekun nie musi pytać nastolatka o każdy jego krok. Ma jednak prawo wiedzieć, gdzie jest jego dziecko, choćby na mapie. Poza tym granice dla nastolatka są ważne i mimo pozornego buntu dają mu poczucie bezpieczeństwa. W tym także poczucie, że rodzicom na nim zależy. ▲

VIOLETTA MIĘTKA

terapeutka par, psychoterapeutka Gestalt w trakcie całościowego szkolenia, założycielka marki Orelacjach.pl. Od lat zajmuje się pracą z parą i indywidualną dynamiką relacyjną w parze.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 74c5a22a0e

Śmieciarka *jedzie!*

Dzięki nam rocznie ratowanych jest około 35 tys. ton rzeczy. Nawet jeśli nie każdy post to uratowana rzecz, to każdy wpis zmienia myślenie: „nie wyrzucaj, oddaj”.

Grupa „Uwaga, śmierciarka jedzie” została założona, by ratować przedmioty, które jeszcze komuś mogą posłużyć

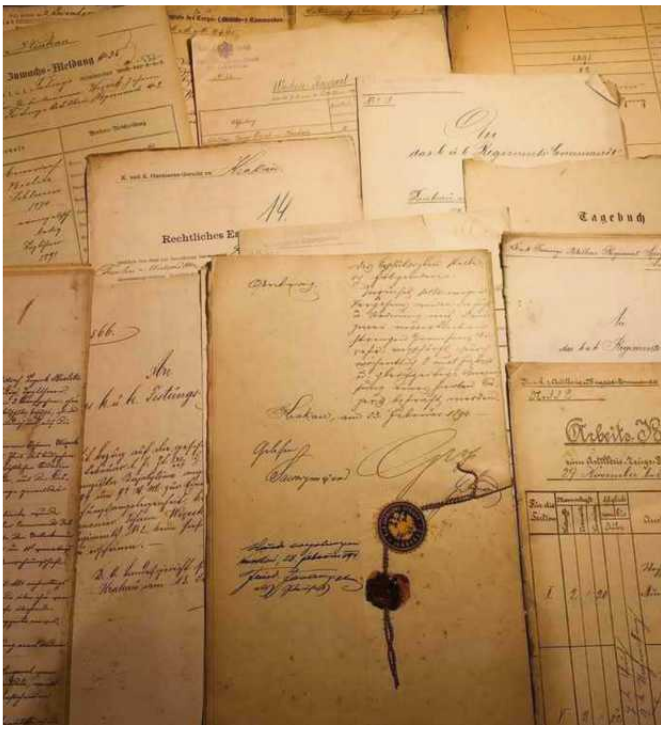

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

eprasa.pl 74c5a22a0e

Z **DOMINIKĄ SZACIŁŁO**
ROZMAWIA **EDYTA BRYŁA**

Dominika Szaciłło

FOT. OLENA HERASYM

Skąd wzięła się założona przez panią grupa „Uwaga, śmieciarka jedzie"?
– Mieszkałam na Saskiej Kępie i miałam widok z okna prosto na śmietnik. Moje dzieci fascynowały się śmieciarką, która odbierała śmieci spod naszego bloku. Emocjonowały się, że jedzie śmieciarka, patrzyły, jak odbierane są śmieci. Miały z tego wielką radość.

Raz zobaczyłam, jak śmieciarka odbiera gabaryty. Wszystko od razu na miejscu zostało połamane i zniszczone. Wcześniej nie zastanawiałam się, co się z nimi dzieje. Jestem po studiach na wydziale wzornictwa, więc wiedziałam, że rzeczy z lat 50. czy 60. mają wartość, że ładnie się starzeją i można je odnawiać. Nie trzeba ich niszczyć.

Kiedy zobaczyłam przy śmietniku krzesła z lat 50., poczułam, że muszę je uratować. Moja piwnica też była już pełna rzeczy po dziadku, więc zrobiłam im zdjęcia i wystawiłam na Facebooku. Potem, gdy inni znajomi wystawiali swoje rzeczy do oddania, podawałam wpisy dalej. To był początek działań, które później przekształciły się w grupę „Uwaga, śmieciarka jedzie".

Wtedy myślałam tylko o ocaleniu rzeczy vintage, ale grupa szybko pokazała, że ludzie chcą oddawać absolutnie wszystko. To uzmysłowiło mi skalę marnotrawstwa.

„Śmieciarce" udaje się ograniczyć problem?
Dziś mamy ponad 300 grup, ponad milion członków, rocznie pojawia się około 700 tys. wpisów. Szacujemy, że dzięki nam rocznie ratowanych jest około 35 tys. ton rzeczy. Nawet jeśli nie każdy post to uratowana rzecz, to każdy wpis zmienia myślenie: „nie wyrzucaj, oddaj".

Figurka ocalona dzięki Śmieciarce

Wokół „Śmieciarki" utworzyła się społeczność, nawiązały relacje sąsiedzkie. To była niespodzianka?
Na początku zupełnie nie myślałam, że będzie miało to taki efekt. Szybko jednak zrozumiałam, że aby ludzie chcieli w tym uczestniczyć, muszą mieć z tego przyjemność, towarzystwo i poczucie bezpieczeństwa. Grupa im to dawała. Była też pretekstem do nawiązania relacji. Jeśli idziesz odebrać rzecz od sąsiada, nie ma planu na wielką relację, nie ma oczekiwań, więc nie ma rozczarowań. A czasem coś zagra i ta więź zostaje.

To odróżnia „Śmieciarkę" od portali takich jak OLX. Tam się nie rozmawia, nikt nie dba o relacje, a spory rozstrzyga bezduszny system. U nas rozmowa jest fundamentem. Ludzie umawiają się na przekazanie rzeczy, spotykają, patrzą sobie w oczy, wymieniają kilka zdań i tak rodzi się zaufanie.

Nie mówimy nikomu, by nawiązywał sąsiedzkie relacje, nie edukujemy „macie segregować odpady". My po prostu wzmacniamy to, co w ludziach i tak siedzi głęboko.

Czyli co?
Mamy wewnętrzny opór przed wyrzucaniem. Niemarnowanie zasobów to taka podstawowa ludzka potrzeba. Ludzie czują potrzebę oddawania niepotrzebnych rzeczy, ale muszą mieć do tego narzędzia. „Śmieciarka" wypełnia lukę w systemie. I przełamuje barierę kulturową: tę, która mówi, że nie wypada komuś dać rzeczy starej. Słyszałam, że w niektórych rejonach ludzie przed wyrzuceniem przedmiotu niszczą go, by na pewno nikt go nie wziął. U innych z powodu wstydu rzeczy leżą latami w szafie. A my dajemy przestrzeń, by oddać nawet te kawałki, te szmatki, które dla kogoś innego będą skarbem.

Jak udało się pani zmienić postrzeganie śmieci z czegoś wstydliwego w modne?
Kluczową rolę odegrali trendsetterzy i artyści. Kiedy powstawała „Śmieciarka", dołączali projektanci, kolekcjonerzy, artyści z warszawskiej Pragi. Zaczęli wrzucać zdję-

eprasa.pl 74c5a22a0e

cia, pokazywać polskie dziedzictwo wzornicze i przerabiać stare przedmioty. Kiedy tacy kreatywni liderzy przekraczają schematy, inni zaczynają ich naśladować. Dzięki ambasadorom ruch zyskał prestiż. Ludzie zaczęli z dumą mówić: „To ze śmieciarki". Także ratowanie środowiska stało się nowym symbolem statusu. Pokazujemy, że nie trzeba kupować nowej rzeczy w Pepco, jeśli można mieć coś z duszą za darmo.

Co ważne: „Śmieciarka" to nie jest działalność charytatywna. Ludzie zgłaszają się po rzeczy nie z biedy, tylko dla ratowania środowiska, żeby zmniejszyć wyrzuty związane z konsumpcjonizmem, albo by poczuć, że są zaradni. Ale ośmiela to też osoby mniej zamożne, by sięgały po stare rzeczy, bo idea grupy zdejmuje z nich odium wstydu.

Nie chcemy marnować, a jednocześnie wielu z nas nie potrafi przestać kupować nowych rzeczy.

Bogacimy się, koszty energii i ludzkiej pracy rosną, naprawa przestaje się opłacać, a rzeczy importowane z krajów, gdzie praca jest tania – są coraz tańsze, choć też gorszej jakości. Możliwe, że musimy ileś rzeczy zmarnować, kupić i wyrzucić, żeby przyszło opamiętanie.

Zwyczaje można jednak – i trzeba – zmieniać. Karnet na usługi czy masaż zamiast przedmiotów to dla mnie super prezent. Świetnym prezentem jest też dobrej jakości żywność, na którą na co dzień sobie nie pozwalamy. Zmieniamy posiadanie na przeżywanie.

„Śmieciarka" uczy też dobrych postaw dzieci. Cieszą się, że inne dziecko bawi się ich zabawkami. To uczy godzenia się z rozstaniem z przedmiotem w imię wyższego dobra.

Od 2022 roku „Śmieciarka" jest fundacją. Dlaczego?

Skala projektu stała się zbyt duża na działania amatorskie. Mamy ponad 300 grup, którymi zarządza armia administratorów. To jak zarządzanie firmą z 300 zespołami. Fundacja pozwala nam profesjonalnie wspierać tych ludzi, dawać im narzędzia, np. laptopy, i uczyć ich, jak angażować społeczność.

Chcemy też mieć realny wpływ na politykę odpadową. Nasz głos się liczy w inicjatywach ustawodawczych. Walczymy o „Right to Repair" czyli prawo do naprawy. Chcemy, by firmy nie projektowały psucia się sprzętów i by naprawa była łatwa. Dziś to, że coś wyrzucamy, niekoniecznie jest naszym wyborem, bo rzeczy produkowane są tak, że nie da się ich naprawiać.

„Śmieciarka" wzmacnia naszą niezależność – sami decydujemy, co robimy ze swoimi zasobami, ze swoimi śmieciami. ▲

„Zaprojektowane po ludzku. Warszawa - miasto bardziej wspólne" to cykl, w którym chcemy pokazać empatyczne oblicze Warszawy. Bo dobrze zaprojektowana przestrzeń może budować relacje, zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. Czytaj więcej: Wyborcza.pl/Zaprojektowanepoludzku

OGŁOSZENIE

OGŁOSZENIE

Kocham Cię. Dobrze to usłyszeć... od siebie.

13 lutego
Dzień ***Kochania***
Siebie ♥

ROSSMANN

eprasa.pl 74c5a22a0e